MAGAZYN HISTORYCZNY
MÓWIĄ WIEKI

RADA REDAKCYJNA
Andrzej Chwalba
Krzysztof Mikulski
Jacek Purchla
Andrzej Paczkowski
Henryk Samsonowicz
Jerzy Strzelczyk
Barbara Szacka

REDAKCJA
Tomasz Bohun
Błażej Brzostek
Andrzej Brzozowski
Marcin Czajkowski
Wojciech Kalwat (*zastępca redaktora naczelnego*)
Michał Kopczyński (*redaktor naczelny*)
Bogusław Kubisz
Anna Liszewska (*sekretariat*)
Miłosz Niewierowicz (*sekretarz redakcji*)
Janusz Odziemkowski
Piotr Szlanta
Ewa Wipszycka

PROJEKT OKŁADKI
Marcin Czajkowski
Miłosz Niewierowicz

PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD I ŁAMANIE
Marcin Czajkowski

ADRES REDAKCJI
pl. Europejski 3, 00-844 Warszawa
tel./faks (+48) 22 457 03 86
e-mail *mowiawieki@mowiawieki.pl*

WYDAWCA
Oficyna Wydawnicza „Mówią Wieki"
pl. Europejski 3, 00-844 Warszawa

PROMOCJA I REKLAMA
Mateusz Borucki
tel. (+48) 506 350 326
e-mail *mborucki@@mowiawieki.pl*

KOLPORTAŻ I PRENUMERATA
tel. (+48) 22 457 03 86
Prenumeratę do szkół dofinansowuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego (umowa nr 965/P-DUN/2015)

DRUK
Drukarnia LOTOS POLIGRAFIA
ul. Wał Miedzeszyński 98,
04-987 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w tekstach.

Zachęcamy do odwiedzenia naszej strony:
www.mowiawieki.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/mowiawieki

Od redakcji

Oficjalna, państwowa celebracja rocznic kluczowych wydarzeń historycznych jest powszechną praktyką we współczesnym świecie. Amerykanie hucznie obchodzą 4 lipca, Francuzi świętują 14 lipca – to tylko dwa najbardziej znane przykłady. W Polsce i innych krajach postkomunistycznych przez 30 ostatnich lat dokonała się ważna zmiana historycznych dat zasługujących na uczczenie. 22 lipca czy 1 maja zastąpione zostały przez nowe – stare święta: 3 maja, 11 listopada czy 15 sierpnia. Coroczne obchody mają utarte już scenariusze, a ich celem jest budzenie poczucia wspólnoty i związku z państwem.

Myślenie rocznicowe ma jednak swoje ograniczenia. Konkretna data kojarzy się z przełomem, nadejściem nowej ery w dziejach wspólnoty. Nowa era nie oznacza wkroczenia w nowy, wspaniały świat. Stare problemy nie znikają i wymagają przezwyciężenia oraz dostosowania do nowej rzeczywistości.

Ta właśnie refleksja legła u podstaw tego numeru „Mówią wieki". Ponieważ procesy gospodarcze dzieją się w znacznie dłuższej perspektywie czasowej niż polityczne, zainteresowanie odpowiedzią na pytanie – niepodległość i co dalej – jest w pełni uzasadnione. A dalej trzeba było przecież wywalczyć z bronią w ręku oraz przy negocjacyjnym stole ramy terytorialne odrodzonego państwa, przy okazji podejmując kluczową decyzję, jaki ma być jego profil etniczny. Trzeba było stworzyć podstawowe instytucje nowej republiki, obsadzić je konkretnymi ludźmi. Trzeba było wreszcie – a nawet przede wszystkim – odbudować zniszczony wojną i okupacją kraj oraz zadbać o jego modernizację.

W niniejszym numerze specjalnym chcieliśmy pokazać, jak trudna była odbudowa Rzeczypospolitej po ponadstuletnim okresie państwowego niebytu. Udało się ją obronić przed sowiecką agresją, ale kwestie militarne to tylko jeden z aspektów tytanicznej pracy, której podjęli się nasi przodkowie. Na ziemiach polskich funkcjonowały trzy odrębne systemy podatkowe, walutowe i bankowe, administracyjne, prawne, szkolnictwa, transportu kolejowego, itp. Różne były też społeczeństwa, choć – jak się okazało - po latach niewoli Polacy stanowili wspólnotę.

Narodowy Bank Polski, który zainspirował nas do opracowania tego tematu, zadbał również o to, aby numer został rozesłany do 4500 szkół w całej Polsce.

Michał Kopczyński,
redaktor naczelny „Mówią wieki"

Szanowni Państwo!

Rok 1918 zapisał się w naszej świadomości zbiorowej jako czas wielkiego święta. 11 listopada spełniły się marzenia kilku pokoleń Polaków. Odzyskaliśmy niepodległość. Walka o wolność oraz praca nad utrzymaniem tożsamości narodowej przyniosły upragniony sukces.

Dzień niepodległości to także rzeczywisty początek zmagań o suwerenną Polskę. Musieliśmy połączyć ziemie podzielone między dotychczasowych zaborców, wyznaczyć i obronić nasze granice. Zbudować gospodarczy fundament Rzeczypospolitej oparty na własnej walucie.

Z tej perspektywy historia odzyskania przez Polskę niepodległości jest zapisem niebywałego sukcesu wypracowanego przez cały naród i jego przedstawicieli działających w różnych stronnictwach i partiach politycznych.

Ubiegłoroczne obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości na nowo uświadomiły nam, jak wielki wysiłek podjęli wówczas nasi przodkowie.

W uczczenie 100-lecia odzyskania niepodległości włączył się również Narodowy Bank Polski poprzez emisje unikatowych monet kolekcjonerskich „My, Polacy – dumni i wolni", monet „100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości", banknotu kolekcjonerskiego „Niepodległość". Zaprosiliśmy szkoły do konkursu edukacyjnego „My, Polacy – niepodlegli, przedsiębiorczy". Kulminacyjnym punktem obchodów tak ważnej dla nas rocznicy było wielkie widowisko multimedialne „Wolność we krwi", prezentowane na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie oraz retransmitowane przez Telewizję Polską.

Z tym większą satysfakcją przyjąłem wiadomość, że redakcja Magazynu Historycznego „Mówią wieki" za sprawą wydania numeru specjalnego „Druga Rzeczpospolita – bilans otwarcia" pragnie przypomnieć o tym, jak wyglądała nasza ojczyzna w momencie odzyskania suwerenności i pierwszych latach niepodległości.

Inicjatywa wpisuje się w działania NBP podejmowane z okazji 100. rocznicy uchwalenia ustawy o naszej walucie narodowej – złotym. Dziś, podobnie jak Polacy w czasach Drugiej Rzeczypospolitej, jesteśmy dumni z silnego złotego jako znaku naszej suwerenności oraz niezależności gospodarczej.

Jestem przekonany, że dzięki projektowi, który uwzględnia historię gospodarczą lat 1918–1939, łatwiej nam będzie zrozumieć i docenić efekty tytanicznej pracy wykonanej przez naszych przodków w odbudowę państwa.

Adam Glapiński,
prezes Narodowego Banku Polskiego

4 Kalendarium

PAŃSTWO I TERYTORIUM

Maciej Górny 6 Skóra na niedźwiedziu. Jak mocarstwa centralne urządzały Europę Środkowo-Wschodnią

Bogusław Kubisz 12 Traktat z poczuciem niedosytu. Co Polska ugrała w Paryżu i Wersalu w 1919 roku

Błażej Brzostek 18 Polskie plany federacyjne lat międzywojennych

Bogusław Kubisz 22 Jak samouk został marszałkiem

Łukasz Gołaszewski 28 Początki Sejmu Ustawodawczego

SPOŁECZEŃSTWO

Andrzej Szwarc 34 Trzy zabory, trzy społeczeństwa?

Włodzimierz Mędrzecki 40 Naród malkontentów czy słuszne narzekania na kamyki w dziurawym bucie?

Tomasz Bohun 48 Migracje ludności z guberni zachodnich i Królestwa Polskiego w czasie pierwszej wojny światowej

GOSPODARKA

Michał Kopczyński 54 Blizny wojny. O zniszczeniach i odbudowie gospodarczej ziem polskich w Drugiej Rzeczypospolitej

Wojciech Kalwat 60 Od lecha po złotego

Wojciech Morawski 64 U progu niepodległości. Finanse w latach 1918–1922

INSTYTUCJE

Janusz Odziemkowski 70 Formowanie Pojska Polskiego 1918~1920

Janusz Mierzwa 76 Najważniejsze są kadry. Urzędnicy u progu niepodległości

Waldemar Gliński 80 Szkolnictwo w województwach wschodnich i południowo-wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej

TECHNIKA

Zbigniew Tucholski
Paweł Mierosławski 88 Odbudowa i rozwój polskiego kolejnictwa po odzyskaniu niepodległości

Bartłomiej Derski 94 Energetyka w Polsce międzywojennej

Jan Tarczyński 100 Początki polskiej motoryzacji

IDEE

Aleksander Strojny 108 O polski bedeker

Katarzyna Nowakowska-Sito 114 Sztuka pierwszych lat niepodległości

6 GRUDNIA 1916,
decyzją niemieckich i austriackich władz okupacyjnych utworzono Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego, instytucje doradczą, mającą przygotować zręby przyszłej polskiej administracji. TRS funkcjonowała do 25 sierpnia 1917 roku.

12 WRZEŚNIA 1917,
decyzją niemieckich i austriackich władz okupacyjnych utworzono Radę Regencyjną, najwyższy organ władzy w Królestwie Polskim.

7 GRUDNIA 1917,
utworzenie rządu Jana Kucharzewskiego – pierwszego rządu Królestwa Polskiego.

7 PAŹDZIERNIKA 1918,
Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Królestwa Polskiego.

1 LISTOPADA 1918,
ukraińskie siły zbrojne rozpoczęły próbę opanowania Lwowa. Rozpoczyna się wojna polsko-ukraińska.

6–7 LISTOPADA 1918,
w Lublinie utworzono Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele.

10 LISTOPADA 1918,
do Warszawy wrócił Józef Piłsudski, zwolniony z internowania w twierdzy w Magdeburgu.

11 LISTOPADA 1918,
Rada Regencyjna przekazała zwierzchność nad wojskiem Józefowi Piłsudskiemu.

14 LISTOPADA 1918,
Rada Regencyjna rozwiązała się, przekazując Piłsudskiemu cała władzę zwierzchnią.

16 LISTOPADA 1918,
Józef Piłsudski wysyła do przywódców państw ententy, neutralnych oraz Niemiec notę z informacją o utworzeniu niepodległego państwa polskiego.

18 LISTOPADA 1918,
utworzenie rządu Jędrzeja Moraczewskiego. Rząd wydał dekrety m.in. o powszechnym prawie wyborczym, ośmiogodzinnym dniu pracy oraz związkach zawodowych i prawie do strajku.

22 LISTOPADA 1918,
Józef Piłsudski zatwierdził Dekret o najwyższej władzy reprezentacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, na jego mocy objął funkcję tymczasowego naczelnika państwa. Miał ją sprawować do czasu zebrania się Sejmu Ustawodawczego.

27 GRUDNIA 1918,
wybuch powstania wielkopolskiego.

16 STYCZNIA 1919,
utworzenie rządu Ignacego Paderewskiego. Dwa dni później rozpoczęły się obrady konferencji pokojowej w Paryżu.

23 STYCZNIA 1919,
wojska czechosłowackie wkroczyły na teren Śląska Cieszyńskiego, przyznany Polsce na mocy porozumienia z 5 listopada 1918 roku. Ugoda w tej sprawie została zawarta 3 lutego pod naciskiem mocarstw zachodnich.

26 STYCZNIA 1919,
wybory do Sejmu Ustawodawczego. 10 lutego odbyło się jego pierwsze uroczyste posiedzenie.

14 LUTEGO 1919,
pierwsze starcia wojsk polskich z Armią Czerwoną –rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka.

18 LUTEGO 1919,
zawieszenie broni w Wielkopolsce. Decyzją przywódców mocarstw zostały uznane wszystkie polskie zdobycze terytorialne, a niemal cała Wielkopolska wróciła do Polski na mocy traktatu wersalskiego, podpisanego 28 czerwca 1919 roku.

20 LUTEGO 1919,
Sejm Ustawodawczy uchwalił Małą Konstytucję i powierzył Jozefowi Piłsudskiemu sprawowanie funkcji naczelnika państwa. Miał ją pełnić do czasu uchwalenia konstytucji.

7 MARCA 1919,
Sejm Ustawodawczy uchwalił ustawę o poborze rekrutów do polskiej armii. Podlegały jej osoby z roczników 1896–1901.

19/20 KWIETNIA 1919,
pierwsze oddziały Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera przybyły do Polski z Francji. Transport żołnierzy zakończył się w czerwcu tego roku.

20 KWIETNIA 1919,
oddziały polskie zdobyły Wilno. Dwa dni później, 22 kwietnia, Józef Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Poinformował w niej o utworzeniu zarządu cywilnego złożonego z mieszkańców tych terenów, który miał przygotować wybory.

1 SIERPNIA 1919,
Sejm Ustawodawczy uchwalił ustawę o godle i barwach Rzeczypospolitej.

28 CZERWCA 1919,
w Wersalu podpisano traktat pokojowy kończący pierwsza wojnę światową. Na jego mocy Polska odzyskała m.in. Wielkopolskę i Prusy Królewskie, o przynależności terytorialnej Górnego Śląska, Mazur i Warmii miały zadecydować plebiscyty, Gdańsk został Wolnym Miastem pod zarządem Ligi Narodów.

16 LIPCA 1919,
wojska ukraińskie zostały wyparte za Zbrucz. Zakończyła się wojna polsko-ukraińska, a Polska zajęła niemal całą Galicje Wschodnią.

16 SIERPNIA 1919,
wybuch pierwszego powstania śląskiego, zakończonego niepowodzeniem.

9 PAŹDZIERNIKA 1919,
święto zjednoczenia Wojska Polskiego.

8 GRUDNIA 1919,
Rada Najwyższa ententy ustaliła przebieg polskiej granicy wschodniej wzdłuż tzw. linii Curzona.

15 STYCZNIA 1920,
na mocy ustawy sejmu marka polska stała się walutą obowiązującą w Rzeczypospolitej.

10 LUTEGO 1920,
w Pucku gen. Haller dokonał uroczystego aktu zaślubin Polski z morzem.

11 LUTEGO 1920,
władzę na Górnym Śląsku objęła Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa. Miała utrzymać porządek na obszarze plebiscytowym.

21 KWIETNIA 1920,
przedstawiciele Polski i Ukraińskiej Republiki Ludowej podpisali umowę, ustalając m.in. granicę na linii Zbruczu.

25 KWIETNIA 1920,
rozpoczęła sie tzw. wyprawa kijowska – ofensywa wojsk polskich, wspieranych przez siły zachodnioukraińskie, przeciwko Armii Czerwonej, zakończona zdobyciem Kijowa 7 maja.

14 MAJA 1920,
kontrofensywa Armii Czerwonej na Białorusi. Niecałe dwa tygodnie później, 27 maja, wojska bolszewickie przeszły do kontrnatarcia na Ukrainie. Wojska polskie zostały zmuszone do odwrotu, a bolszewicy w szybkim tempie parli na zachód.

11 LIPCA 1920,
plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu. W jego wyniku niemal cały obszar objęty plebiscytem przypadł Niemcom.

15 LIPCA 1920,
sejm uchwalił ustawę o reformie rolnej, przewidującą m.in. parcelację ziemi państwowej oraz kościelnej, a także oraz przymusowy wykup części majątków ziemskich.

13–15 SIERPNIA 1920,
bitwa warszawska: oddziały Armii Czerwonej zostały zatrzymane, a polskie wojska przeszły do kontrnatarcia.
19 sierpnia 1920, rozpoczęło się drugie powstanie śląskie.

12 PAŹDZIERNIKA 1920,
przedstawiciele Polski i Rosji podpisali porozumienie o zawieszeniu broni, które wszedł w życie 18 października.

19 LUTEGO 1921,
podpisano polsko-francuską umowę sojuszniczą w celu obrony swych terytoriów i ochrony słusznych interesów. Dwa dni później podpisano tajną konwencję wojskową, która przewidywała wzajemną pomoc w razie ataku Niemiec oraz gwarantowała Polsce pomoc Francji w razie ataku Rosji, a także zapowiadała udzielenie przez Francje pożyczki w wysokości 400 mln franków.

17 MARCA 1921,
sejm uchwalił Konstytucję marcową.

18 MARCA 1921,
w Rydze podpisano traktat pokojowy z Rosją.

SKÓRA *na* NIEDŹWIEDZIU

Jak mocarstwa centralne urządzały Europę Środkowo-Wschodnią

MACIEJ GÓRNY

Trzy monarchie, które ponad 100 lat wcześniej rozdrapały ziemie Rzeczypospolitej, latem 1914 roku wkroczyły na ścieżkę wojenną wprawdzie ochoczo, ale za to bez precyzyjnego wyobrażenia, czym ta awantura może się skończyć. W manifestach i adresach kierowanych przez trzech cesarzy do poddanych pisano oczywiście o obronie granic, a nawet, choć raczej między wierszami, o ich zaokrągleniu.

Problem w tym, że nikt nie wiedział, jakie zmiany na mapie tej części Europy dawałyby szansę nie tylko na doraźne zyski, ale także na długotrwały pokój. Kiedy w maju 1914 roku podczas debaty w Reichstagu liberalny poseł Heinrich Schönaich-Carolath stwierdził, że ewentualna zwycięska wojna z Rosją mogłaby Niemcom przynieść wyłącznie kłopot w postaci znacznego zwiększenia polskiej mniejszości narodowej, jego polemistom zabrakło dobrych kontrargumentów. Analogiczna zdobycz dla Rosji mogłaby przynieść niewiele więcej. To, co na pierwszy rzut oka mogło się wydawać czystym zyskiem, miało zarodki poważnych problemów.

Wśród mocarstw rozbiorowych koncepcyjnie najlepiej przygotowane na wojenne sukcesy było to, któremu los miał ich najbardziej poskąpić. Austro-Węgry (a właściwie Austria, na Węgrzech bowiem panował centralizm i niechęć do ustrojowych eksperymentów) jako jedyne miały kulturę polityczną zdolną do godzenia interesów różnych narodowości.

Ostatni car Rosji Mikołaj II Romanow wśród żołnierzy. Wraz z ofensywą wojsk państw centralnych rosyjska armia powoli ulegała degradacji. Proces przyspieszył po rewolucji lutowej, a pogłębiający się chaos w państwie zakończył się wybuchem rewolucji październikowej i przejęciem władzy przez bolszewików. Fot. archiwum „Mówią wieki”

Zarówno parlament, jak i władze lokalne były sceną niekończących się sporów i targów, niekiedy gorszących dla obserwatorów. Państwo nie było jednak narzędziem ucisku jednych narodów przez inne. Poczucie krzywdy, uzasadnione lub nie, dość równomiernie rozkładało się między ludy monarchii.

Pomysły na poszerzenie granic i związaną z nim przebudowę ustrojową pojawiały się w Austrii już od lat, krążąc wokół dwóch fundamentalnych idei. Pierwsza to federalizacja monarchii, najczęściej w formie autonomicznych terytoriów narodowych z zachowaniem praw mniejszości. Druga, ostrożniejsza, zakładała zmianę austro-węgierskiego dualizmu w trializm. W ramach tej koncepcji kwestią sporną pozostawało, co ma być owym trzecim członem państwa Habsburgów. W przeddzień Wielkiej Wojny najbardziej konkretne były dwie opcje: południowosłowiańska i polska. W ramach tej pierwszej monarchia mogłaby wchłonąć niepodległą Serbię, w ramach drugiej Królestwo Polskie. Gorącymi zwolennikami takiego rozwiązania byli wybitni galicyjscy politycy Agenor Gołuchowski i Leon Biliński, najbardziej konsekwentnym przeciwnikiem – węgierski premier István Tisza.

Polityka realna i imperialna

Pierwszy rok wojny w zasadzie zakończył się sukcesem mocarstw centralnych. W sierpniu 1915 roku Niemcy wkroczyli do opuszczonej przez Rosjan Warszawy, a front szybko przesuwał się jeszcze dalej na wschód. Jednak z punktu widzenia Wiednia poprzednie 12 miesięcy było pasmem klęsk i upokorzeń, a fakt, że nie zakończyły się one ostateczną porażką, był raczej marnym pocieszeniem. Na Bałkanach armia serbska biła przeważające siły wroga niemal przy każdej okazji, dopiero późną jesienią 1915 roku udało się ją pokonać połączonym siłom niemiecko-bułgarsko-austro-węgierskim, przy czym udział sił habsburskich oceniano jako najmniej istotny. W Galicji Wschodniej, przez blisko rok znajdującej się pod rosyjską okupacją, monarchia utraciła setki tysięcy żołnierzy oraz swoją największą twierdzę – Przemyśl. Chociaż wszystkie te porażki udało się ostatecznie przekuć w zwycięstwo, straty Austriaków okazały się tak wielkie, a ich nieudolność tak uderzająca, że utracili jakąkolwiek inicjatywę. Przymierze z Niemcami, które nigdy nie było związkiem równych partnerów, w roku 1915 stało się narzędziem dominacji Berlina nad Wiedniem i Budapesztem. W tej sytuacji nawet uzyskanie własnej strefy okupacyjnej w świeżo zdobytym Królestwie Polskim (ze stolicą w Lublinie) mogło być co najwyżej nagrodą pocieszenia. Habsburskie plany przebudowy Europy Środkowo-Wschodniej przeniosły się z gruntu polityki realnej do krainy fantazji.

Tym uważniej należało więc słuchać głosów dochodzących z Berlina. A nie był to zgodny chór. Donośnie brzmiały żądania aneksjonistów – w memorandach (władze na wszelki wypadek zakazywały ich publikacji) domagali się oni co najmniej szerokiego pasa terytorium wzdłuż wschodniej granicy Rzeszy. Niemieckie inwestycje w Zagłębiu Dąbrowskim potwierdzały ponad wszelką wątpliwość, że ta opcja była bardzo prawdopodobna. Granicą roszczeń kanapowych imperialistów pozostawały bałtyckie gubernie Rosji. Odpowiedź na pytanie kluczowe dla mieszkańców tych terenów pozostawała niejednoznaczna – czy Niemcy planują przejąć ziemię razem z ludźmi? Niektórzy autorzy niemieckich memorandów poprzestawali na określeniu celów terytorialnych, inni snuli plany przesiedleń. Miejsce części Polaków, Litwinów, Łotyszy i Estończyków mieliby zająć Niemcy rosyjscy, a nadmiar mieszkańców planowano wypchnąć gdzieś na wschód.

Mitteleuropa

Zupełnie inną melodię można było usłyszeć w kręgach niemieckich i austriackich liberałów. Tam triumfy święciła nienowa już idea *Mitteleuropy*, czyli dobrowolnego związku narodów Europy Środkowo-Wschodniej pod przewodem Niemiec. W czasie wojny największą popularność w tym gronie miał deputowany Reichstagu Friedrich Naumann. Jego opublikowana w 1915 roku *Mitteleuropa* w samych Niemczech sprzedała się w ponad 200 tys. egzemplarzy (a były też tłumaczenia), stając się jednym z największych wojennych bestsellerów. Czym zdobyła sobie tylu czytelników?

O popularności Naumanna w znacznym stopniu przesądziło to, co różniło go od niemieckich aneksjonistów. Był on luterańskim pastorem i centrolewicowym politykiem, z zasady odrzucał więc projekty aneksji, które pojawiły się na początku wojny. W jego koncepcji nie było też miejsca na wysiedlenia niepożądanej ludności. W *Mitteleuropie* przeciwstawił im ideę dobrowolnego związku państw Europy Środkowo-Wschodniej (w późniejszych wydaniach dodał do nich jeszcze Bułgarię), opartego na dwóch filarach: wspólnocie kultury oraz interesie ekonomicznym. Uważał, że moment dziejowy, w którym Niemcy byli zdolni skutecznie germanizować słowiańskich sąsiadów, minął bezpowrotnie. Twierdził natomiast, że niemiecka kultura wciąż dominuje w całym regionie, a język niemiecki jest *lingua franca* rozmaitych narodowości. Co ważniejsze, kraje i narody Europy Środkowo-Wschodniej stanowią naturalny obszar gospodarczy. Utworzenie wspólnoty celnej i gospodarczej Rzeszy i monarchii austro-węgierskiej stworzy ośrodek, wokół którego w naturalny sposób skupią się okoliczne państwa. Dopiero na bazie wspólnoty gospodarczej zawiąże się jedność

Pałac Sandomierski w Radomiu; podczas Wielkiej Wojny mieściła się tu siedziba austriackiego urzędu powiatowego. Z okien pałacu w 1916 roku obwieszczono wydanie aktu 5 listopada, który zapowiadał utworzenie niepodległego Królestwa Polskiego. Fot. Wikimedia Commons

polityczna. W tym kontekście Naumann pisał o środkowoeuropejskim narodzie gospodarczym (*das mitteleuropäische Wirtschaftsvolk*), do którego należeli na mniej więcej równych prawach Niemcy, Polacy, Czesi czy Węgrzy. Racja stanu Rzeszy realizowała się w tej koncepcji nie w stosunku do innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, lecz w wymiarze światowym. Dzięki idei *Mitteleuropy* Niemcy stałyby się nareszcie pełnoprawnym partnerem dla Imperium Brytyjskiego, USA oraz Rosji.

W czasie wojny Naumann starał się wpływać nie tylko na niemiecką opinię publiczną, ale i na pozostałych mieszkańców przyszłej federacji. W tym celu podróżował po terenach znajdujących się pod kontrolą państw centralnych. W marcu 1917 roku zawitał do Polski, gdzie dłuższą chwilę spędził w Łodzi; rozmawiał tam z przedstawicielami polskiej i żydowskiej społeczności miasta. Efektem odwiedzin stała się broszura *Was wird aus Polen?* (Berlin 1917), w której Naumann krytykował przesadne rekwizycje dokonywane przez okupantów w Polsce. Z tej i z podobnych lektur można było wyciągnąć wniosek, że celem niemieckich liberałów było pozyskiwanie narodów, a nie ich zniewolenie.

Szczyt niemieckiej dominacji

Akt 5 listopada 1916 roku, czyli zapowiedź utworzenia Królestwa Polskiego, wydawał się milowym krokiem na drodze ku urzeczywistnieniu programu Naumanna. Był to szczytowy moment w dziejach misji cywilizacyjnej, jak nazwał niemiecki projekt kulturalnego podboju Wschodu polski historyk Arkadiusz Stempin. Pod kontrolą Berlina znalazła się prawie cała Europa Środkowo-Wschodnia. Wszędzie, zarówno w państwach sojuszniczych, jak i na terenach okupowanych, do głosu doszli politycy orientacji proniemieckiej. Co warto przypomnieć, wyrazy sympatii były wówczas obustronne. W Niemczech np. popularne były wtedy przekłady literatury narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Ani wcześniej, ani później w tak krótkim czasie nie ukazywało się po niemiecku tyle publikacji z i o tej części świata. Tam, gdzie brakowało zainteresowania czytelników, niekiedy interweniowała władza, sięgając także po dzieła wydane nieco wcześniej i zalegające w magazynach. W dowodzonych przez Hindenburga jednostkach oficerowie otrzymywali np. przekład *Chłopów* Władysława Reymonta – lektura miała przybliżyć im psychikę wschodnioeuropejskiego chłopa. Czy tak się stało,

trudno powiedzieć, z całą pewnością natomiast zapasy wydanego w 1912 roku niemieckiego przekładu, nieznacznie dotąd uszczuplone, wyczerpały się w ciągu kilku tygodni. Pytanie, na ile ten nie do końca komercyjny sukces przyczynił się do przyznania polskiemu pisarzowi Nagrody Nobla sześć lat po zakończeniu Wielkiej Wojny, pozostanie zapewne bez ostatecznej odpowiedzi.

Wróćmy jednak do realnej polityki mocarstw. Od drugiej połowy 1915 roku los sprawy polskiej, a wraz z nią całego regionu, spoczywał w rękach Niemiec. Mogło się wydawać, że scenariusz na przyszłość został już napisany, a jego autorem – oczywiście z uwzględnieniem poprawek wymuszonych przez okoliczności – będzie Friedrich Naumann. Z kilku względów tak się nie stało. Przede wszystkim okazało się, że mimo utworzenia po ponad 100 latach polskiego rządu sympatie do Niemiec w polskim społeczeństwie są śladowe z wyraźną tendencją spadkową. Naumann miał rację, krytykując nadmierny wyzysk ekonomiczny okupowanych terytoriów. Narodowa symbolika traciła na znaczeniu w obliczu głodu i bezrobocia, a jedyne, co panujący w kraju Niemcy mieli do zaproponowania, to wyjazd na roboty do Rzeszy. Ponadto urzeczywistnienie koncepcji *Mitteleuropy* wymagało partnerów, w tym niepodległego państwa polskiego. Tymczasem przyszłość Królestwa była wielką niewiadomą. Rozwiązanie austro-polskie przestało być realną opcją wobec postępującego paraliżu monarchii habsburskiej. Alternatywa – polskie państwo buforowe związane z Niemcami przymierzem i zabezpieczające je przed Rosją – była wprawdzie ukochaną ideą warszawskiego gubernatora Hansa von Beselera, ale poza nim mało kto dawał się jej porwać. Zresztą nawet życzliwy Polakom Beseler uważał, że nie obejdzie się bez okrojenia sojusznika z szerokiego pasa terenów wzdłuż wschodniej granicy Rzeszy. Wreszcie od roku 1917 historia wyraźnie przyspieszyła, podsuwając politykom zupełnie inne rozwiązania, sprzeczne zresztą. Pierwsza rewolucja rosyjska i przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych zmieniły układ sił i sympatii w polityce międzynarodowej. Nie od razu oczywiste było, jaki okaże się końcowy efekt tych zmian. Początek wskazywał raczej na przedłużenie pasma sukcesów Niemiec, przynajmniej w Europie Środkowo-Wschodniej. Po nieudanej ofensywie rosyjskiej latem 1917 roku rozpad niegdyś carskiej, a po rewolucji lutowej republikań-

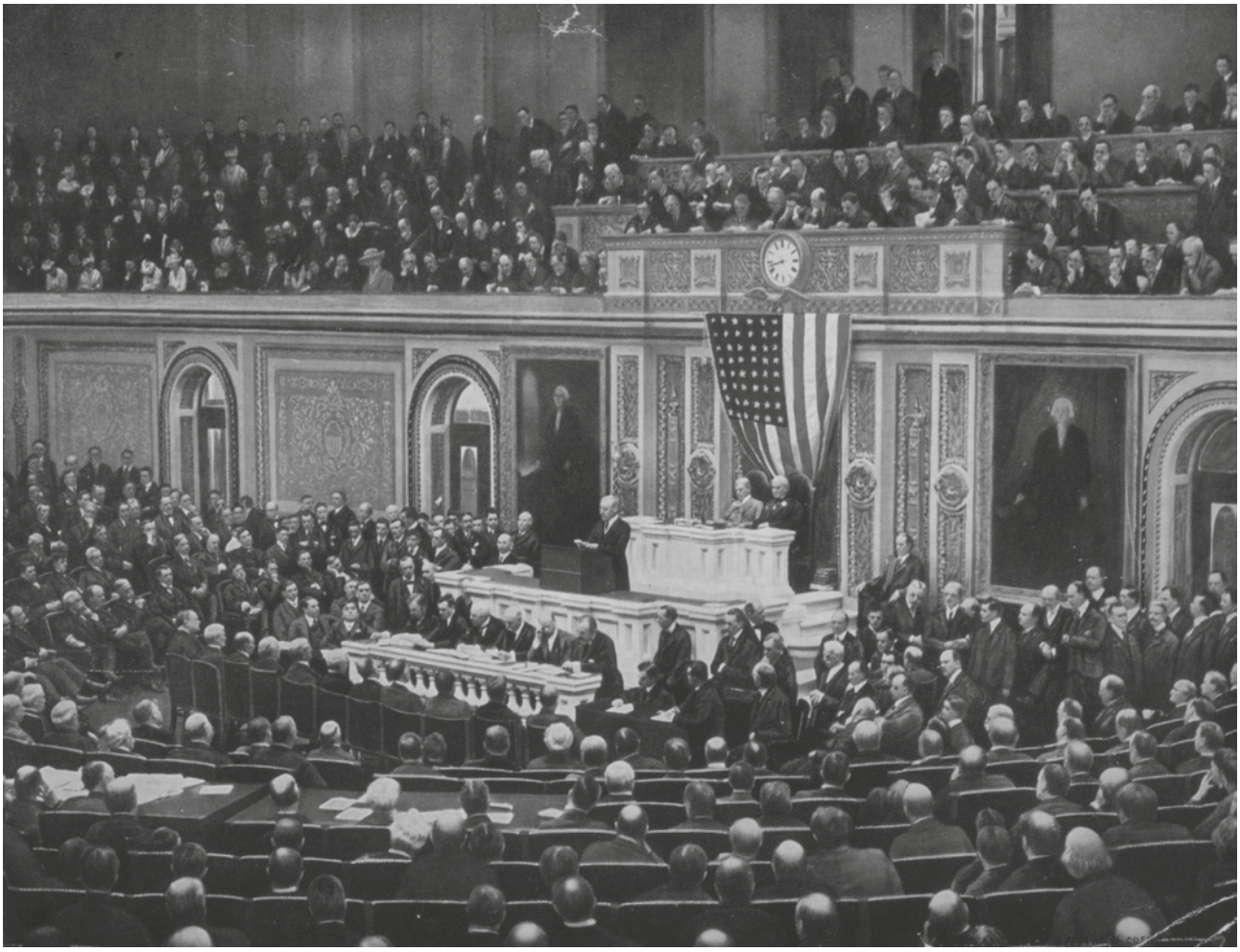

Prezydent Woodrow Wilson wygłasza przed Kongresem słynne 14 punktów. Fot. Wikimedia Commons

skiej armii postępował coraz szybciej. Przewrót bolszewicki zadał jej decydujący cios. Pod koniec 1917 roku przeciwko Niemcom stały na wschodzie zrewolucjonizowane resztki wojsk, niezdolne ani do ataku, ani do obrony. Rosja Radziecka musiała podjąć rozmowy pokojowe. Doszło do nich w listopadzie w Brześciu nad Bugiem.

Dwie drogi

W tym momencie historia prób przebudowy Europy Środkowo-Wschodniej zaczyna przypominać drogę, która rozjeżdża się w dwie strony. Jedna trasa zaczyna się w Brześciu. Kolejne przystanki to zerwanie rozmów przez bolszewicką delegację, na co państwa centralne zareagowały wznowieniem ofensywy oraz podpisaniem porozumienia z rządem niepodległej Ukrainy. W efekcie w ciągu kilku tygodni pod panowaniem Niemiec i Austro-Węgier znalazły się olbrzymie połacie Ukrainy, Białorusi, guberni bałtyckich, a zajęcie Piotrogrodu wydawało się kwestią czasu. Przerażeni bolszewicy powrócili do rozmów, godząc się na pokój sankcjonujący większość terytorialnych zdobyczy państw centralnych. Wojna na wschodzie zakończyła się zatem niemieckim zwycięstwem. W Reichstagu Naumann mówił o historycznym dziele, jakim stało się przesunięcie granic Europy tysiące kilometrów na wschód. Pokój z Ukrainą dużo gorzej przyjęto na ziemiach polskich. Niemcy i Austriacy obiecali młodemu państwu m.in. gubernię chełmską, do której prawa rościło sobie także Królestwo Polskie. Z perspektywy celebrujących największy w czasie tej wojny sukces dyplomatyczny Berlina i Wiednia protesty Polaków mogły się wydawać niewygórowaną ceną, ale od tej pory do jakichkolwiek rozmów o przyszłości regionu brakowało już po polskiej stronie partnerów gotowych usiąść przy jednym stole z reprezentantami państw centralnych.

Druga trasa początkowo mogła sprawiać wrażenie słabo wydeptanej ścieżki. Zdecydowanie brakowało jej solidnych fundamentów, opierała się raczej na deklaracjach niż konkretach. Najpierw z dwóch stron świata, z rewolucyjnej Rosji i z USA, dało się słyszeć dość długo zapomniane hasło samostanowienia narodów. Jak donośnym echem odbiło się w Europie Środkowo-Wschodniej, okazało się właśnie w trakcie błyskawicznej niemiecko-austro-węgierskiej ofensywy. W lutym 1918 roku na opuszczonych już przez Rosjan, a niezajętych jeszcze przez Niemców terenach Litwy i Estonii ujawniły się władze niepodległych państw. Ich deklaracje niepodległości przemawiały słowami zapożyczonymi od prezydenta USA Woodrowa Wilsona. Była w nich mowa o samostanowieniu narodów i o liberalnej demokracji, do której należy przyszłość. Wkraczający tam Niemcy natychmiast rozpędzili te rządy, rozpoczynając regularną okupację. To, co dla imperialistów mogło być sukcesem, było jednak kolejną dyplomatyczną porażką. Do tej pory mocarstwa centralne mogły twierdzić, że jednym z ich celów jest uwolnienie nierosyjskich ludów od tyranii carów. Teraz złudzenia prysły: to nie wolność szła na wschód na niemieckich bagnetach.

Krótka kariera królów odjutrków

Oszałamiające sukcesy Niemiec w pierwszych miesiącach 1918 roku otwierają ostatni rozdział tej historii. Rozdział, w którym pod kontrolą Niemiec i ich sojuszników znalazła się cała Europa Środkowo-Wschodnia. Trudno wyobrazić sobie lepszą okazję do zrealizowania planów, które nakreślił Naumann, i przebudowy tej części kontynentu w nieformalną federację państw niepodległych wprawdzie, ale zależnych od Berlina. Nie po raz pierwszy jednak historia potoczyła się w zupełnie innym kierunku. W marcu 1918 roku dowództwo armii zatwierdziło projekt utworzenia na terenie Łotwy i Estonii tzw. *Oststaat*, państwa rządzonego przez miejscową elitę Niemców bałtyckich. Zgodnie z planem OHL (Naczelnego Dowództwa Armii Polowej, *Oberstheeresleistung*) ten twór miał poprosić następnie o przyłączenie do Rzeszy. Na tym nie kończyły się plany inkorporacji. Pod koniec lutego w Berlinie pojawił się projekt, by Litwę przyłączyć do Prus Wschodnich, a więc także włączyć do Rzeszy. W tej sytuacji sukcesem litewskich patriotów była zgoda Berlina na utworzenie marionetkowego królestwa z niemieckim panującym. Ta decyzja przynajmniej na chwilę oddalała niebezpieczeństwo wymazania Litwy z mapy świata. O republice utworzonej kilka tygodni wcześniej nie było już mowy. Książę Wilhelm Urach został obwołany litewskim królem w czerwcu. Na cześć wielkiego księcia Litwy sprzed kilkuset lat przyjął imię Mendog. W tym samym czasie kolejny niemiecki arystokrata objął tron Finlandii – Fryderyk, landgraf Hesji, miał przybrać imię Fredrik Kaarle.

Los okazał się złośliwy dla obu władców: żaden z nich nie zdołał nawet odwiedzić swojego królestwa. Zanim zasiedli na tronach, niemiecka dominacja w Europie Środkowo-Wschodniej zaczęła się chwiać. Plany nowego porządku w regionie, i te liberalne, i te imperialne, legły w gruzach. Czy musiało się tak stać? Cóż, aż do jesieni 1918 roku niepoprawnymi fantastami wydawali się raczej ci, którzy wierzyli w niepodległość Polski, Litwy, Łotwy czy Estonii. Przyznając im w końcu rację, historia dowiodła, że czasem pycha naprawdę bywa ukarana.

Maciej Górny, historyk, pracownik Instytutu Historii PAN, zajmuje się dziejami Europy Środkowo-Wschodniej w pierwszej połowie XX wieku

Podpisanie traktatu wersalskiego, 28 czerwca 1919 roku. Fot. Wikimedia Commons

TRAKTAT Z POCZUCIEM *niedosytu*

Co Polska ugrała w Paryżu i Wersalu w 1919 roku

BOGUSŁAW KUBISZ

Gdy w listopadzie 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, była państwem bez ustalonych granic. O ich przebiegu – zwłaszcza na zachodzie, północy i południu – miały zdecydować mocarstwa zwycięskiej koalicji na konferencji pokojowej wieńczącej pierwszą wojnę światową, zwołanej do Paryża w styczniu 1919 roku.

Rzeczpospolita, która powróciła na mapę Europy po 123 latach niewoli, musiała walczyć o swoje terytorium zbrojnie, ale też zabiegać o nie na polu dyplomatycznym. Gdy 18 stycznia 1919 roku w paryskiej siedzibie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji 70 delegatów reprezentujących 27 państw brało udział w uroczystej inauguracji konferencji pokojowej, w Wielkopolsce i na Kujawach trwało powstanie wielkopolskie przeciwko Niemcom, a w Galicji Wschodniej wojna z Ukraińcami. Na północnym wschodzie polska samoobrona dwa tygodnie wcześniej musiała oddać bolszewikom Wilno, w tle zaś tlił się konflikt polsko-litewski. Obszarem zapalnym stawała się też Białoruś, na którą od wschodu parła bolszewicka Armia Czerwona. Do Wołynia, oprócz strony polskiej, rościła pretensje Ukraina Naddnieprzańska. 23 stycznia, kilka dni po rozpoczęciu konferencji paryskiej, władze Czechosłowacji złamały porozumienie o podziale Śląska Cieszyńskiego i rozpoczęły ofensywę, która doprowadziła do zajęcia Zaolzia. Na Podlasiu, Suwalszczyźnie i ziemiach litewsko-białoruskich nadal stały okupacyjne garnizony niemieckie, które czekały na ewakuację do ojczyzny.

Odrodzona Polska była izolowana na forum międzynarodowym. Wprawdzie już 16 listopada 1918 roku Józef Piłsudski, który przejął najwyższą władzę wojskową i cywilną w kraju, w depeszy obwieścił *rządom i narodom wojującym i neutralnym istnienie Państwa Polskiego Niepodległego*, ale nie oznaczało to automatycznego nawiązania relacji dyplomatycznych z państwami ententy (co ciekawe, jako pierwsze Polskę uznały Niemcy – stało się to 20 listopada). Dla mocarstw prawowitym przedstawicielstwem polskim był rezydujący w Paryżu Komitet Narodowy Polski Romana Dmowskiego. Podlegała mu Armia Polska we Francji dowodzona przez gen. Józefa Hallera.

Konieczne było porozumienie pomiędzy ośrodkami: warszawskim i paryskim. Było to jednak trudne, gdyż Piłsudski i stojąca za nim lewica niepodległościowa od lat rywalizowali o „rząd dusz" Polaków z Dmowskim i jego Narodową Demokracją. W czasie Wielkiej Wojny obie siły znalazły się w przeciwstawnych obozach. O ile Piłsudski ze swoimi zwolennikami początkowo stawiał na odbudowę Polski z pomocą państw centralnych, które miały pobić Rosję, o tyle Dmowski i Narodowa Demokracja reprezentowali orientację prorosyjską, a po upadku caratu i rewolucyjnym rozkładzie Rosji nawiązali współpracę z mocarstwami zachodnimi. W sytuacji, gdy ententa wygrała wojnę, był to duży atut. Piłsudski zaś uchodził na Zachodzie za niebezpiecznego radykała i germanofila, mimo że przez prawie półtora roku był więziony przez Niemców.

Szanowny panie Romanie...

I Piłsudski, i Dmowski chcieli kompromisu, lecz na swoich warunkach. Pierwszemu zależało na uznaniu przywództwa w państwie i podporządkowaniu KNP rządowi warszawskiemu. Drugi chciał nadal odgrywać wiodącą rolę w kreowaniu polskiej polityki zagranicznej. Liczył też, że Narodowa Demokracja prędzej czy później przejmie władzę w kraju – pokojowo, na drodze wyborów.

Rokowania Tymczasowego Naczelnika Państwa z przybyłym do Warszawy na początku grudnia 1918 roku wysłannikiem Dmowskiego Stanisławem Grabskim zakończyły się fiaskiem. Piłsudski wysłał zatem do Paryża delegację, której przewodniczył Kazimierz Dłuski. Zaopatrzył ją w odręczny list datowany na 21 grudnia. Pisał w nim pojednawczo: *Szanowny Panie Romanie!* [...]. *Proszę wierzyć, że najbardziej chciałbym uniknąć dwoistego przedstawicielstwa Polski przed Ententa i dążę do jednolitej reprezentacji interesów Polski, gdyż wtedy tylko będą one dostatecznie uwzględnione.* [...] *Na podstawie dawnej znajomości tuszę, że w tym wypadku i w tej ważnej chwili przynajmniej niektórzy ludzie, jeśli już nie cała Polska, niestety, wznieść się muszą ponad interesa stronnictw, klik i grup, do takich zaś ludzi chciałbym zaliczyć i Pana.*

Okazję do porozumienia stworzył powrót do ojczyzny pod koniec 1918 roku Ignacego Jana Paderewskiego. Ten sławny pianista-wirtuoz, gorący patriota i orędownik niepodległości, był przedstawicielem KNP w Stanach Zjednoczonych, ale nie był endekiem i nie utożsamiał interesu Polski z interesem jednego obozu politycznego. Po rozmowach z Piłsudskim zgodził się stanąć na czele ponadpartyjnego rządu, który powstał 16 stycznia 1919 roku. Objął w nim również tekę ministra spraw zagranicznych.

Na kompromis nalegały też rządy mocarstw zachodnich, zwłaszcza Wielkiej Brytanii i USA, które uzależniały od tego uznanie przedstawicieli polskich na konferencję paryską. Ostatecznie Paderewski i Dmowski zostali oficjalnymi delegatami Rzeczypospolitej (później delegatem odpowiedzialnym za sprawy gospodarcze został Władysław Grabski). Do składu KNP dokooptowano dziesięciu przedstawicieli Piłsudskiego, rządu i stronnictw krajowych z Dłuskim, Michałem Sokolnickim i Leonem Wasilewskim na czele, ale najwięcej do powiedzenia mieli w nim ludzie Dmowskiego.

Wielki dzień Dmowskiego

Celem konferencji paryskiej było ustanowienie pokoju pomiędzy państwami ententy a pokonanymi Niemcami i ich sojusznikami, stworzenie nowego politycznego i terytorialnego ładu światowego oraz utworzenie organizacji, która stałaby na jego straży i zapobiegała konfliktom zbrojnym w przyszłości. Decydujący głos w czasie obrad miało pięć mocarstw: Francja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Włochy i Japonia. Szefowie ich rządów i ministrowie spraw zagranicznych zasiadali w Radzie Najwyższej zwanej też Radą Dziesięciu (po usunięciu szefów dyplomacji przekształcono ją w Radę Pięciu). Ponieważ Japonia angażowała się głównie w sprawy Dalekiego Wschodu, w praktyce decyzje podejmowała tzw. wielka czwórka: prezydent USA Woodrow Wilson, premier Wielkiej Brytanii David Lloyd George, premier Francji Georges Clémenceau i premier Włoch Vittorio Orlando. Realizowali oni przede wszystkim interesy swoich krajów, często nie uwzględniając postulatów i opinii mniejszych państw. Dmowski we wspomnieniowej (i autopromocyjnej) książce *Polityka polska i odbudowanie państwa* zapisał: *Był to pierwszy wielki kongres państw demokratycznych. Na żadnym z poprzednich kongresów jednostki nie miały pozostawionej sobie takiej niekontrolowanej decyzji o losach narodów. Nie mieli tego nawet autokratyczni monarchowie.*

Mapa Drugiej Rzeczypospolitej, wyd. Jan Zabiełło, 1920. Fot. polona.pl

Mocarstwa decydowały także o granicach Polski. Żadne nie kwestionowało jej istnienia, diabeł jednak tkwił w szczegółach. Na polskie postulaty terytorialne, zwłaszcza dotyczące ziem zaboru pruskiego, przychylnie patrzyła Francja, która po katastrofie Rosji potrzebowała na wschodzie sojusznika zdolnego szachować Niemcy i zapory przed rozlaniem się rewolucji po Europie. Niechętny Polsce był Lloyd George, który nie chciał zanadto osłabiać Niemiec i pozwolić na hegemonię Francji na kontynencie. Wilson zabiegał o realizację zasady samostanowienia narodów i wytyczenie granic państw według kryteriów etnograficznych. O przyszłości obszarów mieszanych narodowościowo miały zdecydować plebiscyty. Mimo że Wilson prezentował się jako przyjaciel Paderewskiego, raczej rzadko wsłuchiwał się w polskie argumenty.

29 stycznia 1919 roku Roman Dmowski został wezwany przez Radę Najwyższą. Dopiero na miejscu dowiedział się, że ma przedstawić przywódcom mocarstw całokształt sprawy polskiej. Mimo że nie miał przygotowanego wystąpienia, stanął na wysokości zadania. Przemawiał przez kilka godzin po francusku,

Biuro Prac Kongresowych

Zaplecze eksperckie dla polskiej delegacji w Paryżu stanowiło Biuro Prac Kongresowych. Zostało utworzone już w grudniu 1918 roku z inicjatywy grupy naukowców, działaczy gospodarczych i społecznych. Na mocy porozumienia z MSZ biuro uzyskało finansowanie państwowe, a potem stało się agendą resortu. Kierował nim Franciszek Jan Pułaski, historyk, bibliotekarz, wieloletni sekretarz Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, w 1918 roku marszałek Rady Stanu.

Dla BPK pracowali czołowi polscy uczeni: historycy, prawnicy, geografowie, ekonomiści, statystycy. Byli wśród nich profesorowie: Franciszek Bujak, Józef Buzek, Jan Czekanowski, Oskar Halecki, Władysław Konopczyński, Eugeniusz Romer, Wacław Sobieski.

W czasie obrad paryskich bardzo ważną rolę odegrał geograf i kartograf Eugeniusz Romer. Jego mapy i tablice statystyczne z wydanego w 1916 roku *Geograficzno-statystycznego atlasu Polski*, ukazujące m.in. stosunki etniczne na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, w przekładzie na francuski i angielski, bardzo się przydały w kontaktach z zagranicznymi politykami i ekspertami.

W *Polityce polskiej i odbudowaniu państwa* Dmowski był bardzo krytyczny wobec specjalistów z Biura Prac Kongresowych: *Nigdy nie mogłem zrozumieć, co sobie myśleli ludzie zamawiający przed konferencją u kogo się dało referaty na wszelkie możliwe tematy polskie, niemające często żadnego związku ze sprawą naszą na konferencji. Czy spodziewali się, że Lloyd George to będzie czytał?* Były to słowa niesprawiedliwe i kryła się za nimi megalomania polityka, który głównie sobie przypisywał polskie sukcesy na konferencji paryskiej.

a że nie przypadło mu do gustu tłumaczenie na angielski, powtarzał wypowiedziane kwestie także w tym języku. Jak pisał historyk Marian Kukiel: *Zaimponował konferencji świetnym improwizowanym wykładem, swobodnym operowaniem z pamięci ogromem faktów i cyfr, potężną logiką wywodów, które wiele kwestii narzuciły, ale nie przekonały we wszystkim*. Dmowski akcentował zagrożenie ze strony Niemiec i domagał się przyznania Polsce Gdańska, Wielkopolski oraz Górnego Śląska. Korzystając z dostarczonej naprędce mapy, zaprezentował program terytorialny na Wschodzie – wyszedł od przedrozbiorowej granicy z 1772 roku, ale dopuszczał znaczące odstępstwa od niej, uwzględniające zmiany ludnościowe, jakie zaszły na Kresach od tego czasu. Twierdził, że na tle pogrążonej w politycznym chaosie Europy Wschodniej Polska stanie się oazą stabilności i porządku. Opowiedział się przeciwko niepodległościowym aspiracjom Ukraińców w Galicji Wschodniej, wątpił też w państwowotwórcze możliwości Litwinów i Białorusinów.

Dmowski streścił swój program w liście do Stanisława Grabskiego z 14 marca 1919 roku, pisząc, że *Polska powinna istnieć w koncepcji naszej, wielkiej: nie będzie to już ten folwarczek* [...], *ale duże państwo europejskie z szerokimi interesami i rodzącą się z nich szerszą myślą*.

Lloyd George przeciwko Polsce

Utworzona przez Radę Najwyższą Komisja do Spraw Polskich której przewodniczył francuski dyplomata Jules Cambon zajęła się w pierwszej kolejności przebiegiem granicy polsko-niemieckiej. W raporcie z 12 marca 1919 roku zaakceptowała większość postulatów delegacji polskiej, w tym przyłączenie do Polski Pomorza z Gdańskiem, Wielkopolski i całego Górnego Śląska. Na Warmii i Mazurach miał się odbyć plebiscyt.

Wtedy do akcji wkroczył David Lloyd George, gwałtownie protestując, zwłaszcza w kwestii Gdańska, w którym liczebnie zdecydowanie przeważali Niemcy. Brytyjski premier przekonał Wilsona argumentem, że oddanie miasta i portu Polsce może się stać zarzewiem nowej wojny. W efekcie przywódcy mocarstw uradzili, że Gdańsk stanie się wolnym miastem pod protektoratem Ligi Narodów, zaprojektowanej przez Wilsona organizacji mającej stać na straży pokoju i rozwiązywać spory między państwami drogą dyplomatyczną. Nie pomogły przemowy i zakulisowe starania Paderewskiego. Gdańsk stał się Wolnym Miastem.

Brytyjski premier opierał się także przekazaniu Polsce Górnego Śląska z kopalniami i hutami. Optował za niekorzystnym dla niej przebiegiem linii rozgraniczającej obszary polski i ukraiński w Galicji Wschodniej. Licząc na odbudowę białej Rosji, postulował, aby wschodnią granicę Polski wyznaczał Bug (była to pierwsza przymiarka do tzw. linii Curzona, wysuniętej potem w 1920 roku, do której powrócono podczas drugiej wojny światowej).

Oceniając konferencję z perspektywy czasu, Lloyd George tak podsumował starcia z polskimi delegatami: *Nikt nie sprawiał większego kłopotu niż Polacy.* [...] *Upojona młodym winem wolności, dostarczonym przez aliantów, Polska wyobrażała sobie, że jest znów panią losów Europy Środkowej.*

Traktat podpisany wśród luster

28 czerwca 1919 roku, dokładnie pięć lat po zabójstwie w Sarajewie austriackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, które stało się bezpośrednim powodem wybuchu pierwszej wojny światowej, w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu miała miejsce uroczystość podpisania traktatu pokojowego z Niemcami. Te nie chciały się zgodzić na traktat nakazujący im prawie całkowi-

te rozbrojenie, oddanie wszystkich kolonii i części terytorium Rzeszy, wypłatę olbrzymich reparacji wojennych, zgodę na okupację Zagłębia Saary. Uznały jednak „dyktat wersalski" pod groźbą wznowienia działań wojennych przez aliantów.

W myśl art. 27 traktatu w granicach państwa polskiego miała się znaleźć prawie cała Wielkopolska (bez Babimostu, Międzyrzecza, Skwierzyny i Wschowy), część Pomorza Gdańskiego z 70-kilometrowym pasem wybrzeża morskiego, zachodnia część ziemi kwidzyńskiej. O przynależności Górnego Śląska oraz Warmii i Mazur miał rozstrzygnąć plebiscyt. Gdańsk stawał się wolnym miastem, w którym Polsce gwarantowano szerokie uprawnienia. Dzięki decyzjom mocarstw podjętym w Wersalu Polska uzyskała terytorium o powierzchni ok. 45 tys. km kw., na którym mieszkały ponad 3 mln ludzi, w tym ponad 60 proc. Polaków.

Był to sukces Polski. Choć nie udało się zrealizować wielu postulatów dotyczących przebiegu granic zachodniej, północnej i południowej (granicę wschodnią w dużym stopniu ukształtowaliśmy sami), to dzięki podpisom Paderewskiego i Dmowskiego złożonym w Wersalu państwo polskie, którego jeszcze pięć lat wcześniej nie było na mapie, utrwaliło swą niepodległość. Potwierdziło, że jest pełnoprawnym podmiotem prawa międzynarodowego, członkiem zwycięskiego obozu w wojnie, wreszcie współtwórcą dokumentu, który na następne 20 lat ukształtował ład polityczny w świecie. Traktat wersalski na długo stał się kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej.

Konferencja paryska nie zakończyła się wraz zawarciem pokoju z Niemcami. Trwała do 21 stycznia 1920 roku. W tym czasie zawarto traktaty pokojowe z Austrią (10 września 1919), Bułgarią (27 listopada 1919). Później mocarstwa podpisały jeszcze pokój z Węgrami (10 sierpnia 1920) i Turcją (20 listopada 1920)

Kłopoty z ratyfikacją

Razem z traktatem pokojowym polscy delegaci musieli podpisać w Wersalu tzw. mały traktat wersalski, zwany również mniejszościowym. Mocarstwa przygotowały go z obawy, że mniejsze (zwłaszcza nowo powstałe) państwa nie będą szanowały praw mniejszości narodowych, które znalazły się lub znajdą w ich granicach. Zostały one zobowiązane do zagwarantowania i przestrzegania tych praw, m.in. w zakresie ochrony zdrowia i życia, swobód religijnych, kultury, języka, przyjmowania i porzucania obywatelstwa, równego dostępu do godności i urzędów. Mniejszości, które uważały się za dyskryminowane lub zagrożone dyskryminacją, mogły się odwołać bezpośrednio do Ligi Narodów. Spory miał rozstrzygać Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej. Traktaty mniejszościowe narzucono nie tylko Polsce, ale także Rumunii, Grecji, Czechosłowacji oraz Królestwu Serbów, Chorwatów i Słoweńców (późniejszej Jugosławii). Podobne zapisy znalazły się w traktatach pokojowych ententy z Austrią, Węgrami, Bułgarią i Turcją.

Władze polskie nie kwestionowały praw mniejszości, ale sprzeciwiały się tak daleko idącej ingerencji w sprawy wewnętrzne – w dodatku ingerencji asymetrycznej, bo podobnego traktatu nie podpisały mocarstwa ani Niemcy. Stworzyło to drastyczną nierównowagę w statusie prawnym mniejszości polskiej w Niemczech w stosunku do mniejszości niemieckiej w Polsce.

Traktat mniejszościowy o mało nie stał się przyczyną odrzucenia traktatu wersalskiego przez Sejm Ustawodawczy. Podczas burzliwej debaty 30 lipca 1919 roku wielu posłów uznało ten dokument za kamień obrazy dla Polski i Polaków. Przedstawiciele PSL Piast wezwali do odroczenia głosowania nad ratyfikacją traktatu *aż do uzgodnienia jego postanowień z zasadą suwerenności państwa polskiego*. W dramatycznym wystąpieniu z trybuny sejmowej premier Paderewski powiedział: *Ojczyzna nasza wolna nareszcie! Traktat pokojowy, podpisany przez Niemców, uznał niepodległość Polski, główne sprzymierzone i stowarzyszone mocarstwa stwierdziły ją uroczyście. Jeśli plebiscyt na Warmii, w Prusach Książęcych i na Górnym Śląsku na naszą wypadnie korzyść, to odzyskamy znaczny szmat macierzystej ziemi* [...]. *Dziś już śmiało rzec można, że tam na zachodzie stanęła pokaźna i piękna część państwowego gmachu Polski, stanęła mocno, na prawnych podstawach, uznana przez wszystkie ludy i narody, przez wszystkie największe świata potęgi.* [...] *Ocknijcie się, otrząśnijcie, bo w całym długim szeregu dnia piękniejszego, sławniejszego, wiekopomniejszego nie ma, daty szczęśliwszej, piękniejszej i płodniejszej niż dzień 28 czerwca 1919.*

31 lipca posłowie ostatecznie przegłosowali ratyfikację traktatu wersalskiego. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski podpisał dokument ratyfikacyjny 1 września 1919 roku. Traktat wszedł w życie 10 stycznia 1920 roku.

Dzięki podpisom Paderewskiego i Dmowskiego złożonym w Wersalu państwo polskie, którego jeszcze pięć lat wcześniej nie było na mapie, utrwaliło swą niepodległość

Bogusław Kubisz, historyk, redaktor „Mówią wieki".

POLSKIE PLANY *federacyjne* LAT MIĘDZYWOJENNYCH

BŁAŻEJ BRZOSTEK

Polska, wracająca na mapy Europy w 1918 roku, była państwem, którego nikt z własnego doświadczenia nie pamiętał. Wszyscy znali Rzeczpospolitą z opisów, wspomnień, nostalgicznych wizji. Było to państwo federacyjne – unia w założeniu równorzędnych partnerów: Polski i Litwy. Ponieważ kształtujący się po pierwszej wojnie światowej ład międzynarodowy był bardzo niepewny, idea federacyjna zyskała pewną popularność, a jej zwolennicy chętnie odwoływali się właśnie do nowożytnych ideałów Rzeczypospolitej.

Drugi Kongres Paneuropejski w Berlinie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Nim jeszcze nadszedł 1918 rok, z ideą związku czy unii związane były dwie zasadnicze koncepcje odrodzenia państwa polskiego. Jedni optowali za zbudowaniem państwowości opartej na rozszerzeniu Austro-Węgier (ten pomysł przez jakiś czas kojarzono z nazwiskiem Józefa Piłsudskiego), inni za związkiem z Rosją (idea Ligi Narodowej Romana Dmowskiego z przełomu wieków, a następnie Narodowej Demokracji). Przebieg Wielkiej Wojny unieważnił jednak te koncepcje, ponieważ mocarstwa zaborcze rozpadły się, a ład międzynarodowy tworzono na ich gruzach. To, dość nieoczekiwanie, pozwalało na stworzenie w Europie Środkowej całej mozaiki państw, w tym Polski. Zarówno jednak jej ostateczny kształt geograficzny, jak i ustrojowy, pozostawał przedmiotem sporów, układów, plebiscytów i rozstrzygnięć zbrojnych. Był to także czas znacznego ożywienia idei federacyjnych. Przedstawiano je czy to z pobudek idealistycznych, czy pragmatycznych, gdy służyć miały utrwaleniu pozycji Polski w regionie.

Nadzieje na Międzymorze

W okresie tworzenia się państwa wiosną 1919 roku skomplikowaną koncepcję federacyjną złożył w sejmie Józef Buzek, ekonomista i szef Głównego Urzędu Statystycznego, zatem postać znacząca wśród elit. Jego propozycja nosiła piętno ówczesnych działań pionierskich, gdy wydawało się, że Europę można budować od podstaw, i lęków wyniesionych z Wielkiej Wojny. Otóż Buzek proponował stworzenie Polski jako federacji 70 krajów, każdy byłby zamieszkany przez 200–500 tys. ludzi i każdy rządziłby się odrębną konstytucją. Podział zostałby narzucony bez konsultacji społecznych, lecz po czterech latach poddano by go powszechnemu referendum. Projekt ten można uznać za nową wizję porządku europejskiego, wyrastającą z doświadczenia skutków ostrego nacjonalizmu. Nigdy nie został poddany pod dyskusję w sejmie, co oznacza, że był uznawany za ekscentryczny, jednak odzwierciedlał obawy przed dominacją jakiejś większości politycznej czy ideologicznej (dodajmy, że obawy w dużym stopniu racjonalne).

Los terytoriów podzielonych po pokoju ryskim był wyjątkowo ponury. W wyniku kolektywizacji rolnictwa narzuconej przez Stalina wschodnia Ukraina została dotknięta klęską głodu

Idee federacyjne miały zwykle charakter antynacjonalistyczny, ale mogły służyć utrwalaniu władztwa politycznego – i w takich sytuacjach bywały poważnie brane pod uwagę przez rządzących. W latach 1918–1921 starano się rozwiązać problem wschodnich granic Polski i zapewnić jej bezpieczeństwo poprzez jakiś układ regionalny, osłabiający potencjalne agresywne zapędy bolszewickiej Rosji lub Niemiec. Powoływano się na kulturalną wspólnotę Europy Środkowej – słowiańską, chrześcijańską – związek z kulturą zachodnią, jak również na geograficzne i gospodarcze cechy regionu. Wspominano także o domniemanym powołaniu Polski do opieki nad sąsiadami i snuto wizje jej mocarstwowej roli.

Wizja polsko-litewskiego mocarstwa przetrwała w świadomości elit okres rozbiorowy, gdy wspomnienie unii wydawało się inspiracją dla tworzenia przyszłego organizmu państwowego. Odbijało się to w obu konkurencyjnych ideach: inkorporacyjnej, związanej z Dmowskim, który zakładał budowę możliwie najrozleglejszego państwa i asymilację mniejszości na jego terytorium, i zwłaszcza w federacyjnej, związanej z Piłsudskim i tradycją jego macierzystej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Linia Curzona, wyrysowana w Paryżu w 1919 roku jako wschodnia granica Polski (i zbliżona do dzisiejszej granicy RP), nie odpowiadała ówczesnym polskim ambicjom państwowotwórczym, które wezbrały pod wpływem całkowitego rozpadu dotychczasowej geopolityki. Piłsudski wyobrażał sobie wyznaczenie wschodniej granicy najdalej jak się da poprzez akcję zbrojną, ale też w porozumieniu z narodami żyjącymi między Polską a Rosją. Projekt federacyjny kierowano do elit litewskich, ukraińskich i białoruskich, które miałyby wspomóc Rzeczpospolitą, zaś Rosja miałaby zostać osłabiona i odsunięta na wschód. Piłsudski był raczej praktykiem niż teoretykiem federalizmu, chociaż niewątpliwie jego poglądy miały podłoże emocjonalne: wychował się na terenach, na których pamięć o Wielkim Księstwie Litewskim i jego związku z Koroną była żywa.

Niektórzy stronnicy Piłsudskiego uznawali, że unia polsko-litewska w istocie nigdy nie wygasła. Projekt jej ożywienia już w roku 1917 przedstawił Witold Kamieniecki, filozof i historyk, znawca Litwy średniowiecznej i szef mającego realizować projekty federacyjne Komitetu Litewskiego. Była to wizja wielkiej Litwy od Bałtyku po Ukrainę, z Wilnem, Kownem i Mińskiem jako głównymi centrami i granicami wzdłuż Dźwiny i Dniepru, sfederalizowanej na wzór szwajcarski, z krajowymi sejmami i trzema językami o równej pozycji w nauczaniu, administracji i armii. Centralny rząd w Wilnie byłby odpowiedzialny przed federalnym sejmem, w którym połowa deputowanych byłaby z wyboru, a połowa stanowiła delegację sejmów krajowych. Państwo litewskie byłoby złączone unią z Polską,

a w szerszej skali twór taki współpracowałby z federacjami skandynawską i bałkańską; w ten sposób powstałby pas krajów (zwanych Związkiem Federacji Europejskich) separujący Niemcy od Rosji. To potężne Międzymorze gwarantowałoby pokój i stabilność w Europie. Jak głosił bliski współpracownik Piłsudskiego Tadeusz Hołówko, Polska byłaby „organizatorką i strażniczką" takiej unii.

Koncepcje federacji

U początków niepodległości żywa była też idea federacji polsko-ukraińskiej, wyrażona w porozumieniu między Piłsudskim a Semenem Petlurą, szefem rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej. Próba zbudowania niepodległego państwa ukraińskiego spaliła jednak na panewce, a Polska bronić musiała przedmieść Warszawy przed atakiem wojsk bolszewickich. Dla niektórych komentatorów był to kolejny historyczny dowód na przeznaczoną Polsce rolę przedmurza cywilizacji chrześcijańskiej. Tak czy owak Bitwę Warszawską 1920 roku można uznać za zderzenie dwóch wizji federacyjnych – bolszewicy snuli bowiem własne plany tego rodzaju. W latach 1918–1919, gdy przewidywali ekspansję swych idei na zachód, wspominali o federacji z Polską (Stanisław Pestkowski, Julian Marchlewski), a nawet o federacyjnej Polskiej Republice Rad, rozciągającej się także na terytoriach ukraińskich, litewskich i białoruskich (o czym pisano w kijowskim periodyku „Komunista Polski"). Jak wiadomo, niezależnie od rzeczywistej ideowości wielu jej rzeczników, tego rodzaju „federalizacja" przybrała w Rosji Sowieckiej postać fasadową, służąc w końcu budowie centralistycznej dyktatury. Pokój ryski z 1921 roku, wskutek którego podzielone zostały terytoria białoruskie i ukraińskie, zamknął ostatecznie epokę planowania federacji na terytoriach między Polską a Rosją.

Odtąd wizje federacyjne podtrzymywane były w wąskich kręgach inteligencji, odwołującej się chętnie do dziedzictwa jagiellońskiego. Od czasu do czasu pojawiały się w publicystyce wezwania do federalizacji Europy. Unia państw środkowoeuropejskich wzmiankowana była w enuncjacjach rządu Wincentego Witosa, sformowanego latem 1923 roku, lecz nie wyszła poza ogólne formuły. Projekty Międzymorza nie dały się jednak utrzymać wśród geopolitycznych manewrów lat dwudziestych, chociaż z różnych stron wysuwano wówczas koncepcje różnego rodzaju bloków i federacji. Czechosłowaccy dyplomaci zdawali się wspierać francuską wizję bloku słowiańskiego skupiającego Jugosławię, Polskę i ich własne państwo jako siłę wiodącą. Odrzucali zarazem polskie sugestie włączenia Węgier w podobną strukturę. Warszawa przedstawiała więc wizję bloku polsko-węgiersko-rumuńskiego. W efekcie utworzona została pod patronatem Francji tzw. mała ententa (Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia), co skłoniło dyplomatów w Warszawie do kreowania raczej porozumień między Wschodem a Zachodem.

Los terytoriów podzielonych po pokoju ryskim był wyjątkowo ponury. Timothy Snyder nazwał te obszary „skrwawionymi ziemiami". W wyniku kolektywizacji rolnictwa narzuconej przez reżim Stalina wschodnia Ukraina dotknięta została klęską głodu, a w latach czterdziestych XX wieku jej zachodnia część stała się areną krwawych konfrontacji polsko-ukraińskich. W latach dwudziestych dziedziczące symbolicznie tradycje unii jagiellońskiej Polska i Litwa weszły w spór o Wilno, a zajęcie tego miasta przez Polaków pogrzebało myślenie federacyjne. Polska, będąca w złych stosunkach z większością sąsiadów, w 1939 roku została starta z map Europy, a Litwa – po epizodzie odzyskania Wilna – przymusowo wcielona do Związku Radzieckiego.

Paneuropa

Na początku lat dwudziestych skrzypek Bronisław Huberman napisał po powrocie z USA, że zobaczył tam kwitnące pejzaże, optymizm i zamożność, które Europejczykowi wydają się rajem utraconym. W tym okresie pojawiały się wizje Stanów Zjednoczonych Europy, czyli federalizacji na wzór amery-

Józef Buzek, ekonomista i szef Głównego Urzędu Statystycznego. Jego propozycja państwa federalnego była dość skomplikowana – otóż Polska miałaby być federacją 70 krajów, każdy miałby być zamieszkany przez maks. 500 tys. osób i każdy rządziłby się odrębną konstytucją. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Filozof i historyk Witold Kamieniecki proponował odnowienie unii Polski i Litwy; Litwa miałaby się rozciągać od Bałtyku po Ukrainę, z Wilnem, Kownem i Mińskiem jako głównymi centrami i granicami wzdłuż Dźwiny i Dniepru. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

kański. Tego rodzaju sugestie wysuwali m.in. zwolennicy projektów Piłsudskiego. Nieco mniejszy, lecz zauważalny, wpływ miała Konfederacja Szwajcarska jako wzór rozwiązania problemów wieloetniczności. Odwoływano się też do wzorów historycznych, obok unii polsko-litewskiej do związku państw niemieckich czy dawnego *pax romana*. Wszystkie te wizje były zaprawione idealizmem, lecz ich rzecznicy przedstawiali trzeźwe argumenty, wskazując na ilość potencjalnych napięć wynikających z podziałów terytorialnych.

Najbardziej znanym i wpływowym ruchem na rzecz federalizacji kontynentu był ruch paneuropejski, proklamowany w 1924 roku w Wiedniu przez austriackiego księcia Richarda Coudenhove-Kalergi. Ten niebywale rzutki publicysta, wydawca, człowiek o dużej charyzmie i uroku poruszał się wśród europejskich elit i potrafił niemałą ich część pozyskać dla swego idealistycznego założenia. Projektował Paneuropę jako wielką organizację międzynarodową, nieuwzględniającą wprawdzie Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego, postrzeganych jako struktury zbyt wielkie i (w wypadku ZSRR) obce ideowo, ale znajdującą niemało entuzjastów w Europie Środkowej. W 1926 roku Kalergi zorganizował Kongres Paneuropejski w Wiedniu, na którym pojawił się m.in. Aleksander Lednicki, polski animator ruchu, prawnik, finansista i polityk, wspomniany Huberman czy Marian Dąbrowski, wydawca największego polskiego dziennika, „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Ci ludzie budowali polski komitet paneuropejski, pozyskując niektóre znaczące osobistości życia publicznego, w tym polityka ludowego Stanisława Thugutta, byłego ministra spraw zagranicznych Aleksandra Skrzyńskiego czy autorów wcześniejszych projektów federacyjnych – Buzka i Kamienieckiego. Cały projekt miał wsparcie polskiej dyplomacji jako jeszcze jedno narzędzie jej wpływu w regionie. Zostały utworzone lokalne komitety, jak wileński, kierowany przez filozofa Mariana Zdziechowskiego, czy krakowski, któremu szefował historyk Stanisław Estreicher; obaj byli rektorami uniwersytetów. Przewodniczącym komitetu ogólnopolskiego był Lednicki, który twierdził, że cały ruch służy „racjonalizacji" życia politycznego, skażonego przez idee skrajne – nacjonalizm i bolszewizm. Sądził, że w przyszłości regionalne porozumienia przekształcą się w Stany Zjednoczone Świata.

Ruch paneuropejski powiązany był ze stowarzyszeniami Przyjaciół Ligi Narodów, organizacji zbudowanej po pierwszej wojnie światowej dla ochrony świata przed destabilizacją (i stale krytykowanej za marazm i nieskuteczność działań). Przyjaciele LN, skupiający się na uniwersytetach, tworzyli środowisko zróżnicowane i otwarte, chociaż o ograniczonych wpływach. Związani z ideą pacyfizmu, przyciągali zwolenników partii chłopskich i socjalistycznych, ale też katolików czy syjonistów. Były to jednak środowiska niewielkie, zaś czołówka ruchu paneuropejskiego miała charakter bardzo elitarny i arystokratyczny. Rangę ruchu ograniczyły zresztą szybko starania Kalergiego o pozyskanie polityków niemieckich. Książę traktował polsko-niemieckie napięcia jako przeszkodę dla swych projektów, a jego wypowiedź z 1927 roku, gdy sugerował, że Rzeczpospolita winna zgodzić się na wcielenie Gdańska do Niemiec, popsuła mu opinię wśród polskich uczestników ruchu. Ich komitet dotrwał do połowy lat trzydziestych.

Gdy już w okresie drugiej wojny światowej Kalergi próbował zainteresować swymi wizjami polskich polityków emigracyjnych, spotkał się z chłodną odprawą. W tym czasie rząd polski w Londynie zaangażowany był w chyba najbardziej jak do tej pory opracowany i budzący spore nadzieje projekt federacyjny – wizję związku polsko-czechosłowackiego. Ten projekt stał się jednak bezprzedmiotowy po 1943 roku, gdy na drodze do jego realizacji stanął Stalin. Raz jeszcze fasadowa i totalitarna w istocie „federacyjność" typu sowieckiego uderzała w projekty federalistyczne rozwijane pomiędzy Niemcami i Rosją.

Błażej Brzostek, historyk, wykładowca w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor „Mówią wieki".

JAK SAMOUK ZOSTAŁ *marszałkiem*

BOGUSŁAW KUBISZ

11 listopada 1918 roku Józef Piłsudski, jeszcze kilka dni wcześniej niemiecki więzień polityczny, otrzymał od Rady Regencyjnej zwierzchnictwo nad wojskiem. Co było dalej – wiadomo. Piłsudski stworzył siły zbrojne, które biły się o granice odrodzonego państwa polskiego, w wyczerpującej wojnie pokonał bolszewików i został Pierwszym Marszałkiem Polski. Jego prymat musieli uznać generałowie również aspirujący do funkcji Naczelnego Wodza Wojska Polskiego: Józef Dowbór-Muśnicki i Józef Haller.

Józef Piłsudski z buławą marszałkowską w ręku podczas uroczystości dekoracji tarczy herbowej Lwowa Krzyżem Virtuti Militari, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Kariera wojskowa Józefa Piłsudskiego była wyjątkowa i nietypowa, niemożliwa do powtórzenia w państwach ustabilizowanych, które nie musiały walczyć o niepodległość lub nie miały w swych dziejach rewolucji. Dowodzenie ponadmilionową (jesienią 1920 roku) armią i buława marszałkowska przypadły człowiekowi, który nie odbył służby zasadniczej (do wojska rosyjskiego iść nie chciał), nie uczył się w żadnej szkole wojskowej, a mundur – i to jeszcze nie regularnego wojska, ale paramilitarnego Związku Strzeleckiego – założył, będąc już dobrze po czterdziestce. Piłsudski uczył się wojaczki na frontach pierwszej wojny światowej, dowodząc kompanią, pułkiem i wreszcie brygadą Legionów Polskich - formacji ochotniczej walczącej w ramach armii Austro-Węgier. Będąc formalnie obywatelem Rosji, początkowo nie miał nawet stopnia wojskowego i dopiero w listopadzie 1914 roku został mianowany brygadierem. Jego kolejna ranga była już... marszałkowska. Co ciekawe, Piłsudski jako Naczelnik Państwa mianował sam siebie dekretem z 19 marca 1919 roku: „Stopień Pierwszego Marszałka Polski przyjmuję i zatwierdzam".

Wojskowy samouk

Piłsudski od dziecka marzył o tym, że wywalczy niepodległość Polski i pobije jej głównego ciemiężyciela - Rosję. Wychowany przez rodziców w kulcie powstań narodowych, zwłaszcza styczniowego (jego ojciec był Józef Wincenty był wówczas komisarzem tajnego Rządu Narodowego), od młodości interesował się strategią i taktyką wojskową. Zaczytywał się w biografiach wybitnych dowódców z Napoleonem Bonaparte na czele (od Cesarza Francuzów zaczerpnął wiarę w skuteczność wojny manewrowej, posiadanie inicjatywy na polu walki i koncepcję skupiania sił do uderzenia w wybranym miejscu), analizował prace teoretyczne Clausewitza, Moltkego, Schlieffena czy opracowania poświęcone konfliktom zbrojnym.

Piłsudski wykazał predyspozycje dowódcze jako wieloletni konspirator i przywódca Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej. Organizację Bojową traktował jako detonator „rewolucji", czyli faktycznie kolejnej insurekcji narodowej, oraz kuźnię kadr wojskowych. Gdy robotnicze wystąpienia w Królestwie Polskim zostały stłumione przez carat, Piłsudski przeniósł się do austriackiej Galicji. Tam porzucił szyld partyjny i rozwijał – za cichą zgodą czynników wojskowych Austro-Węgier – paramilitarny ruch strzelecki. Jego celem było stworzenie polskiej siły zbrojnej w obliczu rysującej się wojny między zaborcami. „Ruch wojskowy wprowadza ponownie kwestię polską na szachownicę europejską. [...] Jedynie miecz waży dziś coś na szali losu narodów. Naród, który chciałby przymknąć oczy na tę oczywistość, przekreśliłby bezpowrotnie swą przyszłość" – powiedział w 1914 roku.

Piłsudski, który został Komendantem Głównym Związków Strzeleckich, był dla młodych strzelców wielkim autorytetem. Jego charyzmie ulegali także starsi, tacy jak ponadtrzydziestoletni poeta Bolesław Długoszowski, który przyszedł na odczyt wygłoszony w Paryżu w lutym 1914 roku. Pod wpływem tego, co zobaczył i usłyszał, napisał do brata: „...od kilku dni czuję, że jestem naprawdę żołnierzem. Mam wodza.". Wkrótce przybył do Galicji na kurs Związku Strzeleckiego, a potem został ulubionym ułanem i adiutantem Piłsudskiego.

Legiony, licytacja wzwyż i więzienie

Gdy latem 1914 roku wreszcie wybuchła prorokowana przez Piłsudskiego wojna, posłał on z Krakowa do Królestwa Polskiego swoich strzelców – Pierwszą Kompanię Kadrową. Przed wymarszem powiedział im: „Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. [...] Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały [...] Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska.".

Akcja strzelców rychło przerodziła się epopeję Legionów Polskich. Choć nazwisko Piłsudskiego nierozerwalnie splotło się z Legionami, warto przypomnieć, że ich powstanie wiązało się z klęską jego planu wywołania powstania w Królestwie i stworzenia metodą faktów dokonanych polskich władz i polskiej siły zbrojnej. Legiony z jednej strony uratowały oddziały strzeleckie, które władze austriackie chciały zlikwidować, ale z drugiej podporządkowały je dowództwu c.k. armii. Warto też pamiętać, że Piłsudski nigdy nie dowodził całymi Legionami, ale tylko ich I Brygadą. Tę brygadę traktował zresztą jak swoje wojsko, często wchodząc w spory z mianowanymi przez dowództwo austriackie komendantami Legionów. Podkomendni byli zapatrzeni w Piłsudskiego jak w obrazek. Jak pisał Wacław Jędrzejewicz, „Głównym elementem wiążącym żołnierzy I Brygady było bezgraniczne zaufanie do obywatela Komendanta,

Dowodzenie ponadmilionową armią i buława marszałkowska przypadły człowiekowi, który nie odbył służby zasadniczej, nie uczył się w żadnej szkole wojskowej, a mundur założył, będąc już dobrze po czterdziestce

wielka żołnierska miłość i przywiązanie, najcenniejszy dar, jaki żołnierz może dać swojemu dowódcy".

Walki Legionów Polskich, liczących maksymalnie ok. 20 tys. żołnierzy, nie miały najmniejszego znaczenia dla przebiegu Wielkiej Wojny, w której ścierały się wielomilionowe armie, miały jednak istotny wymiar symboliczny. Piłsudski wykorzystał to jako kartę przetargową do „licytacji sprawy polskiej wzwyż". Odbudowę państwa polskiego zapowiedział akt wydany przez cesarzy Niemiec i Austro-Węgier 5 listopada 1916 roku. Piłsudski za swą niepokorność zapłacił jednak dymisją z Legionów. Gdy zaś w lipcu 1917 roku sprzeciwił się składaniu przez legionistów przysięgi na wierność niemieckiemu monarsze, został aresztowany i osadzony w twierdzy magdeburskiej.

Zwycięski naczelny wódz

Piłsudski, uwolniony przez Niemców, wrócił do Warszawy 10 listopada 1918 roku w całkowicie zmienionej sytuacji politycznej, gdy Polska odradzała się po 123 latach niewoli. Otoczony nimbem niezłomnego bojownika o niepodległość i więźnia politycznego dostał władzę wojskową i cywilną jak na tacy. Był powszechnie traktowany jak mąż opatrznościowy, który miał odbudować i zjednoczyć kraj i jednocześnie odsunąć widmo rewolucji. Nawet wroga mu endecja nie zdobyła się na otwarty sprzeciw.

Jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz Piłsudski stanął na wysokości zadania. W obliczu walk o granice państwa skupił się na organizowaniu i dowodzeniu Wojskiem Polskim. Stosował przy tym zasadę „wszystkie ręce na pokład", przyjmując do szeregów Polaków służących w armiach państw zaborczych, Legionach i Polskiej Sile Zbrojnej, Polskiej Organizacji Wojskowej, formacjach tworzonych w Rosji i na Zachodzie. Jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz, „Wewnętrzna formuła Piłsudskiego w tym okresie brzmiała: niech przychodzi każdy, kto chce mnie uznać za wodza, będę mu rad, nie będę mu pamiętał, co robił wczoraj, chcę zjednoczyć wszystkich". Naczelny Wódz potrafił wykorzystać umiejętności generałów i oficerów wywodzących się z odmiennych szkół i tradycji wojskowych, nawet jeśli z niektórymi z nich był osobiście skonfliktowany. Jego „mężami zaufania" w wojsku byli jednak legioniści i peowiacy, których faworyzował.

Najważniejsza okazała się wojna na wschodzie z bolszewicką Rosją – o być albo nie być odrodzonej Polski. W jej trakcie Piłsudski wykazał się, jak pisał historyk wojskowości Juliusz S. Tym, „niezwykłym zmysłem strategicznym i analitycznym, a także wyczuciem przełomowych chwil. W kluczowych sytuacjach udawał się na front aby bezpośrednio kierować decydującymi operacjami przeciwko Armii Czerwonej – wileńskiej w kwietniu 1919 r. oraz w 1920 r.: kijowskiej – wiosną, warszawskiej – w sierpniu, niemeńskiej – we wrześniu".

To Piłsudski wygrał decydującą bitwę warszawską w sierpniu 1920 roku. Tlący się do dziś spór o autorstwo tego zwycięstwa – nazwanego przez przeciwników Marszałka „cudem nad Wisłą" i przypisywanemu szefowi sztabu gen. Tadeuszowi Rozwadowskiemu lub francuskiemu generałowi Weygandowi – jest bezprzedmiotowy. Piłsudski chciał pobić bolszewików manewrem na ich odsłonięte skrzydło, co ze względu na szybki odwrót wojsk polskich udało się dopiero nad Wisłą i Wieprzem. Jako Naczelny Wódz zaakceptował plan bitwy i go wykonał. Zaryzykował, wziął na swoje barki ogromną odpowiedzialność (na wypadek klęski złożył u premiera Witosa prośbę o dymisję) i to jemu należy się splendor zwycięzcy. Oczywiście nie dokonał tego sam. Swoje cegiełki (a nawet „cegły") dołożyli do spektakularnego sukcesu generałowie Rozwadowski, Haller, Sikorski, Latinik, Żeligowski czy Rydz-Śmigły. Wielkie znaczenie miała też mężna postawa żołnierzy i ogromna mobilizacja całego społeczeństwa, które ofiarnie wspierało armię. O tym, że wiktoria pod Warszawą nie była szczęśliwym przypadkiem, świadczy świetnie zaplanowana i przeprowadzona wrześniowa bitwa nad Niemnem, dzięki której ostatecznie odepchnięto bolszewików daleko na wschód.

Marszałek w kolejnych latach zazdrośnie strzegł sławy zwycięskiego wodza z 1920 roku. Był to jeden z najważniejszych elementów jego legendy i legitymacji do sprawowania władzy dla całego obozu politycznego, któremu przewodził. Z tego powodu oskarżał swych przeciwników rządzących państwem i wojskiem w latach 1922-1926 o niszczenie lub fałszowanie dokumentów, nie szczędził też przykrych słów, wręcz impertynencji generałom Rozwadowskiemu (choć ten nigdy nie przypisywał sobie zasług Piłsudskiego), Szeptyckiemu, Józefowi i Stanisławowi Hallerom. Po przewrocie majowym w 1926 roku szybko pozbył się ich z wojska, a Rozwadowskiego Piłsudski kazał nawet uwięzić, co przyczyniło się do jego śmierci.

Piłsudski przyjął Dowbora-Muśnickiego chłodno – nie przepadał za Polakami, którzy robili karierę w armii rosyjskiej. Z kolei Dowbor-Muśnicki miał „uprzedzenie do «legionów», «wolontarzy», «armii ochotniczych»"

Naczelnik państwa marsz. Józef Piłsudski, dowódca Armii Wielkopolskiej gen. Józef Dowbor-Muśnicki i dowódca Błękitnej Armii gen. Józef Haller. Fot. archiwum „Mówią wieki", Narodowe Archiwum Cyfrowe

Z armii rosyjskiej do polskiej

Kto wie, jak potoczyłyby się losy wojny 1920 roku, a także losy Polski, gdyby Józef Piłsudski nie przetrwał lipcowego kryzysu związanego z odwrotem wojsk polskich z Ukrainy i Białorusi pod naciskiem nacierającej Armii Czerwonej. Porównywany jeszcze dwa miesiące wcześniej, po zdobyciu Kijowa, do Bolesława Chrobrego, był teraz ostro krytykowany jako ten, który pcha armię do klęski, a naród do zguby. Związany z prawicą ksiądz Stanisław Adamski z Poznania, poseł na Sejm, w oczy zarzucił mu zdradę. Na burzliwym posiedzeniu Rady Obrony Państwa 19 lipca 1920 roku Naczelnego Wodza zaatakował przywódca endecji Roman Dmowski. Zarzucił Piłsudskiemu „błędy organizacyjne, strategiczne i taktyczne", sugerując, że na czele armii powinien stanąć gen. Józef Dowbor-Muśnicki albo generał zaproponowany przez aliantów zachodnich. Piłsudski zręcznie replikował: „Od was, polityków, i od narodu powinien iść do wojska walczącego na froncie głos wiary i otuchy,

odpowiadający moralnej wartości społeczeństwa i jego niezłomnej woli zwycięstwa. Zamiast tego dajecie demoralizujący obraz waśni, kłótni, rozdarcia. [...] Nie róbcie żadnych szopek, żadnych dwuznacznych posunięć z dodawaniem mi opiekunów i kontrolerów. Oddaję się wam do dyspozycji. Weźcie zamiast mnie kogoś mniej drażniącego...". Potem wyszedł z sali. Skonfundowani członkowie ROP w głosowaniu wyrazili zaufanie dla Naczelnego Wodza.

Wskazany jako konkurent Piłsudskiego Józef Dowbor-Muśnicki (urodzony w 1867 roku, zatem równolatek Marszałka) wywodził się z armii rosyjskiej. Z sukcesami bił się na frontach Wielkiej Wojny i w 1915 roku dostał awans na generała. Latem 1917 roku, po obaleniu caratu przez rewolucję lutową, stworzył na wschodniej Białorusi z Polaków służących w armii rosyjskiej I Korpus Polski. Po przewrocie bolszewickim podporządkował się rezydującej w Warszawie Radzie Regencyjnej. Prawie 30-tysieczny korpus skutecznie opierał się bolszewikom, lecz gdy wiosną 1918 roku na te ziemie wkroczyły wojska niemieckie, gen. Dowbor-Muśnicki zgodził się na demobilizację oddziałów w zamian za przewiezienie swych żołnierzy do Królestwa Polskiego.

Jesienią 1918 roku generał liczył na wysokie stanowisko dowódcze w tworzącym się Wojsku Polskim, ale spotkał go zawód. Piłsudski przyjął go chłodno – czemu trudno się

Uroczystość objęcia dowództwa nad Armią Polską we Francji przez gen. Józefa Hallera. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dziwić, bo jako przeciwnik caratu nie przepadał za Polakami, którzy robili kariery w armii rosyjskiej. Z kolei Dowbor-Muśnicki miał „uprzedzenie do «legionów», «wolontarzy», «armii ochotniczych»".

Na początku stycznia 1919 roku dowborczycy wzięli udział w nieudanym zamachu stanu przeciwko lewicowemu rządowi Moraczewskiego i Piłsudskiemu. Naczelny Wódz postanowił się pozbyć się z Warszawy niechcianego generała. Zaproponował go na dowódcę sił powstania wielkopolskiego, które wybuchło w grudniu przeciwko Niemcom. Rządząca w Poznaniu Naczelna Rada Ludowa zaakceptowała kandydaturę. W liście do swego wysłannika na konferencję pokojową w Paryżu Kazimierza Dłuskiego Piłsudski uzasadnił to bez ogródek: „Wysłanie Dowbora do Poznania było celowe. Liczę na to, że on sam i jego oficerowie tak swoją nieznajomością służby, jak i samym zachowaniem wywołają wśród polskich żołnierzy b. armii niemieckiej, przyzwyczajonych do dobrych i odpowiedzialnych oficerów, niezadowolenie i rozczarowanie...".

Te rachuby nie ziściły się. Dowbor-Muśnicki okazał się sprawnym, energicznym dowódcą i w kilka miesięcy stworzył regularną, ponad 100-tysieczną Armię Wielkopolską. Rozszerzył powstanie, a gdy pod presją mocarstw zachodnich Niemcy zawarli rozejm, na wezwania z Warszawy wysłał swe najlepsze oddziały na wschód, do walki z Ukraińcami i bolszewikami. Pod koniec maja 1919 roku Armia Wielkopolska, dotychczas samodzielna, została włączona w skład Wojska Polskiego. Piłsudski wprawdzie mianował Dowbora-Muśnickiego dowódcą Frontu Wielkopolskiego, ale potem nie szczędził mu afrontów. Odbierał mu kolejne jednostki i kwestionował jego rozkazy, podporządkował Front Wielkopolski Dowództwu Okręgu Generalnego w Poznaniu, wreszcie w styczniu 1920 roku nie powierzył generałowi przejęcia od Niemiec w imieniu państwa polskiego całego Pomorza (ten zaszczyt przypadł Józefowi Hallerowi), ale tylko Leszna, Bydgoszczy i Chodzieży. Z końcem marca 1920 roku Front Wielkopolski został rozwiązany. Urażony, „bezrobotny" Dowbor-Muśnicki krytykował strategię Naczelnego Wodza w wojnie z bolszewikami. Gdy latem Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy, prawica coraz głośniej domagała się powierzenia mu dowództwa armii czy frontu albo nawet zastąpienia nim Piłsudskiego. Na początku sierpnia Naczelny Wódz zaproponował mu komendę Frontu Południowego, broniącego Małopolski Wschodniej. Dowbor-Muśnicki odmówił, obawiając się, że wobec szczupłości sił polskich i ukraińskich walczących na tym kierunku w razie klęski stanie się kozłem ofiarnym. Chciał dowodzić „swoimi" dywizjami wielkopolskimi, które miały walczyć na przedpolach Warszawy, na to jednak nie zgodził się Piłsudski. Nawet popierający go politycy prawicy uznali odmowę za błąd. Był to koniec kariery Dowbora-Muśnickiego w Wojsku Polskim. Generał w 1921 roku został przeniesiony w stan spoczynku. Osiadł w zakupionym majątku Lusowo (Batorowo) i zajął się rolnictwem. Zmarł w 1937 roku.

Błękitny generał

Innym konkurentem marszałka Piłsudskiego do naczelnego dowództwa nad Wojskiem Polskim był gen. Józef Haller de Hallenburg (ur. w 1871 roku). Ten ziemianin z Galicji wychowany w tradycji patriotycznej

i religijnej miał za sobą 15-letnią służbę w armii austriackiej, którą ukończył w randze kapitana. Potem szkolił wojskowo członków Drużyn Sokolich ze Lwowa i okolic. W 1914 roku powierzono mu organizację Legionu Wschodniego, który stał się zalążkiem II Brygady Legionów Polskich. Haller i jego żołnierze odznaczyli się w walkach w Karpatach, a brygada zasłużyła sobie na miano „żelaznej".

W latach 1916-1917 Haller konsekwentnie stawiał na państwa centralne, co poróżniło go z Piłsudskim. II Brygada przekształcona w Polski Korpus Posiłkowy trafiła na front na Bukowinę. W lutym 1918 roku Haller wraz z podkomendnymi stanowczo sprzeciwili się warunkom pokoju brzeskiego, w którym przyznano Chełmszczyznę Ukrainie. Zbuntowali się i przedarli przez front pod Rarańczą, a potem połączyli na Ukrainie z II Korpusem Polskim. Korpus w maju został jednak rozbity pod Kaniowem przez Niemców.

Haller szczęśliwie uniknął niewoli, przedarł się do Moskwy i nawiązał kontakty z przedstawicielami rezydującego w Paryżu Komitetu Narodowego Polskiego. Przez Murmańsk przedostał się do Francji. Można powiedzieć, że spadł jak z nieba politykom KNP z Romanem Dmowskim na czele, którzy szukali znanego i doświadczonego kandydata na dowódcę tworzonej Armii Polskiej we Francji. Haller 4 października 1918 roku dostał nominację i awans na generała dywizji. Dwa dni później pod Nancy został zaprzysiężony jako Naczelny Wódz przed frontem 1. Dywizji Strzelców Polskich. Od koloru mundurów armię nazywano Błękitną, a Hallera – błękitnym generałem. W listopadzie 1918 roku polski dowódca przyjmował obok najwyższych dowódców wojsk sprzymierzonych defiladę zwycięstwa pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu.

W 1919 roku Haller wraz ze swoim 70-tysiecznym wojskiem (wyposażonym m.in. w czołgi i samoloty) powrócił do kraju, gdzie podporządkował się Piłsudskiemu. Jego oddziały wydatnie przyczyniły się do zwycięstwa w wojnie z Ukraińcami. W Wojsku Polskim Haller dowodził frontami, a na początku 1920 roku przyłączył do Polski Pomorze i dokonał w Pucku symbolicznych zaślubin z Bałtykiem. W najtrudniejszych momentach wojny z bolszewikami został Generalnym Inspektorem Armii Ochotniczej, wykorzystując swą popularność do mobilizacji społeczeństwa oraz koordynując tworzenie jednostek ochotniczych. Energicznie dowodził też Frontem Północno-Wschodnim, a potem Północnym. Po wojnie był Generalnym Inspektorem Artylerii. Przewodniczył też kombatanckiemu Związkowi Hallerczyków i Związkowi Harcerstwa Polskiego.

Haller miał chrześcijańsko-narodowe przekonania i był związany z prawicą. Został nawet posłem na Sejm. Oskarżano go o moralną współodpowiedzialność za zabójstwo pierwszego prezydenta RP Gabriela Narutowicza w grudniu 1922 roku, gdyż publicznie krytykował jego wybór. To ostatecznie poróżniło go z Piłsudskim. Marszałek po przewrocie majowym w 1926 roku zwolnił Hallera z armii. W następnych latach generał występował przeciwko autorytarnym rządom sanacji. Po wybuchu drugiej wojny światowej, we wrześniu 1939 roku udał się na emigrację do Francji, a potem Wielkiej Brytanii. Był członkiem rządu gen. Sikorskiego, zasiadał w Radzie Narodowej. Zmarł w Londynie w 1960 roku

„Błękitny Generał" Haller miał duże zasługi dla Polski, miał też swoją legendę, żywą zwłaszcza wśród zwolenników prawicy. Nie dorównywała ona jednak siłą mitowi Piłsudskiego. Nie miał natomiast takiego zmysłu politycznego jak Marszałek ani wielu wiernych wyznawców i podkomendnych zdolnych wcielać w życie jego koncepcje i rozkazy. Dlatego w zbiorowej pamięci ustąpił miejsca Piłsudskiemu.

Haller spadł jak z nieba politykom KNP z Romanem Dmowskim na czele, którzy szukali znanego i doświadczonego kandydata na dowódcę tworzonej Armii Polskiej we Francji

Ma rację Rafał A. Ziemkiewicz, zazwyczaj bardzo krytyczny wobec Józefa Piłsudskiego, gdy w najnowszej książce „Złowrogi cień Marszałka" docenia jego służbę państwu w latach 1918-1921: „Tym, co czyni wielkich dowódców, jest dar porywania za sobą ludzi, wydobywania z nich wszystkich sił, bohaterstwa, poświęcenia, całkowitego zaangażowania w walkę. Pod tym względem Piłsudski nie miał sobie równych [...] Bez wątpienia Polska nie miała wtedy [w latach 1918-1921] nikogo o porównywalnej charyzmie, kto mógłby liczyć na takie oddanie żołnierzy, o kim śpiewaliby oni piosenki [...]. Właśnie tego potrzebowała Polska u zarania niepodległego bytu: autorytetu. Legendy, która była w stanie spoić wszystkie stronnictwa ponad podziałami i narzucić współdziałanie.". To wyróżniało go wśród polskich dowódców tamtej epoki. Z tego powodu generałowie wykształceni w akademiach wojskowych musieli stawać na baczność przed samoukiem.

Bogusław Kubisz, historyk, redaktor „Mówią wieki".

POCZĄTKI *Sejmu* USTAWODAWCZEGO

ŁUKASZ GOŁASZEWSKI

W ubiegłym roku przypadał jubileusz stulecia niepodległości, a w kolejnym – setna rocznica Bitwy Warszawskiej. Nie oznacza to jednak, że 100 lat temu nie doszło do innych wydarzeń godnych przypomnienia. Z pewnością należą do nich wybory do Sejmu Ustawodawczego i rozpoczęcie prac przez ten parlament – zresztą szczególny. Jego zadaniem było bowiem nie tylko uchwalenie konstytucji, lecz także przeprowadzenie głębokich zmian społecznych – jak to określił Józef Piłsudski w dekrecie z 14 listopada 1918 roku.

Wybory do Sejmu

MIESZKAŃCY DOMU № 13 PRZY UL. Królewskiej W WARSZAWIE D. 26 STYCZNIA 1919 R. WINNI GŁOSOWAĆ W LOKALU WYBORCZYM 8 OBWODU GŁOSOWANIA PRZY UL. Krakowskie Przedmieście № 9.

Główna Komisja Wyborcza Okręgu m. st. Warszawy.

Drukarnia F. Syrewicz i S-ki Senatorska 28-30.

Informacja o lokalu wyborczym, w którym powinni głosować mieszkańcy domu przy ul. Królewskiej w Warszawie. Fot. polona.pl

Stojąc na stanowisku, że rozstrzygać o losach państwa i narodu może tylko instytucja utworzona przez jego przedstawicieli, Piłsudski zapowiedział zwołanie sejmu *w możliwie krótkim, kilkumiesięcznym terminie*. Również wydany przez niego 22 listopada 1919 roku dekret o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, regulując zasady funkcjonowania naczelnych organów młodego państwa, stwierdzał, że naczelnik państwa będzie sprawował swój urząd do czasu zwołania konstytuanty – zgromadzenia mającego uchwalić konstytucję.

Co zrozumiałe, aby zrealizować ten plan, należało szybko ustalić porządek przeprowadzenia wyborów. Dlatego Piłsudski już 28 listopada 1918 roku wydał dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Warto zaznaczyć, że słowo „ordynacja", które pojawiło się w jego tytule, przez prawie 100 lat, aż do uchwalenia kodeksu wyborczego, występowało w nazwach aktów prawnych regulujących tryb i sposób przeprowadzania procedur wyborczych. Dekret listopadowy znosił niemal wszystkie cenzusy (ograniczenia) praw wyborczych obywateli znane w ustawodawstwach zaborczych. W wyborach mogli uczestniczyć zarówno mężczyźni, jak i kobiety (co w tym czasie nie było jeszcze powszechne), którzy do dnia ogłoszenia wyborów ukończyli 21 lat (art. 1). Jedyne ograniczenia dotyczyły oficerów i żołnierzy służby czynnej oraz osób pozbawionych praw obywatelskich wyrokiem sądu. Nie obowiązywał zatem cenzus majątku, płci, domicylu (okresu zamieszkiwania w danym miejscu) czy wykształcenia.

Równie szeroki był krąg osób uprawnionych do ubiegania się o mandaty poselskie – poza tymi, którym przysługiwało czynne prawo wyborcze, należeli do nich również żołnierze wykluczeni od udziału w głosowaniu. To ograniczenie praw wojskowych wynikało tak z obaw przed potencjalnymi naciskami, jak i możliwości oddawania głosów przez żołnierzy na swoich przełożonych. Trzeba mieć jednak na uwadze, że decydującym powodem wprowadzenia tych ograniczeń była chęć odseparowania wojska od bieżącej polityki oraz walk między partiami i stronnictwami politycznymi.

Wybory, ale gdzie?

Zgodnie z art. 11 dekretu listopadowego państwo polskie zostało podzielone na okręgi wyborcze – ich wykaz wraz z liczbą mandatów przypadających na każdy z nich znalazł się w dodatku nr 1 do listopadowego dekretu. W sumie parlament miał się składać z 527 posłów. Art. 12 precyzował, że jeden poseł ma przypadać na ok. 50 tys. mieszkańców okręgu, a także na ułamki tej liczby wynoszące powyżej 25 tys. (zatem z hipotetycznego okręgu liczącego 135 tys. mieszkańców wybierano trzech posłów). Zamierzenia były bardzo ambitne – wybory planowano przeprowadzić nie tylko w byłym Królestwie Polskim czy Galicji, ale także w okręgu białostockim i na Śląsku Cieszyńskim; na obszarze zaboru pruskiego okręgi wyborcze obejmowały też terytoria, które nie znajdowały się w granicach Pierwszej Rzeczypospolitej, a więc na Górnym Śląsku, Opolszczyźnie, w okolicach Słupska i Lęborka oraz na Mazurach.

W listopadzie 1918 roku rząd w Warszawie nie sprawował władzy nad większością tych obszarów. Niemożliwe też było przeprowadzenie wyborów na terytoriach należących do Niemiec. Wprawdzie państwa ententy pokonały je, ale nie podjęły jeszcze żadnych decyzji dotyczących niemieckich granic na wschodzie. Podobna sytuacja miała miejsce na ziemiach na wschód od Bugu i w Galicji Wschodniej, zajętych przez armię niemiecką podczas wojny i dotychczas przez nią administrowanych. Wreszcie w przypadku północnych powiatów guberni suwalskiej, tworzących okręg nr 1, a zamieszkanych w większości przez Litwinów, dekret nawet nie przewidywał liczby posłów wybieranych z tego obszaru. To jasno wskazuje, że już w listopadzie 1918 roku powątpiewano w przeprowadzenie tam wyborów.

Świadomi tej sytuacji Piłsudski i rząd warszawski, wyznaczając termin wyborów na 26 stycznia 1919 roku, ograniczyli je do Kongresówki (bez dwóch północnych okręgów), Śląska Cieszyńskiego i zachodniej części Galicji z Przemyślem. Jednocześnie stwierdzono, że wobec braku możliwości przeprowadzenia wyborów w Galicji Wschodniej w skład sejmu włączono 28 posłów do izby niższej parlamentu Austro-Węgier – Izby Posłów (zarządzając jednoczesne przeprowadzenie wyborów uzupełniających w okręgu lwowskim na podstawie przepisów zaborczych wobec śmierci dwóch z nich). Zasiadali oni w konstytuancie aż do zakończenia jej prac. Zapowiedziano także, że do sejmu zostaną powołani przedstawiciele Polaków z Litwy i Rusi po zawarciu

Żołnierze byli wykluczeni z udziału w głosowaniu z obawy przed potencjalnymi naciskami i perspektywą oddawania przez nich głosów na przełożonych. Decydującym powodem była jednak chęć odseparowania wojska od bieżącej polityki

Wojciech Trąmpczyński, marszałek Sejmu Ustawodawczego, później wieloletni marszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, rys. Stanisław Lentz. Fot. polona.pl

porozumienia z samymi zainteresowanymi. W praktyce postulat ten nie został zrealizowany, dopiero w marcu 1922 roku w Sejmie Ustawodawczym zasiadło 20 reprezentantów Sejmu Wileńskiego wybranych na obszarze tzw. Litwy Środkowej w wyborach z 8 stycznia tego roku.

Wybory nie odbyły się także na Śląsku Cieszyńskim. Została tam bowiem zgłoszona tylko jedna lista wyborcza, która powstała w wyniku kompromisu różnych stronnictw politycznych i zawierała nazwiska dokładnie tylu kandydatów, ilu przypadało na wymagające obsadzenia miejsca. Taką sytuację przewidywał dekret listopadowy w art. 53, jednak decyzję o wyborze na posłów zgłoszonych kandydatów podjęły nie miejscowe komisje wyborcze, lecz Sejm Ustawodawczy. Dość szybko natomiast przeprowadzono wybory uzupełniające w niektórych okręgach graniczących z obszarem kontrolowanym w listopadzie 1918 roku przez rząd w Warszawie, które sukcesywnie przechodziły pod władzę polskiej administracji: 26 lutego 1919 roku w okręgu suwalskim, 9 marca bialskim, a 15 czerwca w białostockim i bielskim.

Wybory w byłej dzielnicy pruskiej

Bardziej skomplikowana sytuacja panowała na terenach dawnego zaboru pruskiego. Wynikała m.in. z różnic politycznych – dominująca w Wielkopolsce endecja, dysponująca oficjalnym przedstawicielstwem Polaków wobec ententy w postaci Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, była niechętna Piłsudskiemu i popierającym go lewicowym i centrowym formacjom politycznym. Ponadto zgodnie z prawem były to wciąż terytoria istniejącego państwa – Rzeszy Niemieckiej. Jednak zawarcie kompromisu między Narodową Demokracją a naczelnikiem państwa i popierającymi go środowiskami (czego konsekwencją było powstanie rządu Ignacego Jana Paderewskiego), zwycięstwo powstańców wielkopolskich, a wreszcie postanowienia traktatu wersalskiego umożliwiły przeprowadzenie wyborów w Wielkopolsce i na Pomorzu. Przedtem jednak dekretem z 7 lutego 1919 roku członkami Sejmu Ustawodawczego stali się polscy posłowie do parlamentu niemieckiego – Reichstagu. Było ich 16.

Wybory w Wielkopolsce przeprowadzono na podstawie ustawy uchwalonej przez sejm 5 kwietnia 1919 roku, która ponownie wyznaczyła okręgi wyborcze na tym obszarze. Zdecydowano się także na przyznanie czynnego prawa wyborczego wszystkim wojskowym w służbie czynnej – w Poznańskiem i Bydgoskiem byli to żołnierze powstałej podczas powstania wielkopolskiego Armii Ochotniczej. Same wybory odbyły się 1 czerwca 1919 roku, w ich wyniku z Sejmu Ustawodawczego ustąpili ci posłowie do Reichstagu, którzy nie uzyskali mandatów. Na Pomorzu natomiast wybory można było przeprowadzić dopiero po ratyfikacji i wejściu w życie traktatu wersalskiego, czyli 2 maja 1920 roku. Wreszcie z powodu sporów polsko-niemieckich o Górny Śląsk do wyborów na tym terytorium nigdy nie doszło – do końca kadencji Sejmu Ustawodawczego Polaków z Górnego Śląska reprezentowali polscy posłowie do parlamentu niemieckiego. W rezultacie pod koniec 1922 roku Sejm Ustawodawczy liczył 442 posłów.

Jak glosować?

Warto się przyjrzeć bardziej przyziemnym aspektom wyborów ze stycznia 1919 roku. Były one proporcjonalne, to znaczy wyborcy oddawali głosy na listy kandydatów. Mandaty w poszczególnych okręgach były przydzielane na podstawie systemu belgijskiego, zwanego od nazwiska jego twórcy systemem d'Hondta, korzystnego dla ugrupowań, które otrzymały mniej głosów. Nie stosowano wówczas żadnych znanych współczesnym ordynacjom

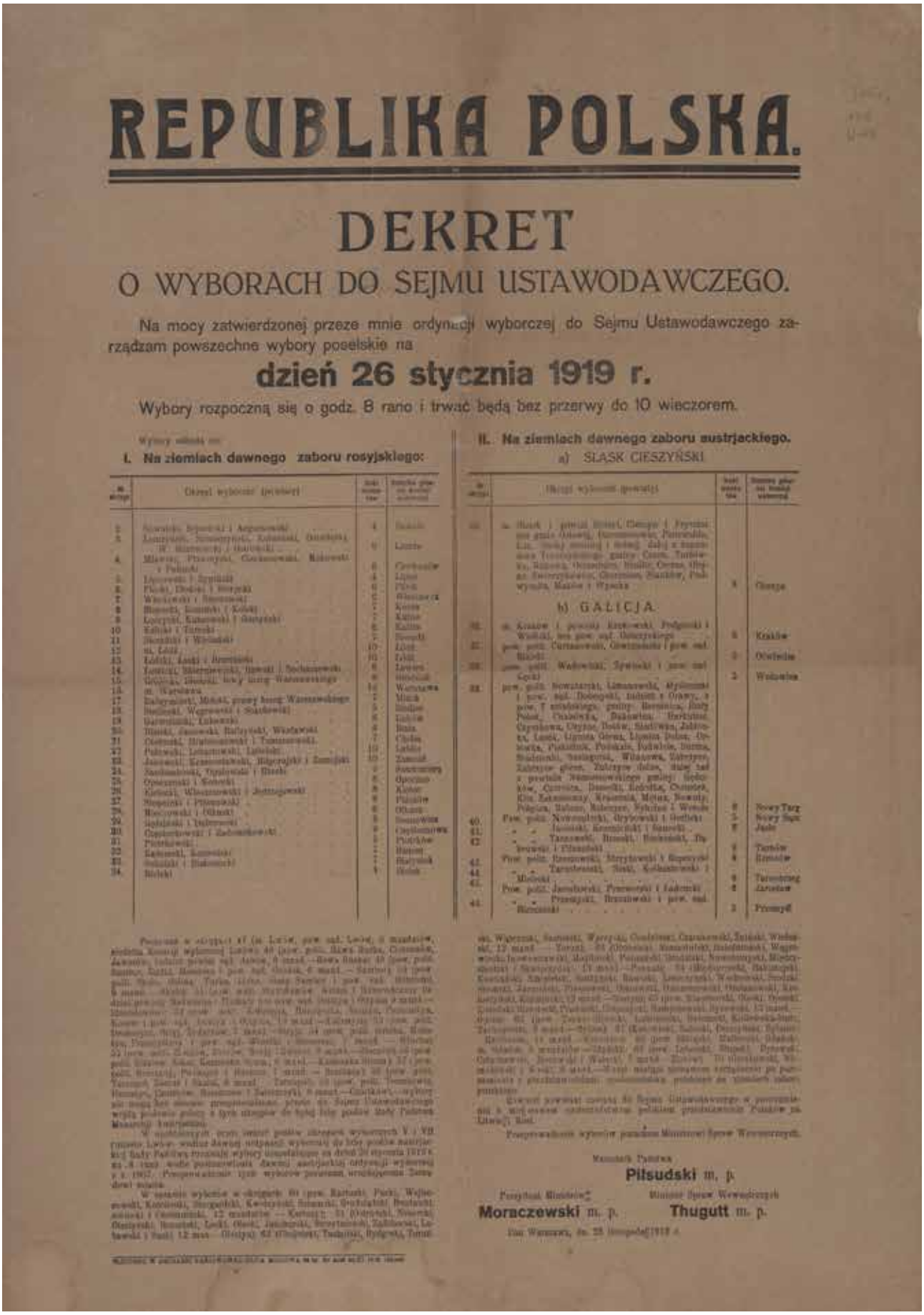

REPUBLIKA POLSKA.

DEKRET

O WYBORACH DO SEJMU USTAWODAWCZEGO.

Na mocy zatwierdzonej przeze mnie ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego zarządzam powszechne wybory poselskie na

dzień 26 stycznia 1919 r.

Wybory rozpoczną się o godz. 8 rano i trwać będą bez przerwy do 10 wieczorem.

I. Na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego:

II. Na ziemiach dawnego zaboru austrjackiego.

a) ŚLĄSK CIESZYŃSKI

b) GALICJA

Prezydent Ministrów: Moraczewski m. p.

Minister Spraw Wewnętrznych: Thugutt m. p.

Dekret o wyborach do Sejmu Ustawodawczego – naczelnik państwa Józef Piłsudski wyznaczył je na 26 stycznia 1919 roku. Fot. polona.pl

Do Sejmu Ustawodawczego wybrano osiem kobiet, były to m.in. (od górnego lewego rogu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara): Gabriela Balicka-Iwanowska, Irena Kosmowska, Zofia Moraczewska i Jadwiga Dziubińska.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, polona.pl

progów wyborczych, zatem w podziale mandatów mogły uczestniczyć wszystkie listy. Te zgłaszano osobno w każdym okręgu wyborczym – wystarczało poparcie przynajmniej 50 wyborców z danego okręgu, zatem wymogi formalne nie były wygórowane. Kolejność umieszczenia nazwisk kandydatów na liście miała istotne znaczenie. Według porządku przedstawionego w zgłoszeniu obejmowali oni bowiem mandaty (jeśli lista jakiekolwiek uzyskała). O ile zatem we współcześnie przeprowadzanych w Polsce wyborach pierwsze miejsce na liście jest wyznacznikiem pozycji politycznej kandydata i w pewnym stopniu prestiżowe, ale nie gwarantuje mandatu poselskiego (wyborcy, głosując na listę, wybierają dowolną znajdującą się na niej osobę), to na przełomie 1918 i 1919 roku radykalnie zwiększało ono szansę na jego otrzymanie.

Wyborcy nie stawiali znaku „X" – ani żadnego innego – przy nazwisku kandydata. Było to niemożliwe z powodu wysokiego poziomu analfabetyzmu. Dekret z 26 listopada 1918 roku przewidywał system urzędowych kart do głosowania i ostemplowanych kopert. Na karcie, poza stemplem okręgowej komisji wyborczej (nazywanej w ordynacji główną), miały być wydrukowane kolejno, od lewego górnego do prawego dolnego rogu, numery list kandydatów. Najbardziej chyba szokujący może się dziś wydawać system dystrybucji tych kart. Zakładano bowiem ich sprzedaż na wolnym rynku i w lokalu komisji wyborczej w ciągu pięciu dni przed wyborami po urzędowych cenach (5 fenigów albo 10 halerzy), co niewątpliwie miało zachęcić wyborców do roztropnego ich wypełniania.

Głosowano, podkreślając numer wybranej listy. Sam akt wyborczy miał polegać na podaniu przez zainteresowanego swego nazwiska członkom komisji, którzy sprawdzali, czy znajduje się on na liście wyborców. Następnie wyborca otrzymywał kopertę do głosowania, do której miał od razu włożyć kartę – zakładano zatem, że zostanie wypełniona wcześniej. Zaklejoną kopertę wyborca przekazywał przewodniczącemu komisji, który po sprawdzeniu, czy znajduje się na niej urzędowy stempel, wrzucał ją do urny. W lokalach wyborczych nie przewidywano żadnych kabin ani zasłon, za którymi można by wypełnić kartę – tajność głosowania miało gwarantować wypełnienie przez wyborcę karty (jednakowej dla całego okręgu) w dowolnym miejscu, a następnie włożenie jej do koperty. Zauważyć wypada, że raz wypełniona karta nie mogła być poprawiona – zgodnie z pkt 4 art. 74, jeśli nie wypełniono jej w sposób właściwy (podkreślając jeden numer), a umieszczono w kopercie, to głos był nieważny. Zatem w razie zmiany decyzji wyborca musiał nabyć kolejną kartę, co niewątpliwie nie było dla niego dogodne. Pamiętajmy, że były to pierwsze tego rodzaju wybory, do których Piłsudski i jego otoczenie polityczne przywiązywali ogromną wagę – niska frekwencja i zniechęcenie obywateli w żadnym wypadku nie leżały w interesie państwa.

Biorąc to pod uwagę, zdecydowano się zmienić przewidziany w dekrecie tryb głosowania. Chodziło o to, aby uniknąć nadużyć (np. celowego podkreślenia przez osobę trzecią kolejnego numeru na karcie), a jednocześnie nie sprawiać kłopotu potencjalnym wyborcom. Zmianę – drobną, ale jednak istotną – wprowadzono dekretem z 26 grudnia 1918 roku. Urzędowe karty do głosowania zostały zastąpione dowolnymi kartkami papieru. Aby głos był ważny, musiał się na nich znajdować numer jednej z list kandydatów, wydrukowany albo napisany. Poza tym procedura wyborcza nie uległa zmianom – wyborca wkładał przyniesioną przez siebie kartę do urzędowej koperty.

Ta zmiana niewątpliwie była bardzo dogodna dla obywateli, którzy mogli sporządzić kartki we własnym zakresie lub otrzymać od organizatorów kampanii na rzecz określonego stronnictwa. To drugie rozwiązanie milcząco dopuszczało zresztą prawo, wskazując, że numer na karcie może zostać wydrukowany – a w 1919 roku maszyny drukarskie nie znajdowały się w każdym domu.

Kobiety w sejmie

Na zakończenie warto poświęcić kilka zdań parlamentarzystkom. W Sejmie Ustawodawczym zasiadało osiem kobiet reprezentujących wszystkie ważniejsze orientacje polityczne: Gabriela Balicka-Iwanowska, Jadwiga Dziubińska, Irena Kosmowska, Maria Moczydłowska, Zofia Moraczewska (prywatnie żona Jędrzeja Moraczewskiego), Anna Piasecka, Zofia Sokolnicka, Franciszka Wilczkowiakowa. Wszystkie były znanymi i aktywnymi działaczkami społecznymi i politycznymi, ich dotychczasowe doświadczenie skłaniało je do zajmowania się w Sejmie Ustawodawczym przede wszystkim sprawami oświaty, kultury i problemami uboższych warstw społecznych. Chyba największą sławę zyskała Maria Moczydłowska – pierwsza posłanka, która przemówiła w polskim parlamencie, nieustępliwie walcząca z alkoholizmem, walnie przyczyniła się do uchwalenia ustawy antyalkoholowej. Kobiet w sejmie było jednak zaledwie kilka, żadna nie objęła funkcji parlamentarnej (wicemarszałka, sekretarza, przewodniczącego komisji) ani przewodnictwa klubu, do którego należała. Różnie też potoczyły się ich późniejsze polityczne i parlamentarne losy. Mimo to wybory roku 1919 udowodniły, że bierne prawo wyborcze kobiet nie jest tylko deklaracją.

Łukasz Gołaszewski, historyk prawa, doktorant na Wydziale Prawa i Administracji UW, zajmuje się historią prawa polskiego w epoce nowożytnej

TRZY ZABORY, TRZY *społeczeństwa?*

ANDRZEJ SZWARC

Podział Rzeczypospolitej między Rosję, Prusy i Austrię zapoczątkował ponadstuletni okres osłabiania ukształtowanych wcześniej więzi gospodarczych, społecznych i kulturowych. Społeczeństwa mieszkające w trzech zaborach dzieliło bardzo wiele, mimo to pielęgnowano ponadzaborową pamięć historyczną i poczucie wspólnoty.

Polskie elity – szlachta i magnateria oraz nieliczne zamożne mieszczaństwo i równie nieliczna inteligencja – mocno odczuły utratę własnego państwa. Wielu przedstawicieli tych grup społecznych w 1794 roku stanęło do bezskutecznej obrony jego *jedności, całości i niepodległości* – tak bowiem brzmiało hasło powstania kościuszkowskiego. Kolejne pokolenia patriotów marzyły o odbudowie Rzeczypospolitej w jej przedrozbiorowym kształcie. Innej ojczyzny po prostu nie znano. Sam akt rozbiorów uznawano za zbrodnię, która zburzyła europejską równowagę polityczną. Podzielony kraj często nazywano męczeńsko rozsztukowanym ciałem (tę drastyczną metaforę upowszechnił m.in. Józef Ignacy Kraszewski). Niepodległościowi konserwatyści, demokraci czy liberałowie mogli się spierać o ustrój polityczny i społeczny przyszłej Polski albo zakres prowincjonalnej autonomii (w czasach powstania styczniowego zwyciężyła idea federacji Polski, Litwy i Rusi), ale aż do początków XX wieku nie kwe-

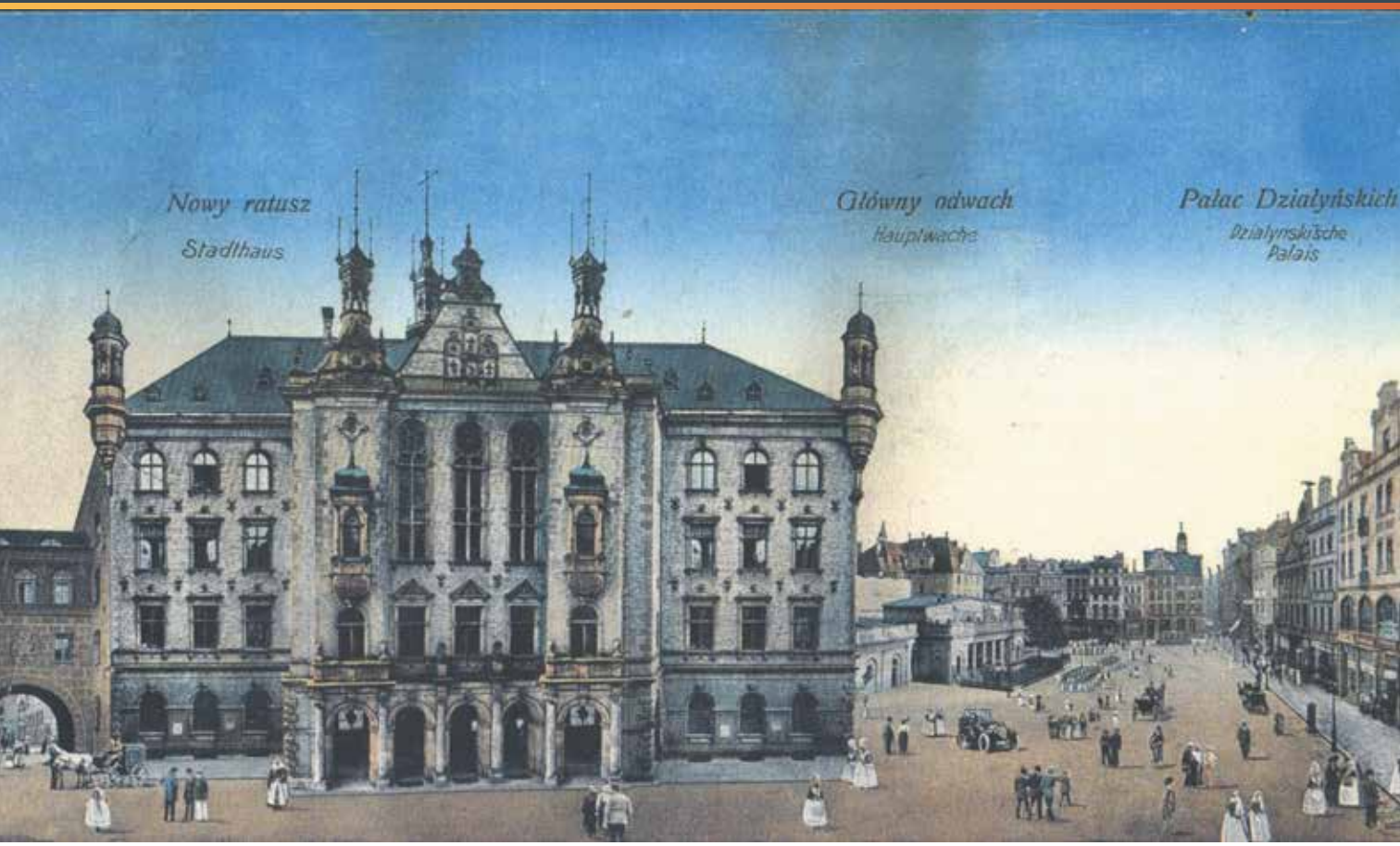

Rynek w Poznaniu. Uprzemysłowienie i rozwój państwa Hohenzollernów sprawiały, że ich polscy poddani stawali się coraz zamożniejsi i pod względem cywilizacyjnym wyraźnie wyprzedzali rodaków z Królestwa Polskiego i Galicji. Fot. Wikimedia Commons

stionowali granic z 1772 roku. Ten punkt widzenia uzasadniali liczni publicyści, historycy i geografowie. Wskazywano na naturalne granice (zwłaszcza na północy i południu), podobieństwa szaty roślinnej i klimatu między Wartą a Dnieprem, wspólne słowiańskie tradycje (jak twierdzono, odrębne od rosyjskich). Pisząc historię gospodarczą, eksponowano rolę „rynku narodowego" kształtującego się za panowania Stanisława Augusta.

Różnice dzielnicowe

Jest jednak oczywistością, że przedrozbiorowa Polska nie była pod wieloma względami jednolitym organizmem. Wielkopolska i Pomorze Gdańskie były stosunkowo gęsto zaludnione, nieźle rozwinięte gospodarczo i zurbanizowane. Zamożne miasta, jak Gdańsk, Elbląg czy Toruń, utrzymywały ożywione kontakty z Europą Zachodnią. Dobrze zagospodarowana wieś była nastawiona na dochodową sprzedaż nadwyżek żywnościowych. W obu dzielnicach przeważała średnia szlachta, nie było większych latyfundiów.

Małopolska też korzystała z wymiany handlowej z Zachodem, choć w mniejszym stopniu. Tamtejsze folwarki szlacheckie i magnackie również sprzedawały zboże na eksport, przeważnie za pośrednictwem kupców gdańskich. Miast było mniej i były uboższe, szczególnie po wojnach i zarazach z XVII i początków XVIII wieku. Mazowsze i Podlasie stanowiły już na ogół strefę ekstensywnego rolnictwa i małomiasteczkowego rzemiosła związanego z lokalnym rynkiem. Wyjątek stanowiła Warszawa – w epoce stanisławowskiej w stolicy pojawiły się manufaktury, banki i spółki handlowe, a miasto korzystało z częstych wizyt bogatej szlachty i magnatów, którzy wznosili tam swoje rezydencje. Modernizacji okolic Warszawy nie sprzyjały natomiast rzesze ubogiej, niewykształconej drobnej szlachty zainteresowanej utrzymaniem swych przywilejów. Jeszcze gorzej było na rozległych terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego, Wołynia, Podola i Kijowszczyzny. Niewielka gęstość zaludnienia, ogromne obszary leśne, brak dużych miast i dominująca rola magnaterii realizującej własne interesy, nierzadko sprzeczne z interesami państwa, hamowały rozwój. Dezintegracji sprzyjała widoczna zwłaszcza na wschodnich rubieżach kraju mozaika narodowościowa, wyznaniowa i językowa. Nieliczne wojsko, słaba administracja i sądownictwo oraz waśnie stronnictw politycznych wspieranych przez sąsiednie mocarstwa – wszystko to na długo przed utratą niepodległości

podważało jedność wyjątkowego organizmu politycznego zawieszonego między demokracją szlachecką a oligarchią magnacką. Próby reform dokonywane w czasach Sejmu Czteroletniego i wcześniejszy wyraźny, choć ograniczony, impuls modernizacyjny w zakresie oświaty, kultury i gospodarki miały wzmocnić państwo. Pozostaje jednak przedmiotem odwiecznego już sporu, czy nie przyspieszyły jego upadku, skłaniając sąsiadów (zwłaszcza Rosję) do położenia kresu eksperymentom, które zmierzały do odrzucenia obcego protektoratu.

Zabory

Stopniowe wchłanianie Rzeczypospolitej przez zaborców w 1772, 1793 i 1795 roku sprawiło, że na jej ziemiach obowiązywały trzy różne systemy polityczne i prawne. Wszystkie były wariantami oświeconego absolutyzmu, z zasadą wszechwładzy państwa uosabianego przez monarchę. Centralizacja władzy i integracja prowincji wchodzących w skład Rosji, Prus i Austrii przez większość XVIII stulecia były dogmatem ich polityki wewnętrznej i jej ideowej nadbudowy. Zaborcy dobrze się przygotowali do wchłonięcia nowych nabytków. Wszystkie trzy mocarstwa przeszły długą fazę rozrostu terytorialnego (Austria opanowały Węgry, Prusy Śląsk, a Rosja prowincje nadbałtyckie, chanat krymski i hetmanat ukraiński) i skutecznie administrowały ziemiami o zróżnicowanym profilu ekonomicznym, zamieszkanymi przez różnojęzyczną ludność. Na ogół dobrze radziły sobie z feudalnymi partykularyzmami czy odśrodkowymi dążeniami grup wyznaniowych. Natomiast nie miały jeszcze do czynienia z nowoczesnymi ruchami narodowymi.

Po rozbiorach elity dawnej Polski musiały składać przysięgi wierności nowym władcom. W zamian za wyrzeczenie się niepodległości otrzymywały gwarancję utrzymania dotychczasowej pozycji ekonomicznej i społecznej oraz perspektywę karier urzędniczych i politycznych, niekiedy na skalę imperialną (przykładem książę Adam Czartoryski, który krótko był ministrem spraw zagranicznych Rosji). W drugiej połowie XIX wieku Petersburgowi i Berlinowi nie wystarczały już jednak deklaracje posłuszeństwa. Obydwa mocarstwa, częściowo w następstwie działalności polskich konspiracyjnych organizacji patriotycznych i powstań narodowych, przede wszystkim jednak z powodu wzmocnienia własnych nacjonalizmów, podjęły wówczas politykę depolonizacji. Gwarancją siły i jedności Rosji oraz Niemiec wydawało się pozbawienie języka i kultury (w tym tradycji, obyczajów i pamięci historycznej) poddanych z innych grup etnicznych. Realizacja tego programu okazała się niemożliwa – przerwała ją zresztą pierwsza wojna światowa i utworzenie państw narodowych w Europie Środkowej i Wschodniej.

Co łączy, co dzieli

Odpowiedź na pytanie, co nas łączyło, a co dzieliło w dobie rozbiorów i obcej władzy, nie jest prosta. Według niepewnych szacunków u schyłku XVIII wieku na terenach Rzeczypospolitej mieszkało ok. 13 mln ludzi. W 1914 roku w Królestwie Polskim oraz zaborach austriackim i pruskim było ich ponad 26 mln, a na historycznej Litwie i Rusi niemal 25 mln. Liczba osób, dla których polski był pierwszym, ojczystym językiem, wzrosła najprawdopodobniej z kilku do ok. 20 mln. W ciągu ponad 100 lat nastąpiły też gruntowne przemiany struktury społecznej. Narzucone przez zaborców reformy zmieniły pańszczyźnianych chłopów w samodzielnych

Trójkąt trzech cesarzy: miejsce, w którym zbiegały się granice trzech zaborów (dziś część Mysłowic i Sosnowca). Fot. polona.pl

Joachim Lelewel, polski historyk i działacz polityczny. Urodzony w Warszawie, pochodził ze zasymilowanej austriackiej rodziny – w 1768 roku jego ojciec otrzymał indygenat. Fot. polona.pl

właścicieli uczestniczących w życiu gospodarczym i mających dostęp do sfery publicznej. Pełnię praw uzyskali też mieszczanie. Część z nich nadal uprawiała tradycyjne rzemiosła i lokalny handel, lecz niewielka grupa dołączyła do pionierów nowych form gospodarki, bogacących się dzięki rozwojowi przemysłu, inwestycji infrastrukturalnych, obrotu kapitałowego i wielkiego handlu. Powoli słabła pozycja dawnych elit szlacheckich i magnackich. Część nie potrafiła się dostosować do kapitalistycznych warunków gry na pouwłaszczeniowej wsi, wielu utraciło majątki za udział w konspiracjach patriotycznych i powstaniach. Wszystkie te grupy tworzyli bardziej lub mniej świadomi nosiciele spuścizny kulturowej i pamięci zbiorowej dawnej Rzeczypospolitej.

Dziewiętnastowieczne przemiany doprowadziły do tego, że w rozrastających się miastach powstawały klasy i środowiska społeczne, które nie istniały w dawnym feudalnym społeczeństwie niepodległej Polski: burżuazja, robotnicy przemysłowi, inteligencja. Było w pewnym stopniu kwestią otwartą, czy ukształtują się ponadgrupowe więzi i jakie przybiorą formy, na ile ich członkowie będą podatni na hasła narodowej solidarności. Tym bardziej że każde z tych środowisk współtworzyli imigranci z krajów niemieckich (niekiedy też z innych państw europejskich) oraz przedstawiciele rodzimych żydowskich i protestanckich sąsiadów. Zwłaszcza w zaborze pruskim nowe wzorce cywilizacji miejskiej przychodzące z Niemiec obejmowały prawie wszystko: terminologię (np. nazwy narzędzi i maszyn), organizację pracy, kulturę materialną, sposoby spędzania wolnego czasu i zabawy. Bez wątpienia ukształtowały one bardzo wyraźnie społeczne i kulturowe oblicze Górnego Śląska, w nieco mniejszym stopniu Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski. Dodajmy, że w pierwszych dwóch prowincjach ludność niemieckojęzyczna przeważała liczebnie, a w trzeciej stanowiła ponad 30 proc. mieszkańców. W pozostałych dwóch zaborach oddziaływanie obcych wzorców było znacznie słabsze.

Inna rzecz, że przybysze bardzo często asymilowali się dzięki ogromnej atrakcyjności polskiej kultury. Można bez końca wymieniać intelektualistów i artystów obcego pochodzenia o ogromnym dorobku i patriotycznych zasługach, takich jak najwybitniejszy historyk pierwszej połowy XIX wieku Joachim Lelewel, największy filolog Samuel Bogumił Linde, twórca polskiej etnografii Oskar Kolberg, znakomity filozof i działacz polityczny Karol Libelt. O francuskim pochodzeniu Fryderyka Chopina wiedzą wszyscy, o żydowskim Henryka Wieniawskiego, innego znakomitego polskiego kompozytora z XIX wieku, mało kto słyszał.

Akulturacja i asymilacja stosunkowo najszybciej postępowały w austriackiej Galicji, i to jeszcze przed jej repolonizacją w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Ulegali im często nawet urzędnicy zaborczego mocarstwa. Natomiast napływający do Królestwa Polskiego z Niemiec rzemieślnicy, organizatorzy przemysłu, a zwłaszcza osadnicy wiejscy byli bardziej odporni, choć z biegiem czasu niektórzy z nich też dołączali do polskiej wspólnoty narodowej. O ile podczas powstania listopadowego zachowywali zwykle postawę bierną lub niechętną, o tyle w czasie styczniowego bywało już inaczej. Tego zjawiska nie da się ująć w ścisłe liczby, przypomnijmy jednak, że wśród czołowych działaczy w 1863 roku z niemieckiego lub żydowskiego mieszczaństwa wywodzili się Agaton Giller, Karol Ruprecht, Oskar Awejde i Leopold Kronenberg.

Między Wschodem a Zachodem

Ponad 100 lat postępującego zróżnicowania, przede wszystkim ekonomicznego, sprawiło, że biegnące przez ziemie polskie granice Rosji, Prus i Austrii stały się czymś więcej niż obsadzonymi wojskiem liniami, które dzieliły ludzi mówiących na ogół tym samym językiem. Pod koniec XIX stulecia wyraźnie zaznaczył się istniejący już wcześniej dystans cywilizacyjny pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Cesarstwem Rosyjskim. Uprzemysłowienie, ale przede wszystkim przemyślana i konsekwentna polityka rolna monarchii Hohenzollernów oraz inwestycje infrastrukturalne sprawiły, że polscy poddani stali się znacznie zamożniejsi, niemal tak samo jak ich niemieccy sąsiedzi. Wędrowcy zmierzający na zachód z Królestwa Polskiego po przekroczeniu granicy widzieli odmienny krajobraz kulturowy: okazałe domy i zabudowania gospodarcze z czerwonej cegły zamiast chat krytych słomą, gęstszą sieć linii kolejowych i porządnych dróg, wcześnie zakładaną nawet w mniejszych miastach kanalizację, wodociągi, a później też elektrownie. Inna była architektura stacji kolejowych i budynków użyteczności publicznej, nie wspominając o mundurach, napisach na tablicach informacyjnych czy szyldach sklepowych. Na wschodzie nawet w miastach dominowała chaotyczna drewniana zabudowa, a utwardzone chodniki i ulice widziano rzadko. Przez długie dziesięciolecia te różnice były bardzo wyraźne, do dziś nawet dostrzec je może bez trudu historyk czy historyk sztuki.

Mniej widoczne są konsekwencje odmiennych systemów polityczno-prawnych, relacji z władzą czy etosu pracy oraz bliższych na zachodzie związków z cywilizacją zachodnioeuropejską. Socjologowie i politolodzy zauważają ich wpływ na współczesne decyzje wyborcze mieszkańców poszczególnych prowincji, kreśląc mapy, które obrazują poparcie dla partii politycznych zadziwiająco zbieżne z granicami zaborów.

U schyłku XIX i na początku XX wieku Rosja i Niemcy starały się nasycić przestrzeń publiczną obiektami o treści symbolicznej, które miały dowodzić siły obcego panowania i narzucać obcą pamięć historyczną. Zmieniano nazwy ulic, na głównych placach miast stawiano pomniki monarchów, polityków i wodzów, którzy często zasłużyli się, zwalczając polską państwowość i polskość jako taką. Monumentalną figurę cara Aleksandra II umieszczono np. na Jasnej Górze. W zaborze rosyjskim wciąż budowano nowe cerkwie, których formy odwzorowywały architekturę bizantyńską i staroruską. W Poznaniu czy Bydgoszczy budynki urzędów i szkół wznoszono w stylu neogotyckim lub neoromańskim, rzadziej neobarokowym, zwykle jednak wyraźnie nawiązującym do form architektury niemieckiej.

Galicyjska autonomia

Istotna była specyfika Galicji, ponieważ od lat sześćdziesiątych XIX wieku prowincja ta korzystała z autonomii, a w języku polskim mówiono w tamtejszych szkołach, urzędach i sądach. Można było upamiętniać chwałę dawnej Rzeczypospolitej, a nawet czcić powstania i ich uczestników, co w Warszawie lub Poznaniu było niemożliwe. Efektem swobody życia politycznego był na przełomie stuleci rozwój legalnych ugrupowań politycznych o najrozmaitszej orientacji, łącznie z socjalistami i niepodległościowym obozem Józefa Piłsudskiego. Przybyszów z Warszawy czy Poznańskiego zachwycała możliwość wyrażania narodowych uczuć, mimo oficjalnej ugodowości wobec Wiednia. Uczelnie, muzea, teatry i wydawnictwa działające w Krakowie i Lwowie pełniły rolę ogólnopolską, zmniejszając skutki dezintegracji ziem polskich w zakresie kultury. W tych miastach, a także w Zakopanem czy Krynicy spotykali się przedstawiciele wszystkich trzech zaborów, omawiając wspólne inicjatywy.

Równocześnie sama nazwa Galicja stała się synonimem biedy i zacofania (chociaż niektórzy historycy udowadniają, że są to przesadne oceny). Bardzo gęsto zaludniona kraina z rozdrobnioną własnością ziemi i sporymi obszarami słabo nadających się do uprawy ziem górskich nie przeżyła ani pruskiej modernizacji rolnictwa, ani żadnych państwowych inwestycji (z wyjątkiem wojskowych), ani uprzemysłowienia stymulowanego perspektywą eksportu na rynek rosyjski – jak było w Królestwie. Wykorzystując niepewne dane, gdyby galicyjski dochód narodowy na mieszkańca ok. roku 1910 uznać za 100, to w Królestwie Polskim wynosiłby on 186, w zaborze pruskim zaś aż 297. Oczywiście istotna była też terytorialna i społeczna dystrybucja tego dochodu. Przysłowiowa bieda galicyjskiej wsi nie była chyba większa niż na wschodnich rubieżach ziem polskich pod rosyjską władzą, gdzie ponadto królowały samowola, brutalność oraz korupcja administracji i policji, obniżające poziom życia codziennego mieszkańców.

Integracja po 123 latach

Dlatego dziwić może, że każdy z trzech zaborów nie poszedł własną drogą, mimo stopniowego zacieśniania związków z Petersburgiem, Berlinem i Wiedniem. Do stolic zaborczych mocarstw prowadziły bowiem nowe linie kolejowe, drogi, relacje ekonomiczne, administracyjne i sądowe. Było to głównie zasługą patriotycznej większości szlachty i inteligencji, bowiem z tych grup pochodziła większość bojowników o wolność oraz organiczników dbających o rozwój i upowszechnianie oświaty oraz kultury narodowej, a wraz z nimi pamięci historycznej

Ul. Krakowskie Przedmieście w Warszawie. Co prawda większe ośrodki przemysłowe Królestwa Polskiego rozwijały się, korzystając z możliwości handlu na rynkach rosyjskich, ale zmieniło się to po powstaniu styczniowym. Fot. archiwum „Mówią wieki"

i poczucia wspólnoty. Oprócz ofiarnych jednostek należy przypomnieć o setkach stowarzyszeń i instytucji istniejących wyłącznie dzięki prywatnym aktywistom i fundatorom. Wymieńmy tylko trzy: lwowskie Ossolineum ze znakomitą biblioteką, wydawnictwem i muzeum, warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, które wspierało rodzimych artystów, oraz Teatr Polski w Poznaniu.

Pamiętajmy, że ta aktywna narodowo polska inteligencja wskutek depolonizacyjnej polityki Rosji i Niemiec była przetrzebiona i niejednolita. Ok. 1900 roku w Galicji reprezentowali ją nauczyciele, od profesorów szkół wyższych po wiejskich belfrów, urzędnicy od namiestnika do „koncypientspraktykanta" i przedstawiciele wszelkich innych grupy pracowników umysłowych. W Poznańskiem w urzędach, sądach i szkołach średnich zasiadali wyłącznie Niemcy, miejscowa polska inteligencja składała się niemal bez wyjątku z nauczycieli szkół podstawowych i duchowieństwa katolickiego oraz nielicznych przedstawicieli wolnych zawodów (adwokatów, lekarzy czy dziennikarzy). Na Pomorzu, Warmii czy Górnym Śląsku przewaga Niemców wśród pracowników umysłowych była miażdżąca. Inaczej było w Królestwie Polskim. „Rusyfikacja personalna" nie została tam przeprowadzona do końca, Polacy ostali się na niższych etatach państwowych, choć systematycznie rugowali ich Rosjanie. Coraz większe znaczenie mieli pracownicy umysłowi sektora prywatnego.

Gdyby zatem wziąć pod uwagę wyłącznie strukturę społeczno-zawodową i narodową, okazałoby się, że po 100 latach obcej władzy na ziemiach polskich mieliśmy do czynienia nie z jedną, lecz trzema różnymi inteligencjami. Zdaje się, że podobne porównania, dowodzące przewagi odmienności nad podobieństwami, mogłyby dotyczyć także robotników i drobnomieszczaństwa.

Odbudowa niepodległego państwa przerwała procesy społecznej dezintegracji i uruchomiła nowe, działające w przeciwnym kierunku. Wspierała je oficjalna polityka, w tym historyczna, Drugiej Rzeczypospolitej, ale też niezależna od jej władz historiografia, literatura, publicystyka i twórczość artystyczna. Wreszcie można było przeciwstawić się potężnej i groźnej dla jedności Polaków działalności oraz narracji zaborców, która, jak sądzono, po prostu przestała istnieć. Nic więc dziwnego, że znacznie więcej mówiono i pisano o tym, co łączyło Polaków w XIX wieku, niż o tym, co ich dzieliło. Wiara w konieczność krzepienia serc sprawia, że jest tak do dziś.

Andrzej Szwarc, historyk, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się dziejami Polski w XIX wieku

Józef Piłsudski i premier Ignacy Paderewski po mszy w katedrze warszawskiej podczas uroczystości otwarcia posiedzenia Sejmu Ustawodawczego. Fot. polona.pl

NARÓD MALKONTENTÓW

czy słuszne narzekania na kamyki w dziurawym bucie?

WŁODZIMIERZ MĘDRZECKI

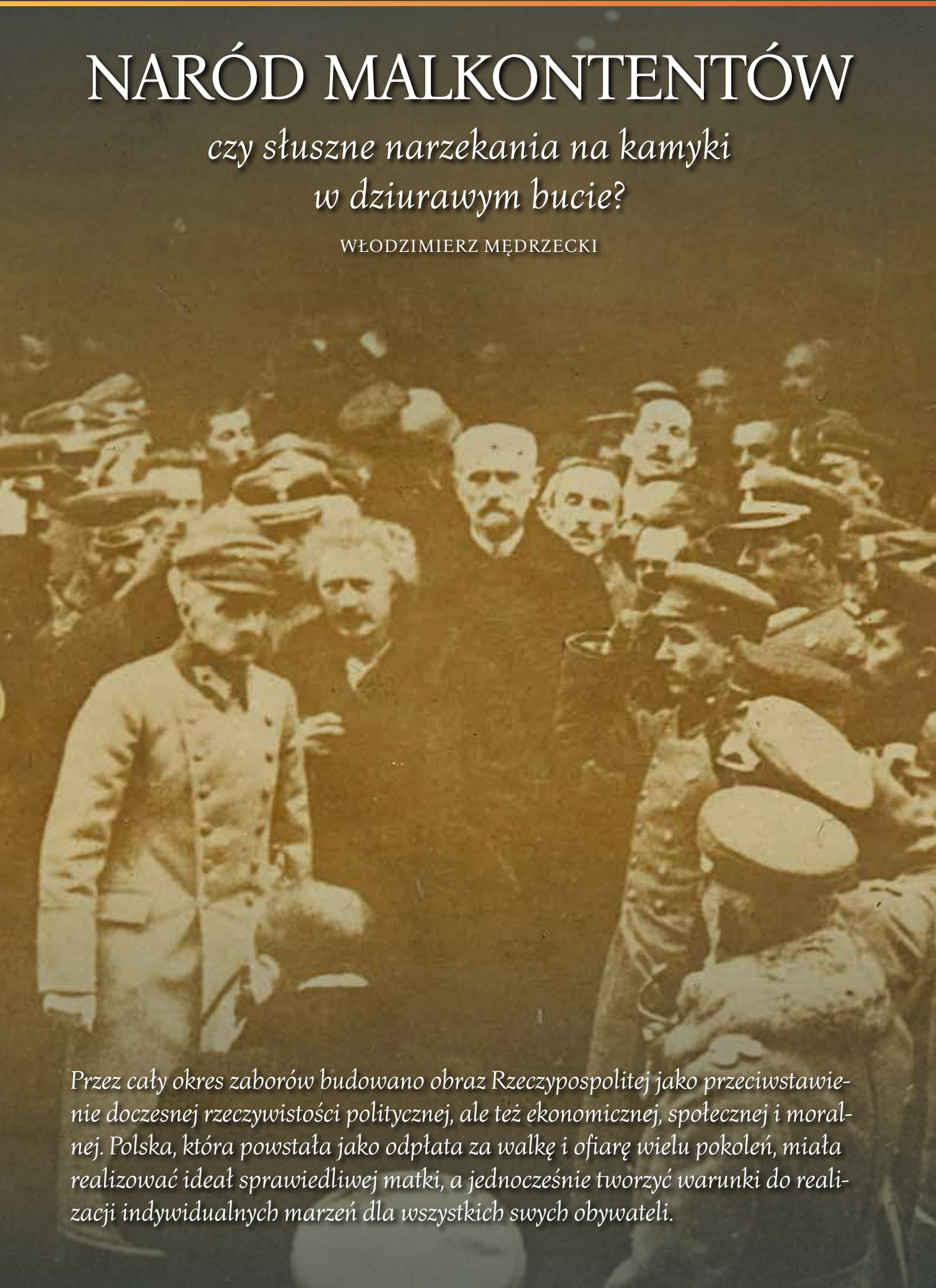

Przez cały okres zaborów budowano obraz Rzeczypospolitej jako przeciwstawienie doczesnej rzeczywistości politycznej, ale też ekonomicznej, społecznej i moralnej. Polska, która powstała jako odpłata za walkę i ofiarę wielu pokoleń, miała realizować ideał sprawiedliwej matki, a jednocześnie tworzyć warunki do realizacji indywidualnych marzeń dla wszystkich swych obywateli.

Powitanie Ignacego Paderewskiego w Poznaniu w grudniu 1918 roku. Fot. polona.pl

Jeżeli uważnie wczytamy się w źródła, które powstały w ostatnich miesiącach 1918 i w 1919 roku, stwierdzimy, że nie ma w nich świadectwa, by w październiku, listopadzie czy grudniu 1918 roku doszło do spektakularnego wstrząsu czy przełomu, który rozdzielałby ciemną dobę zaborów i wojny od jasnej epoki wolności i pokoju. Żaden z polityków i działaczy społecznych nie zmienił się w anioła. Nie dało się zobaczyć takiej przemiany w policjantach, wojskowych, urzędnikach, a nawet nauczycielach pracujących dotychczas dla władzy obcej, a od pewnego momentu w służbie Rzeczypospolitej. Trudno się więc dziwić, że niezależnie od szlachetnych deklaracji wielu jednostek formułowanych na łamach prasy nie uległa też zmianie postawa przeciętnego mieszkańca ziem polskich wobec władzy. Zarówno przed, jak i po listopadzie 1918 roku powszechnie traktowano prawo jako wymierzone w interesy obywatela, zaś zobowiązania podatkowe jako próbę zagrabienia przez państwo owoców uczciwej pracy „zwykłego człowieka". W formułowanych w dziennikach, korespondencji czy prasie ocenach władz wszystkich szczebli i instytucji państwowych dominowały opinie o ich fatalnej organizacji, skrajnej niekompetencji, nieudolności oraz skorumpowaniu ich pracowników i funkcjonariuszy. Już wiosną 1919 roku w gazetach można było przeczytać, że w niepodległej Polsce warunki życia są gorsze niż w najtrudniejszych okresach niedawno zakończonej Wielkiej Wojny.

Trudno o bardziej smutną refleksję. Nastroje społeczne w pierwszych miesiącach odrodzonej Polski były fatalne. Poprawiły się nieco wiosną i latem 1919 roku, by załamać się ponownie pod koniec roku następnego. Nie zdołały ich poprawić ani traktat ryski, ani uchwalenie konstytucji. Wszyscy narzekali na wszystkich i wszystko. Pewnym optymizmem powiało dopiero na przełomie 1923 i 1924 roku, gdy premier Władysław Grabski przedstawił zarys wielkiej reformy walutowej, a następnie z wielką energią i powodzeniem rozpoczął jej realizację. Wręcz znakomite nastroje społeczne i autentyczne poparcie dla władz szerokich mas utrzymały się do końca wakacji 1924 roku. Potem nastąpiło załamanie, po którym było już tylko gorzej. Aż do maja roku 1926.

Krótkotrwały zapał?

Aż ciśnie się na usta pytanie, dlaczego Polacy nie potrafili docenić wielkiego przełomu dziejowego, jakim było odzyskanie państwa. Czemu nie cieszyli się z odzyskania statusu gospodarza na swojej ziemi, podmiotowości na arenie międzynarodowej, polskiej szkoły, odzyskania należnego miejsca przez kulturę narodową i wielu rzeczy składających się na suwerenny byt?

Wydaje się, że w tej kwestii wiele może wyjaśnić płaszczyzna ludzkiej egzystencji pozornie odległa od wielkich spraw tego świata – życie codzienne. Wielka Wojna była czasem wielkiego bałaganu i egzystencja milionów mieszkańców ziem polskich uległa dezorganizacji. Koniec działań wojennych i odbudowa państwa powinny szybko poprawić sytuację. Teoretycznie zdawano sobie sprawę z ogromu problemów stojących przed odradzającym się państwem bez własnej armii, aparatu władzy, gospodarki, waluty i granic, za to z przeciwnikami w postaci niechętnych Niemiec, bolszewików, Ukraińców, Litwinów, Czechów i grypy hiszpanki. Jednak w praktyce wierzono, że będzie lepiej. *Stał się cud* – zapisała płocczanka Maria Macieszyna 12 listopada – *zaborcy i krzywdziciele ulegli woli bezbronnego narodu, pragnącego całą siłą wolności. Miasto przystroiło się flagami*. Wcale nie sentymentalny Roman Starzyński wspominał listopadową Łódź: *Nie możemy jeszcze uwierzyć, że to wreszcie kres naszej wędrówki, że to koniec walk o Polskę Niepodległą, że to koniec męk* [sic!] *i cierpień, że zacznie się wreszcie nowe życie w Odrodzonej Ojczyźnie. Szał radości ogarnął całe miasto. Wszyscy chcą być w wojsku, wszyscy chcą pełnić służbę w obronie Ojczyzny. Na przemian zwożą i znoszą żywność, bieliznę, broń, co kto ma, spieszy, by oddać tym, którzy walkę podjęli. Spotykam moje uczennice z pensji p. Miklaszewskiej, które przyniosły ugotowane przez siebie śniadanie dla żołnierzy.*

Zestawienie oczekiwań z twardą codziennością okazało się jednak brutalne dla wszystkich.

Życie w cieniu wojny

Chyba najważniejszym rysem codzienności pierwszych dwóch lat niepodległości była rzeczywistość wojenna. Jeszcze zanim powołano pierwsze polskie rządy, na początku lata 1919 roku wybuchła wojna w Galicji Wschodniej. Rozbrojenie Niemców w Polsce centralnej nie obyło się bez momentów dramatycznych i ofiar w ludziach. Potem powstanie wielkopolskie, walki na Śląsku Cieszyńskim, a na początku 1919 roku otwarcie frontu wschodniego, na którym walki trwały do ostatnich miesięcy roku następnego. Jednocześnie z wojnami na wschodzie trwała ostra, niekiedy bardzo krwawa bitwa o Śląsk. Nawet traktat pokojowy w Rydze i decyzje Rady Ambasadorów mocarstw sprzymierzonych z 1923 roku nie uspokoiły do końca sytuacji w całym kraju. Dokonał tego dopiero Korpus Ochrony Pogranicza, uszczelniając w 1925 roku granicę polsko-bolszewicką.

Aż ciśnie się na usta pytanie, dlaczego Polacy nie potrafili docenić wielkiego przełomu dziejowego, jakim było odzyskanie państwa

O tym, jak bardzo wojna wypełniała codzienność tamtych czasów, świadczy kapitalny dziennik wybitnego filozofa, profesora Uniwersytetu Lwowskiego Kazimierza Twardowskiego. Choć Lwów został przejęty przez Polaków 21 listopada 1918 roku, pod datą 28 marca 1919 Twardowski pisał: *Noc była wolna od kanonady – tylko odosobnione strzały armatnie – ale za to ustawiczny ogień karabinowy było słychać. I dzień spokojny był – dopiero koło ósmej silny ogień karabinowy i kulomiotów i kanonada na naszym odcinku* [...] – *Od czwartej do ósmej Fakultet. Jak ten dziekan nasz Ernst niedołężnie przewodniczy! Ileż to się czasu marnuje!* Istotnym doświadczeniem wojennym zarówno dla żołnierzy, jak i ich bliskich była służba wojskowa, rany i śmierć.

Był też głód. Większe czy mniejsze problemy z zaopatrzeniem w żywność mieli praktycznie wszyscy mieszkańcy byłych zaborów rosyjskiego i austriackiego. Rolnictwo zostało wyniszczone wojną, pozbawione znacznej części koni i wołów, a wiele ziem uprawnych leżało odłogiem. Co gorsza, słabnące władze okupacyjne nie zapełniły magazynów żywnościowych na potrzeby miast oraz na pomoc dla żołnierzy, jeńców i cywilnych ofiar wojny. Dlatego sytuacja aprowizacyjna, katastrofalna już w październiku 1918 roku, pogarszała się dramatycznie aż do późnej wiosny roku następnego.

Kłopoty powiększał fatalny stan sieci komunikacyjnej. Uniemożliwił on np. przetransportowanie nadwyżek ziemniaków z Wielkopolski do byłego Królestwa i na tereny na wschód od Bugu. Szacowano, że zimą 1918/1919 roku przynajmniej jedna trzecia mieszkańców ziem pod władzą polską była zagrożona chronicznym niedożywieniem, jeśli nie głodem. Szczególnie ciężką sytuację rejestrowano na terenach przyfrontowych, w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych (zwłaszcza w Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim).

Przemysł praktycznie nie pracował. Brakowało maszyn, surowców i kapitału. Pierwszy wielki piec w odrodzonej Polsce udało się uruchomić dopiero latem 1919 roku. Z ogromnymi trudnościami utrzymywano wydobycie węgla w Zagłębiu, lecz i tak było go zdecydowanie zbyt mało w stosunku do potrzeb opałowych i energetycznych. Zimno było kolejnym stałym elementem życia codziennego przedstawicieli wszystkich grup społecznych. Nawet ambasador USA w Warszawie mieszkający w hotelu Bristol zanotował 29 kwietnia (!) 1919 roku: *Było zimno jak w psiarni; cały poranek*

spędziłem, chodząc w grubym płaszczu tam i z powrotem po moim salonie i dyktując.

Choroby zakaźne

Niedogodności związane z wojną, problemami aprowizacyjnymi, warunkami mieszkaniowymi i opałem miały istotny wpływ na kondycję zdrowotną społeczeństwa. Powszechne niedożywienie i ogólne osłabienie sprawiały, że choroby zakaźne łatwo się rozprzestrzeniały i miały ciężki przebieg. Najgroźniejszym zabójcą okazała się grypa hiszpanka. Szacuje się, że na ziemiach polskich zachorowało na nią od 3 do 5 mln osób, w wielu przypadkach wszyscy członkowie rodziny czy żołnierze pododdziału. Utrudniało to, a niekiedy uniemożliwiało, właściwą opiekę nad chorymi. W wyniku wycieńczenia chorobą oraz rozmaitych powikłań zmarło ok. 130 tys. ofiar epidemii. Choroba odpuściła dopiero późną wiosną 1919 roku – gdy zrobiło się cieplej i poprawiła się sytuacja aprowizacyjna.

Mniej rozpowszechniony, ale bardziej niebezpieczny, był tyfus. Jego epidemia tliła się aż do połowy lat dwudziestych, zasilana nieprzerwanym napływem osób, które przenosiły ją z pogrążonej w rewolucyjnym chaosie Rosji. Łącznie pochłonął kilkadziesiąt tysięcy istnień. Znakomite warunki rozpowszechniania się i rozwoju u zarażonych miały też gruźlica i choroby weneryczne.

Problemy walutowe

Istotnym elementem komplikującym życie, a także zwiększającym chaos w i tak zrujnowanej gospodarce, były problemy walutowe. W pierwszych miesiącach niepodległości mieszkańcy Polski musieli się posługiwać różnymi środkami płatniczymi jednocześnie – obok marki polskiej emitowanej przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową w obiegu były ruble carskie i rewolucyjne, korony austriackie oraz marki niemieckie. Nikłe wpływy budżetowe sprawiały, że rząd, zmuszony do finansowania państwa i prowadzenia wojny, drukował banknoty o coraz większych nominałach. W efekcie w momencie rozpoczęcia reformy walutowej Władysława Grabskiego (kwiecień 1924) w obiegu znajdowało się ponad 550 tys. razy więcej marek polskich niż w końcu 1918 roku. Kurs dolara wzrósł w tym czasie z ok. 100 do 5 mln marek. W takich warunkach nawet konstruowanie codziennego budżetu

domowego było nie lada wyzwaniem – co dopiero mówić o poważniejszych zakupach czy inwestycjach.

Zmiany prawno-instytucjonalne

Fatalna sytuacja gospodarcza, problemy aprowizacyjne i niewielkie możliwości państwa w zakresie publicznej opieki zdrowotnej i pomocy społecznej sprawiały, że realna poprawa warunków życia szerokich mas ludności Polski była niemożliwa w krótkiej perspektywie czasowej. Niejako w zamian rząd starał się podejmować decyzje systemowo poprawiające ogólną pozycję pracowników najemnych i warunki pracy. Już 23 listopada wydano dekret wprowadzający ośmiogodzinny dzień i 46-godzinny tydzień pracy. Nad jego przestrzeganiem miała czuwać Państwowa Inspekcja Pracy. W styczniu 1919 roku wprowadzono obowiązkowe ubezpieczenia zdrowotne robotników przemysłowych i rolnych. Instytucjami do ich obsługi miały być Kasy Chorych, których skład powoływano w drodze wyborów dokonywanych przez ubezpieczonych. Dla poprawy położenia bezrobotnych i osób w trudnych warunkach życiowych rząd ogłosił wiele rozporządzeń o ochronie praw lokatorów. Miały one powstrzymać podwyżki czynszów oraz wstrzymać eksmisje rodzin zalegających z opłatą komornego.

Rozstrzygnięcia prawno-ustrojowe miały bardzo ograniczony wpływ na poprawę aktualnej sytuacji ludności. Wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy w warunkach masowego bezrobocia nie poprawiło warunków życia mas. Utworzenie PIP i Kas Chorych mogło przynieść pozytywne efekty dla zdrowia zatrudnionych i ich rodzin, ale w perspektywie wielu lat, i to pod warunkiem że znacząco poprawi się stan gospodarki.

Nieskuteczne były też działania władz mające chronić warunki egzystencji, co było widać najlepiej na polu aprowizacji i walki z powszechną lichwą i spekulacją. Specjalnie utworzone Ministerstwo Aprowizacji nie było w stanie wymusić na producentach żywności, aby rzetelnie wywiązywali się z kontyngentów i dostaw obowiązkowych. Znaczna część produkcji rolnej trafiała na czarny rynek, na którym ceny rosły przynajmniej równie szybko jak inflacja. W tej sytuacji każda decyzja o podziale wywoływała gwałtowne sprzeciwy tych, którzy uważali się za pokrzywdzonych, a nie mieli funduszy na systematyczne zakupy na wolnym rynku.

Strajki

Fakt, że w latach 1918–1922 w kolejnych rządach zasiadali także socjaliści i ludowcy deklarujący wolę poprawy położenia mas robotniczych i chłopskich, dawał nadzieję na sukces strajków i demonstracji pod hasłami ochrony interesów mas kosztem warstw zamożniejszych. Już w listopadzie 1918 roku rozpoczęły się strajki, których uczestnicy domagali się płacy wystarczającej na zabezpieczenie podstaw egzystencji i przydziałów żywności. Ani pracodawcy, ani władze publiczne nie byli w stanie spełnić tych postulatów. 1 grudnia 1918 roku w starciach robotników z wojskiem w Dąbrowie Górniczej zginęło pięciu demonstrantów. Eskalacja napięcia doprowadziła do wybuchu strajku powszechnego

Naczelne dowództwo obrony Lwowa, listopad 1918 roku. Pierwsze lata Drugiej Rzeczypospolitej były bardzo niespokojne, młode państwo toczyło walki praktycznie na wszystkich frontach. Fot. archiwum „Mówią wieki”

w Zagłębiu 19 grudnia 1918 roku. Podczas tłumienia manifestacji solidarnościowej w Warszawie zginęły kolejne trzy osoby. Otwartego konfliktu nie zakończyły święta Bożego Narodzenia. Jednym ze środków pacyfikacji nastrojów stało się wprowadzenie w Warszawie i w Zagłębiu stanu wyjątkowego (6 stycznia 1919 roku). Kolejna kulminacja konfliktu w Zagłębiu miała miejsce 12 marca 1919 roku, kiedy w wyniku interwencji wojska i policji zginęło ośmiu demonstrantów, a kilkudziesięciu następnych odniosło rany.

Co i rusz wybuchały strajki robotników rolnych, przede wszystkim na Lubelszczyźnie, Mazowszu, w Kieleckiem i Galicji. Skrajnej desperacji wygłodzonych i zagrożonych wyrzuceniem ze służbowych mieszkań rodzin robotników rolnych odpowiadała determinacja właścicieli majątków ziemskich, którzy nie mieli możliwości, aby spełnić żądania robotnicze, a jednocześnie musieli zapewnić obsługę inwentarza i prac rolnych. Często prosili o pomoc wojsko i żandarmerię, a to prowadziło do eskalacji przemocy. Przy likwidacji tzw. republiki tarnobrzeskiej w listopadzie 1918 roku wojsko stosowało masową karę chłosty. 28–29 grudnia 1918 roku masy robotników rolnych i chłopów z okolicy opanowały Zamość. W starciach z wojskiem zginęły 22 osoby. W styczniu roku następnego w powiecie hrubieszowskim zginęło lub odniosło rany ok. 70 osób.

W pierwszych miesiącach 1919 roku coraz częściej uzbrojeni strajkujący przejmowali kontrolę nad majątkami, rozdawali produkty rolne, paszę i żywność. Fali strajkowej nie zatrzymało ogłoszenie 9 lutego tego roku dekretu o pracowniczych związkach zawodowych, który zawierał nowoczesne i korzystne z punktu widzenia pracowników najemnych rozwiązania prawne dotyczące tworzenia i funkcjonowania związków zawodowych. Strajkowali wszyscy. 15 kwietnia 1919 roku „Ilustrowany Kurier Codzienny" donosił z Warszawy: *Strajk służby miejskiej trwa w Warszawie w dalszym ciągu* [...] *w sobotę wieczorem przedstawienie w teatrach miejskich nie odbyło się. Z powodu strajku grabarzy i służby cmentarnej pogrzeby się nie odbyły. Dzienniki stwierdzają, że Warszawą rządziła prawdziwa epidemia strajków i zapytują, na kogo teraz kolej. Obecnie strajkują szewcy i krawcy. Strajki podcinają normalny bieg życia gospodarczego*. Sytuacja uspokoiła się do pewnego stopnia jedynie podczas apogeum wojny polsko-bolszewickiej i kilka miesięcy po podpisaniu traktatu ryskiego oraz uchwaleniu konstytucji.

W pierwszych miesiącach niepodległości mieszkańcy Polski musieli się posługiwać różnymi środkami płatniczymi jednocześnie – obok marki polskiej w obiegu były ruble carskie i rewolucyjne, korony austriackie oraz marki niemieckie

Życie publiczne

Ostatnim, ale może najważniejszym, aspektem codzienności mieszkańców odradzającej się Polski było uczestnictwo w życiu publicznym – doświadczenia z kształtującym się aparatem władzy oraz aktywność obywatelska, w tym zwłaszcza udział w życiu politycznym. Wspomnieliśmy już, że nie nastąpiła cudowna przemiana urzędników pracujących wcześniej w strukturach państw zaborczych, a obecnie dla państwa polskiego. Przyjmowani do pracy zazwyczaj nie posiadali fachowych kwalifikacji i doświadczenia (bo i skąd?). Często starali się nadrabiać braki entuzjazmem, który z czasem słabł, a pokusy związane ze sprawowaniem władzy były coraz silniejsze. Dlatego nie dziwią powszechne narzekania na opieszałość urzędów, łapówkarstwo i kumoterstwo.

Wielka polityka nie poprawiała nastrojów. W sejmie trwała bezpardonowa walka o udział we władzy i kształt stanowionego prawa. Parlamentarne spory prasa nie tylko nagłaśniała, ale też wyolbrzymiała do monstrualnych wymiarów – po trosze dla przypodobania się politykom, po trosze aby zdobyć jak najwięcej czytelników. Rywalizacja polityków o głosy w wyborach parlamentarnych w 1919 i 1922 roku była tym ostrzejsza, że Sejm Ustawodawczy i Sejm I kadencji miały w znacznym stopniu określić przyszły ustrój i mapę polityczną Rzeczypospolitej. Partie polityczne nie powstrzymywały się od szermowania nierealnymi obietnicami, ale też nie krępowały się oskarżać konkurentów o demagogię i najgorsze zbrodnie, łącznie z systematyczną zdradą państwa i interesów narodowych. Polityczne bicie piany kształtowało postawy nie tylko przeciętnego obywatela. 6 lutego 1919 roku Maria Dąbrowska zapisała w swym prywatnym dzienniku: *Dmowski zawarł układ z Czechami, oddając im Cieszyńskie Zagłębie węglowe. Przetargują znowu Polskę. Och, ci Narodowi Demokraci. Jak u nich nie ma nic godności. Jacy to kłamcy, kłamcy, jacy to mali ludzie* [...]. *Bardzo smutno. Przehandlują i Lwów i Gdańsk, ci nikczemni handlarze Polski* [...]. *Ale ileż też winy po stronie tych, co wojsko rozbijali tak wytrwale.*

Druga strona sceny politycznej równie zdecydowanie oceniała konkurentów i potencjalnych sojuszników. Juliusz Zdanowski, jeden z przywódców Narodowej Demokracji, w marcu 1919 roku tak cha-

rakteryzował w dzienniku potencjalnych koalicjantów z PSL Piast: *Banda są te chłopy galicyjskie. Tak jak we Wiedniu, tak w Warszawie łażą ciągle po wszystkich ministeriach o koncesje dla różnych swoich popleczników i kumotrów. I cały skarb by na te darmochy rozgrabili* [...]. *Łapczywość, używanie swoich wpływów dla szafowania groszem publicznym, to są rysy tego chłopa burżuja, który staje się, a właściwie ma się stać, podstawą społecznego ładu. A do tego jeszcze ta straszna, mściwa, fanatyczna nienawiść do ziemiaństwa.*

W świetle informacji ukazujących różne aspekty życia codziennego w realiach pierwszych lat odrodzonej Polski staje się zrozumiałe, że Polacy od pierwszych tygodni niepodległości byli permanentnie sfrustrowani i niezwykle krytyczni wobec otaczającej ich rzeczywistości. Nie zmieniało to jednak faktu, że w ostatecznym rachunku pracowali nie tylko z ogromnym poświęceniem, ale i skutecznie. Świadczy o tym refleksja ambasadora amerykańskiego w Polsce z 18 marca 1921 roku: *Wiele rzeczy w Polsce działo się szybko i nie mieliśmy szansy na ich przetrawienie na bieżąco. O przyjętej wczoraj konstytucji dzisiaj już zapomniano w podnieceniu wywołanym podpisaniem tego wieczoru w Rydze pokoju z bolszewikami. Jutro szybko to przeminie, w przygotowaniu plebiscytu na Śląsku, który odbędzie się w niedzielę. Kręci mi się od tego w głowie, a jeśli chodzi o Polaków, to nawet zaczynają się uśmiechać. Wydawało się, że żadna z tych spraw nigdy nie zostanie załatwiona i że obecne pokolenie będzie egzystować bez konstytucji, bez pokoju i bez granic. Jednocześnie załatwienie wszystkich tych spraw bynajmniej nie oznacza nowego początku, ale jest bardzo pomocne.*

Włodzimierz Mędrzecki, historyk, kierownik Zakładu Historii Społecznej XIX i XX wieku w Instytucie Historii PAN, specjalista od dziejów najnowszych

Jędrzej Moraczewski, premier rządu od 17 listopada 1918 do 16 stycznia 1919 roku. Gabinet Moraczewskiego przygotował m.in. ordynację wyborczą, wydał dekrety o powszechnym prawie wyborczym, ośmiogodzinnym dniu pracy i ubezpieczeniach chorobowych. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

MIGRACJE LUDNOŚCI

z guberni zachodnich i Królestwa Polskiego w czasie pierwszej wojny światowej

TOMASZ BOHUN

W połowie 1915 roku wojska Niemiec i Austro-Węgier wkroczyły na teren Królestwa Polskiego i zachodnich guberni Rosji. Na wschód ruszyła fala uchodźców. W ciągu kilku miesięcy z terenów Kongresówki uszło blisko 1 mln ludzi; łącznie szacuje się liczbę uchodźców na niemal 4 mln.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Rosja – państwo multietniczne i wielonarodowe – stanęła w obliczu niespotykanych dotąd problemów społecznych. Nieco wcześniej, w atmosferze ksenofobii i narastającej szpiegomanii, władze przeprowadziły akcję aresztowań i wysiedleń z największych miast europejskiej części kraju, guberni zachodnich (Litwa, Białoruś, Wołyń i Królestwo Polskie) i nadbałtyckich w głąb Rosji (do guberni północno-zachodnich i na Syberię) ok. 330 tys. Niemców i Austriaków – bez różnicy, czy byli to poddani państw centralnych, czy rosyjscy. Ofiarami tych działań padła też ludność turecka i tatarska oraz Żydzi. Szacuje się, że z guberni południowo-zachodnich wysiedlono ok. 10 tys. Turków i Tatarów, a z Litwy, Białorusi i z ziem Królestwa Polskiego 250–350 tys. ludności żydowskiej.

W połowie 1915 roku wojska Niemiec i Austro-Węgier wkroczyły na teren Królestwa Polskiego i guberni zachodnich Rosji. W głąb kraju ruszyła fala uchodźców. Szacuje się, że ciągu kilku miesięcy z Kongresówki uciekło na wschód blisko milion ludzi, zaś z wszystkich ziem, które zajęły armie państw centralnych, ok. 3,8 mln ludzi (5–7 proc. Rosjan, 67,5 proc. Białorusinów i Ukraińców, 13,2 proc. Polaków, 6,4 proc. Żydów, 4,9 proc. Łotyszów oraz 1–3 proc. Estończyków, Litwinów i Rumunów).

Nie była to bezładna ucieczka, bo uchodźcy – z rosyjska bieżeńcy – zabierali ze sobą inwentarz żywy i najcenniejsze wyposażenie domów i gospodarstw rolnych. To był prawdziwy exodus. Tłumy zablokowały drogi i linie kolejowe, którymi uchodźcy mieli zostać przetransportowani w głąb Rosji. Ludności, która tygodniami oczekiwała na węzłowych stacjach kolejowych na transport, szybko zaczęło brakować żywności i wody. Zaczęły wybuchać epidemie, zmarło tysiące uciekinierów.

Uchodźcy niedaleko stacji kolejowej w Bobrujsku. Szacuje się, że po ofensywie państw centralnych w 1915 roku z terenów Królestwa Polskiego uciekło na wschód blisko milion ludzi, zaś z wszystkich ziem, które zajęły armie państw centralnych, ok. 3,8 mln. Fot. polona.pl

Cegiełka Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Fot. polona.pl

Początkowo rosyjskie władze starały się rozmieszczać ludzi – niejako w miejscach tymczasowego osiedlenia – w strefie przyfrontowej, licząc na to, że ich powrót będzie możliwy w miarę odzyskiwania utraconych terytoriów. Kiedy stało się jasne, że w najbliższej przyszłości nie będzie to możliwe, przemieszczano ich w głąb europejskiej części kraju. Do Moskwy, Petersburga, Kijowa, Mińska i Smoleńska napłynęła fala uchodźców, niemałe kontyngenty przesiedleńców trafiły też na Syberię, Krym i Kaukaz.

Towarzystwa pomocy

Już od samego początku wojny uchodźcom pomagało wiele organizacji o profilu narodowościowym. Polaków wspierały polskie instytucje – najprężniejsze to Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny (PTPOW) i Centralny Komitet Obywatelski (CKO) oraz rzymskokatolickie oddziały towarzystw dobroczynności, Polski Komitet w Moskwie, Polski Komitet Pomocy Sanitarnej, Polski Lwowski Komitet Ratunkowy oraz Lwowski Komitet Ratunkowy. Rosyjskim uchodźcom pomagały m.in. Rosyjski Komitet Pomocy Uchodźcom, Towarzystwo Księżnej Tatiany i Stowarzyszenie Majak, założone przez amerykańskich instruktorów z YMCA. Z kolei ludność żydowską, białoruską, litewską i łotewską wspierały Żydowski Komitet Pomocy Uchodźcom i Żydowski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, Białoruskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny, Towarzystwo Dobroczynność w Mińsku, Białoruskie Katolickie Towarzystwo Litość, Oddział Litewskiego Towarzystwa Obywatelskiego i Towarzystwo Kowieńskie. Po utworzeniu w 1918 roku Ukraińskiej Republiki Ludowej pomocy ludności ukraińskiej udzielał Wydział ds. Uchodźców działający w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dobrą robotę wykonywały też agendy Czerwonego Krzyża, przedstawicielstwa dyplomatyczne państw sprzymierzonych z Rosją oraz rosyjskie organizacje społeczne. Finansowanie i koordynację działalności rosyjskich organizacji pomocowych – w tym wspomagających mniejszości – przejęło państwo. Poprzez Naradę Specjalną przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych tylko w 1915 roku z budżetu państwa na ich działalność zostało przeznaczone 5 mln rubli.

Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny

Największymi polskimi organizacjami tego rodzaju w Rosji były PTPOW i CKO. O skali ich działalności świadczy to, że w latach 1915–1917 państwo rosyjskie przeznaczyło głównie na ich działalność ponad 100 mln rubli. Pierwsze z nich zostało założone w sierpniu 1914 roku przez redaktora „Głosu Polskiego" Remigiusza Kwiatkowskiego, mecenasa Bolesława Olszamowskiego i posła Dumy Państwo-

wej Henryka Święcickiego. Szacuje się, że w czasie pierwszej wojny światowej w pracach PTPOW uczestniczyło blisko 20 tys. działaczy i wolontariuszy, a ze swoimi 300 oddziałami objęło ono zasięgiem całą Rosję. Początkowo celem organizacji było wypłacanie zapomóg rodzinom Polaków służących w armii rosyjskiej oraz świadczenie różnego rodzaju pomocy uchodźcom, zesłańcom i deportowanym rodakom. Nieoceniona była też pomoc w odnalezieniu się w nowych warunkach życia (szczególnie ważna dla przesiedleńców na Syberii), a więc w osiedleniu się i znalezieniu pracy. PTPOW kładło szczególny nacisk na organizację opieki nad dziećmi poszkodowanych oraz organizowanie i nadzór nad placówkami opiekuńczymi, kulturalnymi i oświatowymi. Szacuje się, że 40 proc. podopiecznych towarzystwa stanowiły dzieci do 14 lat. Organizacja mogła działać dzięki funduszom rządowym, prywatnym darowiznom oraz zapałowi i inicjatywie działaczy i wolontariuszy – w przeważającej większości miejscowej ludności. W działalność organizacji włączyli się lokalna inteligencja, urzędnicy, lekarze, inżynierowie i duchowieństwo katolickie.

Szczególnym rejonem działalności PTPOW była Syberia, bowiem w tamtejszych guberniach osiedlono znaczną część uchodźców i deportowanych. Szacuje się, że od połowy 1915 do początku 1916 roku – a więc w okresie, kiedy z ziem zachodnich do Rosji napłynęła największa fala uchodźców – na Syberię dotarło około 200 tys. osób, z czego 20–25 proc. stanowili Polacy (40–50 tys.). Trudno dokładnie określić, jak wielu uchodźców i jeńców otrzymało pomoc towarzystwa. Z raportów i sprawozdań wynika, że mogło to być nawet 10 tys. ludzi. Warto podkreślić, że organizacja pomagała nie tylko Polakom poddanym rosyjskim, ale również Polakom poddanym innych państw (zesłańcy, jeńcy wojskowi i cywilni) deportowanym na wschód jeszcze w 1914 roku. O ile pomoc pierwszej z wymienionych kategorii przebiegała bez większych problemów, o tyle drudzy przez pierwsze kilkanaście miesięcy wojny podlegali różnym szykanom władz i ograniczeniom administracyjnym, np. zakazywano im osiedlania się w miastach i poruszania w granicach danej guberni, prowadzenia korespondencji w języku ojczystym i swobodnego podejmowania pracy. Zrozumiałe więc, że PTPOW, aby nie narażać się władzom, musiało postępować w stosunku do tej grupy osób rozważnie. W marcu 1915 roku, dzięki zniesieniu przez władze rosyjskie tych ograniczeń w stosunku do ludności słowiańskiej (a więc i Polaków), pomoc towarzystwa zaczęła docierać również do nich.

Centralny Komitet Obywatelski

Dzieje relacji między PTPOW a Centralnym Komitetem Obywatelskim dają pojęcie o charakterze współpracy i konfliktów wśród polskich środowisk w Rosji. CKO został założony w Warszawie we wrześniu 1914 roku na bazie Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Jego twórcy – książę Seweryn

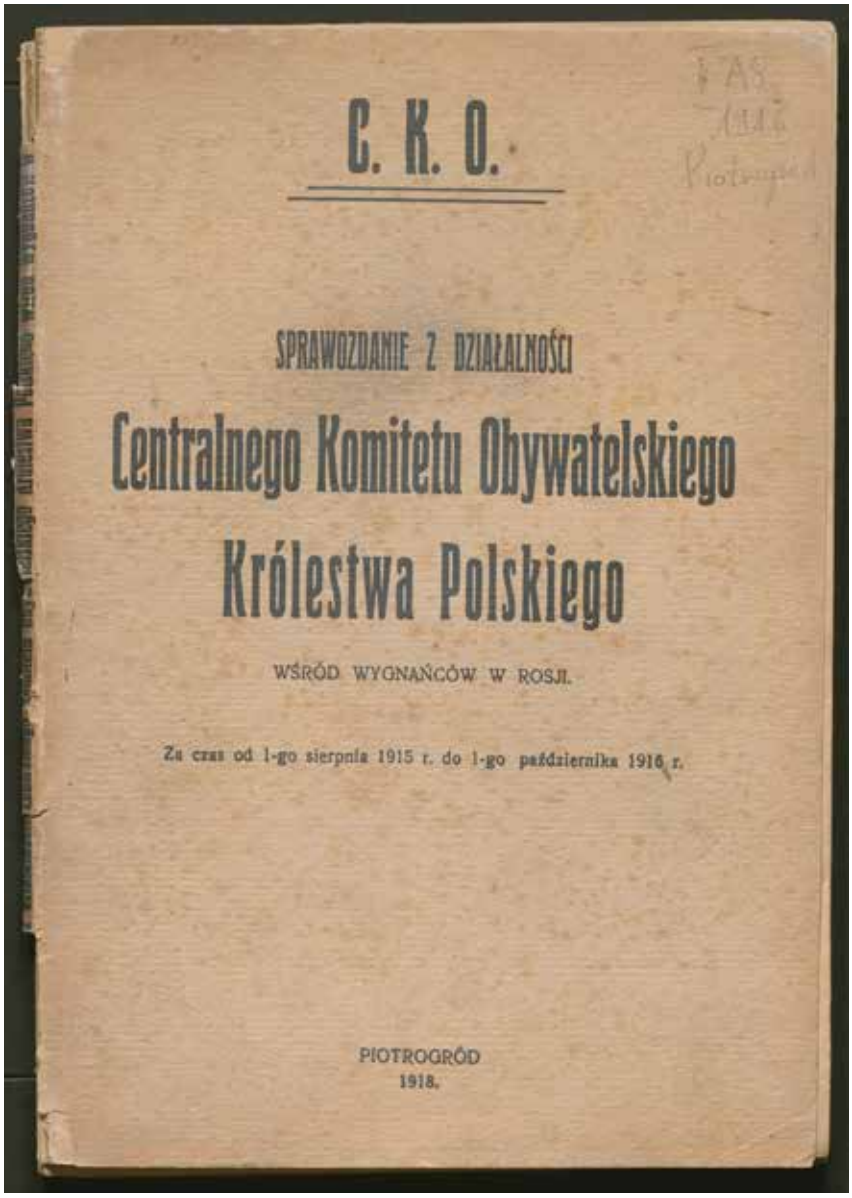
C. K. O.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI

Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego

WŚRÓD WYGNAŃCÓW W ROSJI.

Za czas od 1-go sierpnia 1915 r. do 1-go października 1916 r.

PIOTROGRÓD
1918.

Sprawozdanie z działalności Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego w Rosji. Fot. polona.pl

Świętopełk Czetwertyński, Władysław Grabski, Stanisław Leśniowski, Antoni Wieniawski, Zbigniew Chrzanowski i Bronisław Załęski – postawili sobie za cel utrzymanie w Królestwie Polskim normalnego życia ekonomicznego, kulturalnego i gospodarczego. Ważnym elementem działalności komitetu była też pomoc dla ludności, która została poszkodowana w wyniku działań wojennych. Najcięższej próbie organizacja została poddana w połowie 1915 roku: wobec exodusu ludności z guberni zachodnich w głąb Rosji działacze i pracownicy CKO zintensyfikowali swoje działania. Zapewnienie minimum egzystencji setkom tysięcy uchodźców w drodze do nowych miejsc osiedlenia – czyli w momencie najbardziej dla nich dramatycznym, kiedy byli najbardziej narażeni na śmierć z głodu i chorób – było nie lada wyczynem. Organizacja zamierzała w dalszym ciągu nieść pomoc rodakom, którzy zostali rozproszeni po terytorium Rosji. Jednak po rozpoczęciu okupacji ziem Królestwa Polskiego przez państwa centralne kierowanie z Warszawy działalnością CKO w Rosji stało się niemożliwe.

Pod koniec sierpnia w Petersburgu działacze CKO, upoważnieni przez warszawski zarząd komitetu do działalności w Rosji (m.in. Grabski, ks. Czetwertyński i Stanisław Wojciechowski), utworzyli niezależne Zebranie Ogólne Członków CKO. Przez cały czas funkcjonowania organizacji (do 1918 roku) jej pełnomocnikiem głównym był Grabski. Doświadczenie z okresu warszawskiego pozwoliło na stworzenie struktur, które objęły całą Rosję. Po rewolucji lutowej nastąpiła ich demokratyzacja na wzór utworzonej Rady Głównej, w której znaleźli się delegaci wybrani przez przesiedleńców według maksymy „nic o nas bez nas". Do końca 1917 roku CKO zarejestrował ponad 353 tys. uchodźców, sprawował opiekę nad prawie 334 tys. osób (reszcie niosły pomoc inne organizacje ratownicze, m.in. PTPOW). Działalność ratowniczą z ramienia CKO prowadziło 2754 przewodników i ławników, 300 instruktorów oraz 33 pełnomocników okręgowych.

Dzieci w jednym z polskich sierocińców w Rosji. Fot. archiwum „Mówią wieki"

Współpraca i rywalizacja

Podobnie jak PTPOW, CKO miał największe trudności na Syberii. Kłopoty z oszacowaniem rzeczywistej liczby wygnańców z Królestwa Polskiego w tamtejszych guberniach oraz ogromne przestrzenie spowodowały, że Syberia – odmiennie niż europejska część Rosji – pod względem organizacyjnym została ujęta przez CKO w jeden tzw. Rejon Wschodni. Tamtejsze struktury organizacji bezpośrednio podlegały centrali, czyli pełnomocnikowi głównemu (Władysławowi Grabskiemu). Inna sprawa, że w rozwinięciu aktywnej działalności CKO w Rosji pomogła pomoc finansowa rosyjskiego rządu, a przede wszystkim współpraca z innymi organizacjami ratowniczymi, m.in. PTPOW, których informacje i doświadczenie organizacyjne pozwoliły na przeprowadzenie szybkiej i w miarę pełnej ewidencji potrzebujących pomocy. Szacuje się, że na Syberii CKO udzielił pomocy ok. 3 tys. Polaków.

Formalnie współdziałanie regulowała umowa o podziale kompetencji: PTPOW miało się opiekować wygnańcami w miastach, CKO na prowincji. Ale współpraca przy ewidencjonowaniu wygnańców czy wspomaganie się środkami finansowymi w razie chwilowego braku funduszy to jedna strona medalu. Druga to niesnaski na tle personalnym, wzajemne oskarżenia o nieudolność i bierność w wykonywaniu celów statutowych (różnice mentalne między Królewiakami a Polakami z Syberii, a także spryt i obrotność tych drugich w kontaktach z administracją lokalną by-

ły przyczyną tego typu podejrzeń i nieporozumień). Poza tym na Syberii kilka razy doszło do sporów kompetencyjnych, kiedy pracownicy CKO prowadzili akcje pomocy w miastach, a więc domenie PTPOW. Działacze komitetu zarzucali natomiast PTPOW, że zaniedbywało pomoc medyczną, oświatową i religijną. Choć nie można określić stosunków między obiema organizacjami jako wrogich, faktem jest, że na Syberii w wielu miejscach działały one niezależnie od siebie, ograniczając kontakty do minimum.

Dla CKO, odmiennie niż dla PTPOW, oprócz akcji ratowniczej nie mniej ważnym elementem było podtrzymanie wśród wygnańców świadomości, że ich pobyt w Rosji to tylko epizod, zaś główny cel to powrót do ojczyzny. Kredo działalności CKO najdobitniej widać w słowach Władysława Grabskiego: jego zdaniem pomoc uchodźcom z Królestwa Polskiego powinna być prowadzona *taką drogą i w taki sposób, aby wygnaniec nie przestawał być obywatelem swojego kraju i nie czuł się żebrakiem ani wobec swoich, ani tym bardziej wobec obcych, lecz pozostawał polskim gospodarzem, robotnikiem czy też urzędnikiem, dotkniętym klęską wojny i potrzebującym skutkiem tego pomocy, ale tę pomoc otrzymującym w ustawicznej spójni z ziemią ojczystą, chroniącej od wszelkiego wrastania w miejscowe warunki społeczne i krzepiącej go wciąż w myślach i dążeniach jak najrychlejszego powrotu do ojczyzny*.

Ten punkt widzenia nie znalazł zrozumienia wśród działaczy PTPOW. Kiedy w marcu 1918 roku w Omsku przedstawiciele CKO chcieli utworzyć Komitet Powrotu do Kraju, na zebraniu stawili się przedstawiciele wszystkich środowisk polskich poza działaczami PTPOW i miejscowej sekcji SDKPiL.

Repatriacja

Punkt zwrotny w działalności nie tylko polskich organizacji pomocowych nastąpił w 1917 roku. Po rewolucji lutowej, a zwłaszcza po przejęciu władzy w Rosji przez bolszewików w październiku tego roku, warunki ich działalności znacznie się pogorszyły. System wspierania uchodźców przez władze rosyjskie załamał się. Inna sprawa, że władze bolszewickie postrzegały uchodźców i przesiedleńców nie-Rosjan jako element wymagający nadzoru, a sytuację pogorszył wybuch wojny domowej i tworzenie się państw narodowych na terytoriach byłych guberni zachodnich. W takiej sytuacji indywidualnie i w ramach narodowościowych organizacji pomocowych zaczęto tworzyć plany powrotu uchodźców do ich ojczyzn, a w sensie zorganizowanym – repatriacji.

W wyniku zawarcia w 1918 roku traktatu pokojowego między państwami centralnymi a Rosją Radziecką i Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką do dawnych guberni zachodnich Rosji i Królestwa Polskiego ruszyła pierwsza fala repatriantów. Organizację i nadzór nad nią prowadziły dwie Mieszane komisje repatriacyjne – ze strony Polski oraz RFSRR i USRR. W ramach tej akcji do końca 1918 roku do ojczyzny powróciło 476 tys. osób, w tym 250 tys. do dawnych guberni lubelskiej i chełmskiej. Z wyjątkiem repatriantów z Kaukazu, Krymu i południowo-wschodniej Ukrainy – w sumie ok. 26 tys. osób – którzy w 1920 roku powrócili do Polski przez Rumunię i Stambuł, wojna polsko-bolszewicka w latach 1919–1921 przerwała potok repatriantów ze wschodu. Akcje zostały wznowione dopiero po zakończeniu walk za sprawą ustawy o repatriacji z 24 lutego 1921 roku i pokoju ryskiego z 18 marca 1921 roku. Do 1924 roku do Polski powróciło 2,4 mln osób. Szacuje się, że w wyniku katastrofalnych warunków transportu, głodu i chorób w drodze zmarło 1–1,5 mln repatriantów.

Odrodzone państwo polskie nie było w stanie poradzić sobie z ich integracją. W tej sytuacji, podobnie jak na uchodźstwie, z pomocą przyszły im organizacje społeczne, które jednak socjalnie i materialnie najczęściej wspierały ludność polską. Powracający na Chełmszczyznę i Podlasie Ukraińcy i Białorusini zwykle byli dyskryminowani, bo ich własność znajdowała się już w rękach polskich – przesiedleńców z Galicji i miejscowej ludności.

Następstwa migracji ludnościowych w czasie pierwszej wojny światowej niewątpliwie miały wpływ na wyraźnie mniejszy potencjał demograficzny, gospodarczy i kulturalny wschodnich województw odrodzonej Rzeczypospolitej oraz stan państwa polskiego w okresie międzywojennym. Skutki tego w wielu aspektach są odczuwane do dzisiaj.

Zapewnienie minimum egzystencji setkom tysięcy uchodźców w drodze do nowych miejsc osiedlenia – w momencie najbardziej dla nich dramatycznym, kiedy byli szczególnie narażeni na śmierć z głodu i chorób – było nie lada wyczynem

Tomasz Bohun, historyk, redaktor „Mówią wieki"

BLIZNY WOJNY

O zniszczeniach i odbudowie gospodarczej ziem polskich w Drugiej Rzeczypospolitej

MICHAŁ KOPCZYŃSKI

Wielka Wojna i ponadtrzyletnia okupacja ziem polskich w latach 1915–1918 spowodowały ogromne straty materialne. Jak szacowano jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, dochód narodowy zmniejszył się o ok. 70 proc. w stosunku do poziomu z roku 1913. 12 proc. majątku narodowego utracono bezpowrotnie.

Stacja kolejowa w Żydaczowie zniszczona podczas działań wojennych w 1915 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W roku 1922, a więc w pierwszym roku pokoju od chwili odzyskania niepodległości, wartość produkcji przemysłowej w Drugiej Rzeczypospolitej wyniosła wedle różnych szacunków od 62 do 74 proc. wartości z roku 1913. Stosunkowo najmniej poszkodowane były górnictwo ropy naftowej i węgla kamiennego (78 i 69 proc.). Inne gałęzie przemysłu zostały przez wojnę niemal zrównane z ziemią – hutnictwo osiągało jedynie 3,5 proc. produkcji przedwojennej, cukrownictwo 17 proc., papiernictwo 24 proc. Jak podkreśla Wojciech Roszkowski, za którym cytuję te dane, większe straty w produkcji przemysłowej poniosła w tym okresie jedynie Rosja, będąca nie tylko uczestnikiem wojny światowej, ale i areną krwawej wojny domowej oraz niszczącej polityki komunizmu wojennego. Nie mniej dotkliwe od strat w przemyśle były straty polskiego rolnictwa. Zniszczone budynki czy przeryte okopami pola uprawne to nie wszystko. Wojsko rekwirowało konie, stanowiące podstawową siłę pociągową ówczesnego rolnictwa, co przyczyniło się do spadku zbiorów o 45 proc. na terenie byłego Królestwa Polskiego i o ponad 60 proc. na Kresach. Konsekwencją było fatalne położenie aprowizacyjne ludności, nie tylko miejskiej. Sytuacja powróciła do normy dopiero w połowie lat dwudziestych, kiedy udało się osiągnąć przedwojenny poziom zbiorów.

Ogromne zniszczenia wojenne, które dotknęły wszystkich dziedzin gospodarki, wymuszone powojenne zmiany polityczne oraz zamknięcie rynku rosyjskiego i częściowo niemieckiego dla polskich towarów oraz konieczność reorientacji produkcji zaciążyły nad wynikami gospodarczymi całego dwudziestolecia międzywojennego.

Rozwój czy stagnacja?

Naukowa debata nad bilansem gospodarczym dwudziestolecia rozpoczęła się po październikowej odwilży, we wczesnych latach sześćdziesiątych. Wcześniej nie było na nią miejsca, a obraz Drugiej Rzeczypospolitej był kreślony przez partyjną propagandę hołubiącą ulubione mity o zapałkach dzielonych na czworo oraz ogólnej degrengoladzie pod rządami obcego kapitału i rodzimych klas posiadających. Już w latach sześćdziesiątych i później, na początku osiemdziesiątych, gdy do debaty włączyło się młodsze pokolenie badaczy, wykrystalizowały się dwa przeciwstawne poglądy. Według pierwszego, najpełniej zaprezentowanego w pracach Zbigniewa Landaua i Jerzego Tomaszewskiego, wskaźniki ogólne – indeks produkcji przemysłowej i rolnej oraz dochód narodowy na głowę – w okresie 1913–1938 ulegały obniżeniu, a w najlepszej sytuacji pozostały bez zmian. Przykładowo wartość indeksu produkcji przemysłowej za rok 1938 stanowiła jedynie 84 proc. poziomu z 1913 roku. Zdaniem cytowanych autorów przyczyniły się do tego m.in. nie dość radykalna reforma rolna, nadmierne wpływy obcego kapitału, brak konsekwentnej i długofalowej polityki gospodarczej rządu, nadmierne przywiązanie do stałego kursu waluty będące pozostałością po traumatycznym doświadczeniu hiperinflacji z lat 1919–1924. Rzecz jasna wpływ na to miała także niespokojna koniunktura dwudziestolecia, ze wspomnianą hiperinflacją i wielkim kryzysem, który silnie dotknął również Polski. Nieco bardziej optymistyczne były wyliczenia Mariana Marka Drozdowskiego, ale także on – choć opowiadał się za wyraźnym wzrostem indeksu produkcji przemysłowej w dekadzie 1928–1938 – dla całego okresu 1913–1918 oceniał, że indeks mógł przekroczyć wartość 100 jedynie nieznacznie.

Zniszczenia wojenne, które dotknęły wszystkich dziedzin gospodarki, zamknięcie rynku rosyjskiego i częściowo niemieckiego dla polskich towarów oraz konieczność reorientacji produkcji zaciążyły nad wynikami gospodarczymi całego dwudziestolecia międzywojennego

Debata na ten temat ożywiła się w latach osiemdziesiątych. Wojciech Roszkowski zaprotestował wówczas przeciw prostym porównaniom w perspektywie lat 1913–1938 i pomijaniu w ten sposób ogromu zniszczeń spowodowanych w czasie Wielkiej Wojny. Jego zdaniem znacznie sprawiedliwsze było zestawienie wskaźników rozwoju przemysłu w okresie 1920/21–1936/38. Takie porównanie dawało zupełnie odmienny rezultat. Zamiast spadku produkcji o kilkanaście procent rysował się jej wzrost aż o 149 proc., a więc szybszy niż wskaźnik dla świata (114 proc.) czy Europy (88 proc.). Rzecz jasna dynamiczny wzrost wartości indeksu wynikał przede wszystkim z jego niskiej wartości początkowej. Biorąc jednak pod uwagę skalę zniszczeń wojennych, obraz ten nie przeczy temu, co wiemy o wielkich inwestycjach dwudziestolecia, takich jak Gdynia, magistrala węglowa (linia kolejowa nr 131 zbudowana w latach 1926–1932) i COP. Nie przeczy on również twardym danym statystycznym, z których wynika wyraźne zapóźnienie gospodarcze Drugiej Rzeczypospolitej w porównaniu z innymi krajami. Wszak średnie zużycie stali na głowę mieszkańca

Dźwigi w porcie przeładunkowym w Gdyni. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

w latach 1930–1938 wynosiło w Polsce zaledwie 22 kg, podczas gdy w USA 246, a w Niemczech 152 kg.

Ekonomista starszego pokolenia Mieczysław Mieszczankowski na początku lat osiemdziesiątych oceniał, że produkcja rolna w Drugiej RP podniosła się nawet o 25 proc. w stosunku do średniej z kilku lat przed wybuchem Wielkiej Wojny. Landau i Tomaszewski bronili swych poglądów, zarzucając oponentom błędną interpretację danych i wskazując na niespójność polskiej statystyki rolnej, na której opierał się Mieszczankowski. W konsekwencji oba sprzeczne punkty widzenia współistnieją do dziś.

Widziane z zagranicy

Swoje trzy grosze do debaty dorzucili też badacze zagraniczni. Amerykańscy ekonomiści David Good i Tongsu Ma oszacowali dochód krajowy brutto na głowę dla ziem polskich w 1920 roku. Ich rezultaty, w których uwzględnili również straty wojenne, dawały obraz jeszcze bardziej dynamiczny niż badania Roszkowskiego. Średni roczny przyrost PKB na głowę (dalej PKB/PC) w latach 1920–1938 miał wynieść aż 4,7 proc. Postęp było też widać w zestawieniu polskiego PKB/PC z analogicznym wskaźnikiem dla Stanów Zjednoczonych. O ile w 1910 roku polskie PKB/PC było równe 34 proc., o tyle w 1920 roku stanowiło tylko 12 proc., ale w 1938 wzrosło do 35 proc. Wniosek ten pozostaje w zgodzie z obliczeniami Roszkowskiego, wskazującego na wyższą dynamikę wzrostu wartości produkcji przemysłowej w Polsce niż w USA, choć oczywiście trzeba pamiętać, że Stany nie otrząsnęły się jeszcze wówczas z konsekwencji wielkiego kryzysu. Warto też zwrócić uwagę, że nawet po 1945 roku średnie tempo wzrostu PKB/PC w Polsce nie było tak wysokie jak w latach 1920–1938, a jego wartość w porównaniu z USA nie przekroczyła nigdy 35 proc. analogicznej wartości w Stanach.

Bardziej oszczędny w szacunkach był Brytyjczyk Angus Maddison, autor monumentalnej historii gospodarczej świata w liczbach, dostępnej w formie książkowej i jako baza danych w internecie, chętnie cytowanej przez wielu ekonomistów. Badacz poddał krytyce szacunki Gooda i Ma, wskazując, że w odniesieniu do ziem polskich są one oparte na dość niepewnych źródłach i mało przekonującym założeniu, że tempo wzrostu PKB na ziemiach polskich było podobne jak w samej tylko Galicji.

Maddison nie odważył się szacować PKB/PC dla Polski w 1920 roku. Poprzestał na zestawieniu dla lat 1913–1938, z którego wynikało, że polski PKB/PC był w okresie międzywojennym dość niestabilny (znaczny spadek w okresie wielkiego kryzysu), ale jego ostateczny wzrost w perspektywie 1913-1938 oszacował na 25 proc., głównie za sprawą znacznego wzrostu w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej. Dane Maddisona również są kontrowersyjne. Chcąc zachować ciągłość w długim okresie, przyjął bowiem, że szacunki odnoszą się do współczesnych granic poszczególnych państw. O ile takie założenie można przyjąć w odniesieniu do Wielkiej Brytanii, a poniekąd i Francji, to w przypadku takiego państwa jak Polska, które pojawia się i znika na mapie Europy, a jego granice przesuwają się w sposób dramatyczny, oszacowania te są co najmniej dyskusyjne i mogą pełnić jedynie funkcję orientacyjną.

Biologiczny standard życia

W latach osiemdziesiątych część historyków gospodarczych zaczęła uzupełniać tradycyjne wskaźniki ekonomiczne takie jak PKB/PC danymi obrazującymi kondycję biologiczną badanych populacji. Brano pod uwagę przede wszystkim przeciętne trwanie życia ludzkiego i wysokość ciała. Ta ostatnia wartość stanowi wypadkową wyposażenia genetycznego danej populacji oraz warunków życiowych w pierwszych 20 latach życia. Niedostateczne odżywienie w połączeniu z częstymi chorobami powoduje, że genetycznie zaprogramowany (a nam nieznany) ostateczny wzrost nie zostaje osiągnięty. Jeśli jakość żywienia poprawia się, a liczba przebytych chorób zmniejsza, to genetyczny pułap jest realizowany w sposób pełniejszy, o czym świadczy coraz większy wzrost populacji.

Najczęściej wykorzystywanymi źródłami do badań nad wzrostem są rejestry poboru do wojska, gdzie notowano go już od XVIII wieku, spisy więźniów (wzrost był jednym ze sposobów identyfikacji osadzonych) oraz pomiary młodzieży szkolnej.

Średni roczny przyrost PKB na głowę w Polsce w latach 1920–1938 wyniósł według amerykańskich ekonomistów Davida Gooda i Tongsu Ma aż 4,7 proc.

Z dotychczasowych badań dotyczących ziem polskich wynika, że średni wzrost zaczął się systematycznie podnosić w tempie ok. 1 cm na dziesięciolecie od generacji urodzonej w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Tempo to utrzymało się aż do generacji urodzonej w latach 1890–1895, dojrzewającej jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, która mierzyła średnio w Królestwie Polskim ok. 166,5–167 cm. To jednak wszystkie dane, które można zaczerpnąć z rejestrów poborowych pozostałych po armiach państw zaborczych.

Kolejne znajdują się w dokumentach wytworzonych przy okazji poboru do Wojska Polskiego, których pozostało stosunkowo niedużo. Dodatkowym utrudnieniem jest fakt, że dane pochodzące z pierwszych lat istnienia Drugiej Rzeczypospolitej dotyczą żołnierzy wcielonych w szeregi wojska, a późniejsze – ogółu poborowych. Znacznie bardziej jednolite i przez to porównywalne są materiały z więzień, których jest dość dużo. W teczkach personalnych osadzonych odnotowywano wzrost, masę ciała, zawód wyuczony, miejsce urodzenia i zamieszkania oraz wiele innych danych personalnych.

Więźniowie

Aby ocenić ewolucję wzrostu w byłym Królestwie Polskim w okresie dwudziestolecia, Mateusz Rodak i piszący te słowa skompletowali liczącą ponad 2,5 tys. osób próbę kryminalistów osadzonych w latach 1918–1939 w więzieniach centralnej Polski. Podzielenie ich wedle roku urodzenia na pięcioletnie grupy pozwoli ustalić, czy i w jakim stopniu warunki wojenne – przede wszystkim panujące wówczas na ziemiach polskich powszechne niedożywienie – wpłynęły na wzrost. Przypomnijmy raz jeszcze, że ostateczny wzrost jest miarą sumaryczną obrazującą warunki środowiskowe panujące w ciągu 20 lat życia badanych. A mogły się one zmieniać. Jeśli sytuacja ulegała poprawie, działać mógł mechanizm kompensacyjny pozwalający na odrobienie wcześniejszych strat. Mogło to nastąpić poprzez wydłużenie procesu wzrastania (niekiedy do 23. roku życia) albo bujniejszego niż normalnie rośnięcia w okresie pokwitania, czyli w wieku 13–16 lat. Przykładowo osoby urodzone w latach 1900–1904 mogły rosnąć prawidłowo w okresie wczesnego dzieciństwa, ale pokwitanie, kiedy rośnie się gwałtowniej, w okresie Wielkiej Wojny mogło

być znacznie mniej dynamiczne niż w normalnych warunkach. W konsekwencji ostateczny wzrost okazał się niższy, bowiem okres wzrastania organizmu dobiegał końca i na odrobienie strat zabrakło czasu. Z kolei urodzeni w latach wojny – grupa rocznikowa 1915–1920 – choć we wczesnej młodości byli niedożywieni, to dzięki wzrastaniu w lepszych warunkach w okresie pokwitania mogli z nawiązką odrobić wcześniejsze niedobory.

Pozostaje jednak pytanie, na ile więźniowie są grupą reprezentatywną dla ogółu społeczeństwa czy choćby dla jego niższych warstw, narażonych na negatywne oddziaływanie środowiska. Sprawa jest bardziej skomplikowana i wymaga konfrontacji z danymi dotyczącymi ogółu poborowych. Jeśli tendencje w obu grupach będą podobne, to można uznać, że próba złożona z więźniów odzwierciedla zjawiska zachodzące w społeczeństwie.

Wreszcie sprawa ostatnia, choć nie najmniej ważna – czy różny w poszczególnych grupach osadzonych profil społeczny z punktu widzenia miejsca urodzenia, zawodu lub wykształcenia nie zakłóca rezultatów. Tutaj pomocne są techniki statystyczne, które pozwalają sprowadzić wyniki dla poszczególnych grup urodzeniowych do tego samego mianownika, którym w naszym przypadku jest mężczyzna w wieku 20–29 lat, chrześcijanin (Żydzi byli z reguły znacznie niżsi), urodzony na wsi, wykonujący zawód niewymagający kwalifikacji (ale niebędący rolnikiem).

Wyniki

Rezultat tych dociekań obrazuje wykres, na którym zestawiono średni wzrost więźniów z danymi dotyczącymi 21–22-letnich żołnierzy i poborowych do Wojska Polskiego. Trzecia krzywa odzwierciedla wyniki pomiarów prowadzonych już po wojnie, w latach 1955–1957, podczas badań antropologicznych wykonanych przez naukowców z Polskiej Akademii Nauk na zlecenie przemysłu tekstylnego, który potrzebował typowych wymiarów ludności do projektowania konfekcji.

We wszystkich trzech przypadkach wyraźnie najniżsi są mężczyźni urodzeni w latach 1900–1904, a więc ci, których okres pokwitania przypadł na lata Wielkiej Wojny. Sporny pozostaje rozmiar regresu w porównaniu z poprzednią generacją. W przypadku więźniów jest to niemal 1,5 cm, w przypadku żołnierzy niecały 1 cm. Ponieważ jednak chodzi o żołnierzy wcielonych w szeregi wojska, a nie o poborowych, to nie można wykluczyć, że spośród urodzonych w latach 1900–1904, którzy byli wyraźnie niżsi, komisje poborowe starały się wybierać lepiej zbudowanych. Trzecie z porównywanych badań niewiele nam pomoże, bowiem w przypadku ludności mierzonej w latach 1955–1957 datą wyjściową był rocznik 1900. Jeśli prześledzimy dalszy przebieg krzywych, to okaże się, że straty w biologicznym standardzie życia dość szybko zostały

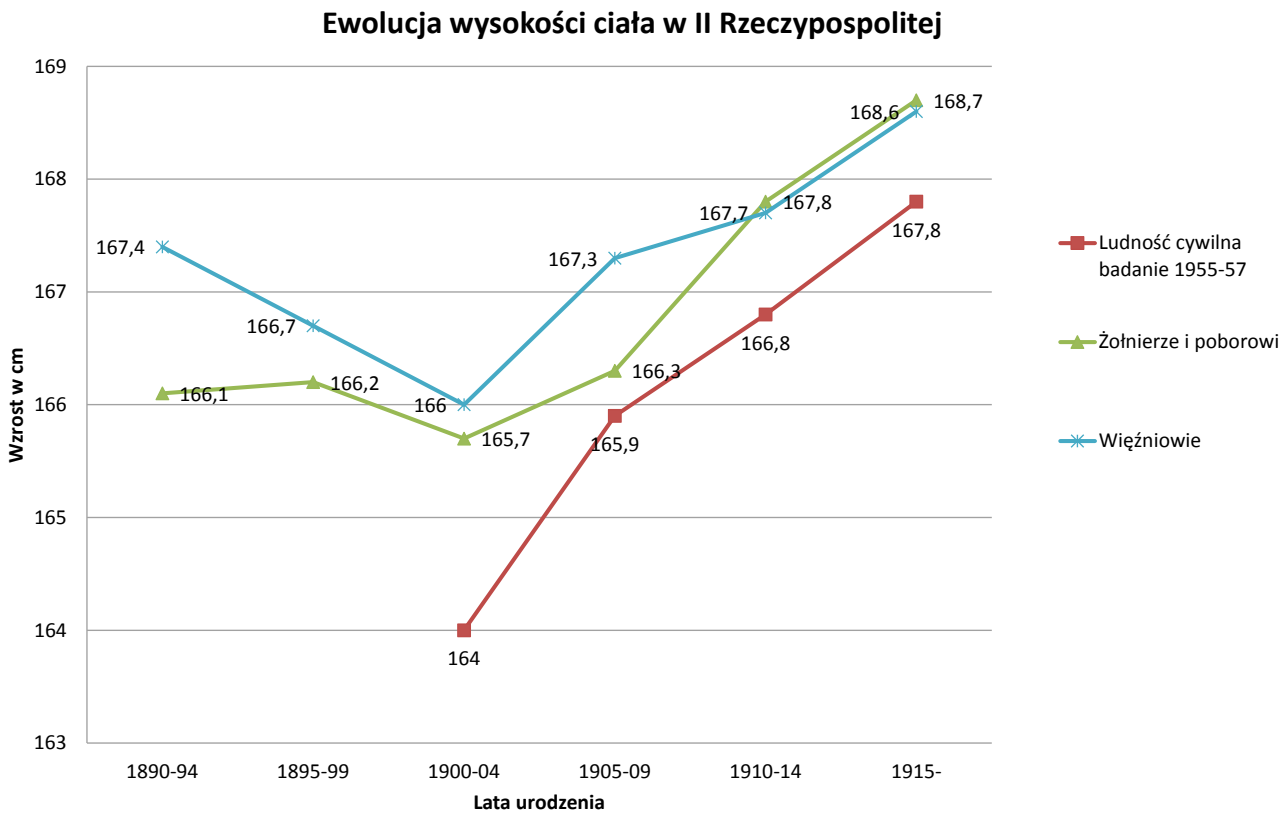

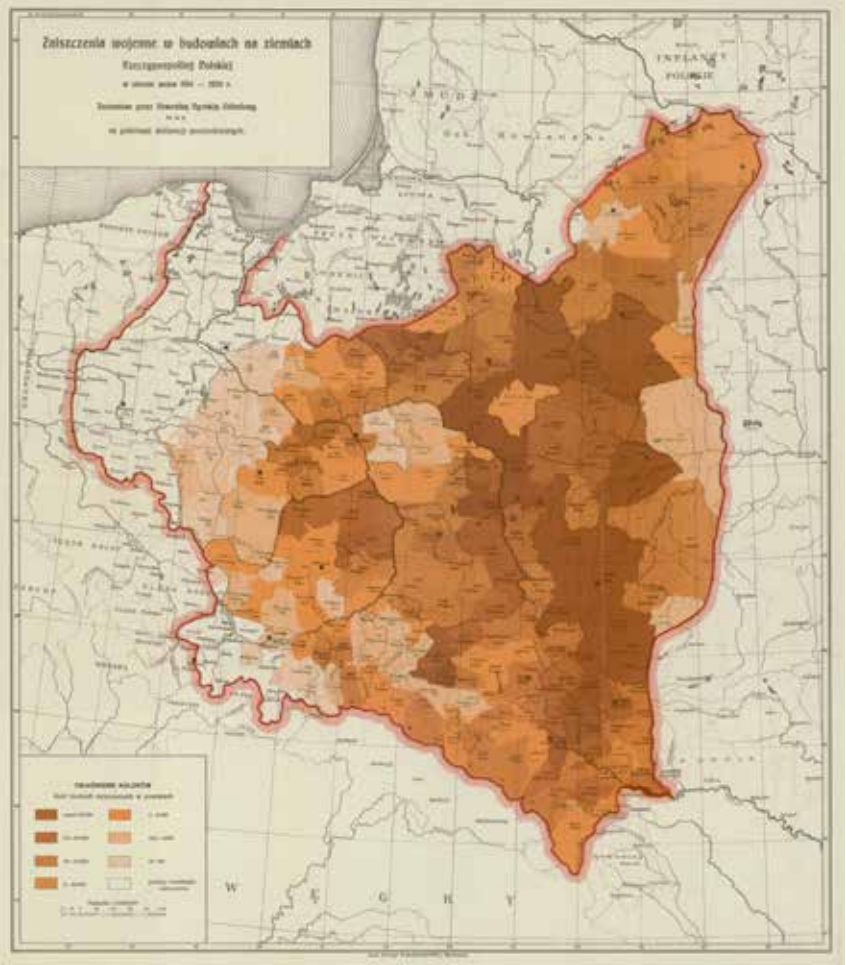

Zniszczenia wojenne w budowlach, mapa z 1921 roku. Fot. polona.pl

zniwelowane. Poziom przedwojenny osiągnięto w grupie urodzonych w latach 1905–1914, których pokwitanie przypadło na lata dwudzieste. Z kolei mężczyźni urodzeni w latach wojny byli wyraźnie wyżsi od generacji przedwojennych. I nie był to wcale mały przyrost. W przypadku więźniów średnia podniosła się o 1,2 cm, a w przypadku żołnierzy aż o 2,6 cm w ciągu 25 lat pomiędzy grupą urodzoną w latach 1890–1894 a 1915–1920. Jeśli jednak będziemy liczyć w okresie krótszym, tzn. od grupy urodzonej w latach 1900–1904 do lat 1915–1920, to tempo będzie imponujące, większe niż przed wybuchem Wielkiej Wojny, bliskie tempu zwiększania się wzrostu w Polsce po roku 1945.

Dodajmy, że dane te pokrywają się z pomiarami młodzieży szkolnej wykonanymi w okresie międzywojennym. Młodzież szkolna urodzona w latach wojny była wyraźnie wyższa od dzieci, które urodziły się w dekadzie 1900–1910. O opóźnieniu procesu wzrastania tej ostatniej generacji świadczą też dane z więzień. Osadzeni w wieku 18–19 lat urodzeni w pierwszej dekadzie XX wieku mierzyli średnio 163 cm, podczas gdy ich rówieśnicy z następnej dekady 168 cm. Pięciocentymentrowa różnica skłania do wniosku, że ci, którzy przechodzili pokwitanie w czasie wojny, rośli znacznie wolniej i zapewne dłużej dorastali.

Pewnego rodzaju zagadką może być bujne wzrastanie generacji urodzonej w czasie Wielkiej Wojny. Wyjaśnienia mogą być dwa. Najmłodsze dzieci znajdują się pod opieką rodziców, którzy starają się ograniczyć negatywne wpływy środowiska. Badacze śmiertelności w okresach głodów wskazują, że choć o umierających małych dzieciach mówi się najczęściej, to najwyższy wzrost śmiertelności ma zwykle miejsce wśród młodzieży i osób w wieku dojrzałym. Ponadto konsekwencje niedożywienia w okresie niemowlęcym mogą zaniknąć w późniejszych latach dojrzewania, o czym wspomniano. Tak było w przypadku dzieci urodzonych w Holandii w okresie wielkiego głodu w zimie 1944/1945 roku, podczas niemieckiej okupacji. W przypadku chłopców dojrzewających w okresie głodu jego ślady pozostają na trwałe, bo brakuje czasu na zadziałanie mechanizmu kompensacyjnego.

Regres, stagnacja, wzrost?

Powróćmy do debaty na temat bilansu ekonomicznego Drugiej Rzeczypospolitej. Co wnoszą do niej rozważania o ludzkiej fizyczności?

Przede wszystkim skłaniają do konkluzji, że z punktu widzenia biologicznego standardu życia, okres Drugiej Rzeczypospolitej był okresem postępu, a nie stagnacji czy wręcz regresu. Oczywiście nie był to rozwój identyczny w każdej grupie społecznej czy w każdym regionie kraju, ale jednak pozostawiał widoczne ślady. Patrząc z przyjmowanej niekiedy w badaniach historycznych perspektywy polegającej na porównaniu sytuacji sprzed Wielkiej Wojny z sytuacją tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, nie był on duży, ale jeśli idąc za sugestią Wojciecha Roszkowskiego, spojrzymy na niego w krótszej perspektywie, od wczesnych lat dwudziestych do schyłku Drugiej Rzeczypospolitej, okazuje się on znaczący i zgodny z oszacowaniami tego autora dotyczącymi wzrostu gospodarczego w dwudziestoleciu międzywojennym.

Michał Kopczyński, historyk, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny „Mówią wieki”

OD LECHA *po* ZŁOTEGO

WOJCIECH KALWAT

Złoty. Ta nazwa polskiej waluty jest dla wszystkich Polaków oczywista. Jednak u progu niepodległości wcale nie było pewne, że prawny środek płatniczy odrodzonego państwa polskiego będzie się nazywał właśnie tak. Niewiele brakowało, by Polacy płacili wymyślonym na potrzebę chwili lechem.

Środki płatnicze będące w obiegu na terenach polskich podczas pierwszej wojny światowej, marki polskie – oficjalna waluta Rzeczypospolitej w pierwszych latach niepodległości – oraz obligacje państwowe. Fot. archiwum „Mówią wieki”

Końcowy etap wojny i początek epoki powojennej to czas prawdziwego galimatiasu monetarnego na ziemiach polskich. Prócz marek polskich, emitowanych przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową, w obiegu były marki niemieckie, austriackie korony, ruble i marki wschodnie, ukraińskie karbowańce i grzywny, carskie ruble oraz masa pieniędzy zastępczych. Ludność w rozliczeniach posługiwała się także walutami państw obcych, brytyjskim funtem i amerykańskim dolarem. Stan zawirowania monetarnego i związane z tym perturbacje gospodarcze u progu niepodległości niezwykle trafnie scharakteryzował Jędrzej Moraczewski, który pisał: *Chcąc napełnić skarb, czy to za pomocą podatków, daniny od majątku, konfiskaty zysków wojennych, czy to w drodze pożyczki dobrowolnej lub przymusowej, czy to w drodze wymiany pieniędzy, będących w obiegu, na nowy polski pieniądz, potrzebny jest aparat skarbowy, choć jako tako działający. Takiego aparatu nie posiadaliśmy w połowie listopada i nie posiadamy po dziś dzień i prędko nie zbudujemy. Bez własnej waluty i bez aparatu skarbowego nie da się przeprowadzić ujednostajnienia administracji w różnych dzielnicach państwa. Jest to pierwszy warunek zjednoczenia Polski. Nie można myśleć o uregulowaniu budżetu, o utworzeniu systemu podatkowego, o ujednostajnieniu płac, o zwalczaniu lichwy i paskarstwa, o udogodnieniach w ruchu kolejowym i pocztowym, dopóki u nas w obiegu i korony i trzy gatunki marek i dwa gatunki rubli i karbowańce i hrywny i kaci wiedzą, jakie jeszcze rodzaje rubli oberostowych czy koron cieszyńskich.*

Naturalną potrzebą odradzającego się państwa było zorganizowanie aparatu skarbowego i wprowadzenie własnej waluty. Miała ona nie tylko posłużyć odbudowie gospodarczej kraju, ale także stanowić czynnik integrujący gospodarczo i politycznie. Najbardziej rozsądnym rozwiązaniem było przyjęcie marki polskiej jako waluty obowiązującej na ziemiach polskich, która stopniowo zastępowała inne. Marka polska, narzucona przez niemieckiego okupanta, była co prawda symbolem wojskowej przemocy i gospodarczego wyzysku. W zewnętrznej formie (język polski, piękny renesansowy orzeł) nawiązywała jednak do polskich symboli narodowych. Pozwalała w ten sposób oswajać się z myślą o narodowej walucie. Zdawano sobie jednak sprawę z tego, że marka polska miała być walutą przejściową, którą powinien zastąpił własny pieniądz, ustanowiony już przez samych Polaków. To było oczywiste. Nieoczywista za to była jego nazwa.

Nazwa waluty, mająca być pomysłem samego Piłsudskiego, wywołała gorącą dyskusję. Publicznie zadawano pytanie, dlaczego lech? Nazwa była zupełnie nowa i niespotykana w polskim systemie monetarnym

Lech, piast, a może sarmata

Już 5 lutego 1919 roku mocą dekretu naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego regulowano nazwę waluty odrodzonej Rzeczypospolitej. W dekrecie czytamy: *Jednostka monetarna waluty polskiej otrzyma nazwę „lech", a setna jej część nazwę „grosz"*. Nazwa waluty, mająca być pomysłem samego Piłsudskiego – choć bardziej prawdopodobne, że ministra skarbu Józefa Englicha – wywołała gorącą dyskusję. Publicznie zadawano pytanie, dlaczego lech? Nazwa była zupełnie nowa i niespotykana w polskim systemie monetarnym. W sposób oczywisty nawiązywała do mitycznego Lecha, legendarnego założyciela Polski. Nawiązaniem do monetarnej tradycji było zachowanie nazwy grosz. Co ciekawe, nowy system walutowy dostosowany był jednak już do nowoczesnego i łatwego podziału monetarnego, w którym podstawowa jednostka monetarna była dzielona w systemie dziesiętnym, tak jak waluty państw zaborczych. Przypomnijmy bowiem, że przedrozbiorowy złoty liczył nie 100, ale 30 groszy.

Ustanowienie lecha wywołało lawinę komentarzy, w których wyrażano niechęć do tej nazwy. Jednocześnie podawano własne, czasem oryginalne pomysły, zarówno nawiązujące do tradycji, jak i zupełnie nowatorskie. „Kurier Warszawski", argumentując, że skoro nowa waluta dzieli się na 100, to najrozsądniej nowy pieniądz nazwać setnikiem. Z kolei „Kurier Lwowski", idąc tropem narodowego mitu, zaproponował nazwę piast pochodzącą od innego legendarnego bohatera i założyciela dynastii piastowskiej. Nie bez znaczenia w tym wypadku był także ukłon w stronę chłopów. Stanowili oni najliczniejszą warstwę ludności, której nastawienie do państwa miało niebagatelne znaczenie dla odbudowującej się Polski.

Pomysłów na nazwę nawiązującą do tradycji pojawiło się jednak więcej. Skoro republikańska Francja, będąca wszak wzorem dla wielu, miała franka, to analogicznie powinno być nad Wisłą. Stąd propozycje nazwania polskiego pieniądza polem, polonią albo sarmatą. Sugerowały one pochodzenie od nazwy kraju lub od stereotypowego nawiązania do Polaków, którzy wedle narodowej mitologii wywodzili się od starożytnych Sarmatów. Co ciekawe, w okresie pierwszej wojny

światowej w obiegu były bony emitowane przez amerykańską Polonię, których wartość określano w polonach.

Zupełnie abstrakcyjnym – z naszego punktu widzenia – był pomysł, aby narodowemu pieniądzowi nadać nazwę kościuszko. Należy jednak pamiętać, że nie da się porównać przygasłej dzisiaj pamięci o Naczelniku do prawdziwego kultu, jakim go otaczano w początkach XX wieku i u progu odradzającej się Rzeczpospolitej. Kościuszko stanowił bowiem symbol niezłomnego bojownika o sprawę narodową, a zarazem typ bohatera uniwersalnego, który był do przyjęcia przez wszystkie opcje polityczne, od prawicy po lewicę. Symbolizował niezłomną walkę o wolność, idee republikańskie oraz wyczulenie na kwestię chłopską. Nie można tego lekceważyć. Choć kościuszko nie stał się polską walutą, to w okresie międzywojennym podobizna Naczelnika na stałe zagościła na różnych banknotach, zarówno markach polskich, jak i później na złotych. Był to świadomy zabieg propagandowy. Kult Kościuszki był niezwykle silny we wszystkich warstwach społecznych – a największą z nich, jak wspomniano, było chłopstwo. Chodziło tu więc o zwiększenie zaufania tak do samego pieniądza, jak i do państwa, które było jego emitentem.

Jednak złoty

Zwyciężyła jednak tradycja. Tą tradycyjną walutą był dukat, talar, złoty i grosz. Takie właśnie nazwy pieniędzy obowiązywały w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, Księstwie Warszawskim, Królestwie Polskim (choć tu już bez dukatów i talarów – te pierwsze powróciły na krótko podczas powstania listopadowego) i Rzeczypospolitej Krakowskiej. Co ciekawe, nawet mimo utraty własnej waluty przez cały okres zaborów mieszkańcy ziem polskich posługiwali się nazwami złoty i grosz, często określając w ten sposób pieniądze państw zaborczych.

Zanim jednak złoty stał się oficjalną polską walutą, odbyła się dyskusja w sejmie. Minister Englich w wystąpieniu 20 lutego 1919 roku tłumaczył, że nagłe wprowadzenie lecha miało na celu zapobieżenie anarchii monetarnej, która destrukcyjnie wpływała na państwo i stanowiła pole do nadużyć dla spekulantów i wyzysku najbiedniejszych warstw społecznych. Zarzekał się także, że *nikt nie myślał uszczuplać praw Wys. Sejmu, ale natychmiastowe nadanie nazwy stało się koniecznym z przyczyn technicznych dlatego, by móc przystąpić do jak najrychlejszego druku biletów, który potrwa niestety szereg miesięcy. Nazwa monety oczywiście nie załatwia sprawy systemu monetarnego ani równie poważnej sprawy konwersji marek, koron i rubli na lecha*.

Sprawa rozstrzygnęła się na posiedzeniu sejmu 28 lutego 1919 roku. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu Władysław Byrka, relacjonując dyskusję, jaka rozgorzała po dekrecie Piłsudskiego z 5 lutego,

Banknot o nominale 1 zł. Druk tych banknotów zamówiono juz w 1919 roku w Paryżu i Londynie.

przedstawił stanowisko rządu: należy uchylić nazwę lech i *zwrócić się do tradycji i upodobań, jakie dziś w naszym własnym społeczeństwie panują*. To wystarczyło, by sprawy nabrały tempa i sejm przyjął ustawę, na mocy której polską jednostką monetarną został złoty dzielący się na 100 groszy.

Najpierw marka, złoty potem

Sejmowa uchwała musiała jednak poczekać. Zanim weszła w życie, w kraju obowiązywała marka polska. Władze traktowały ją także jako źródło finansowania deficytu budżetowego. A ten powiększał się wprost proporcjonalnie do potrzeb państwa. Dodruk pieniądza niekiedy przychodził rządzącym zbyt łatwo, a próby stabilizacji wydatków i budżetu spełzły na niczym. Działo się tak, ponieważ trzeba było finansować wojnę z bolszewikami – czyniono to w znacznej mierze poprzez dodruk pieniądza. Po zakończeniu wojny nie zaprzestano druku słabnącej waluty, której emisja miała nakręcać koniunkturę i przyspieszać powojenną odbudowę. Inflacja zwiększała także eksport oraz wewnętrzny popyt. Wymknęła się jednak spod kontroli i w pierwszej połowie 1923 roku przeszła w kolejne stadium – hiperinflacji, czyli niekontrolowanego, gwałtownego wzrostu. O ile inflacja posiadała swoje zalety (np. premia eksportowa, korzyści przy spłacie zobowiązań), o tyle hiperinflacja prowadziła do degradacji gospodarki. Gwałtownie tracący na wartości pieniądz powodował trudności w zasadzie we wszystkich dziedzinach życia. W październiku 1923 roku wskaźnik miesięcznej inflacji doszedł do poziomu 360 proc.

Jedynym remedium na kryzys finansowy była głęboka reforma. Przeprowadził ją w 1924 roku rząd Władysława Grabskiego. Marki polskie miały być wymieniane na nową walutę – złotego – w stosunku 1,8 mln do 1. Wymiana ta trwała od 1 czerwca 1924 roku do 31 maja roku następnego. Przez ten czas można było wymienić polskie marki, ale także regulować nimi wszelkie należności. W kraju funkcjonowały więc przez pewien czas dwie waluty – marka i złoty.

W ten sposób zrealizowano postanowienia sejmu z 28 lutego 1919 roku. Stare marki były zastępowane monetami oraz banknotami emitowanymi przez Bank Polski. Co ciekawe, banknoty złotowe o nominałach 1, 2, 5, 10, 20, 50, 100 i 500 zł noszą datę 1919 rok, co jest echem niezrealizowanej wówczas reformy, która ze zrozumiałych względów czekała pięć lat.

Złoty, jako waluta stabilna, stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych wizytówek międzywojennej Polski.

Wojciech Kalwat, historyk, zastępca redaktora naczelnego „Mówią wieki", pracownik Muzeum Historii Polski w Warszawie

Fot. Narodowy Bank Polski

U PROGU *niepodległości*

Finanse w latach 1918–1922

WOJCIECH MORAWSKI

W czasach Drugiej Rzeczypospolitej finansami zajmowało się Ministerstwo Skarbu, które było odpowiednikiem dzisiejszego Ministerstwa Finansów. Jego kompetencje obejmowały trzy podstawowe dziedziny: walutę, skarbowość, czyli system podatkowy i gospodarkę budżetową, oraz bankowość, czyli kondycję aparatu kredytowego. Przyjrzyjmy się dokonaniom pierwszych lat niepodległości według tego właśnie porządku.

Nieistniejący już Budynek Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej w Warszawie – po 1918 roku mieściła się tam Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, a od 1026 roku Bank Polski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pierwsza wojna światowa zniszczyła system gospodarczy oparty na złotej walucie. W większości krajów wojna była finansowana inflacyjną emisją pieniądza, podczas wojny była to jednak inflacja utajona. Blokada cen powodowała, że objawiała się ona nie tyle ich wzrostem, ile znikaniem towarów z rynku. Inflacyjne skutki wojny ujawniły się w pełni dopiero po jej zakończeniu i uwolnieniu cen, kiedy inflacja stała się jawna. W Polsce uwolnienie cen i zniesienie systemu kartkowego nastąpiło latem 1921 roku. Nie oznaczało to końca inflacji, ale zmieniało jej charakter. Od tej pory sklepy były pełne towarów, ale coraz droższych.

Bezpośrednio po wojnie prawie wszystkie państwa europejskie zmagały się z mniejszą lub większą inflacją. Stosunkowo mało było natomiast krajów, w których inflacja doszła do fazy hiperinflacji – były to Niemcy, Austria i Węgry, Polska, Wolne Miasto Gdańsk i Rosja Radziecka. O przynależności Polski do tej grupy zadecydowała wojna 1920 roku. Inflacja, przy wielu wadach, ma również zalety, o których później. Hiperinflacja, której granicę ekonomiści lokują w okolicach 50 proc. miesięcznie, nie ma już tych zalet. W krajach inflacyjnych stabilizacja walutowa wymagała zrównoważenia budżetu i stabilizacji waluty na nowym, niższym poziomie. W krajach hiperinflacyjnych reformy musiały być głębsze i wymagały budowy zupełnie nowego systemu monetarnego. W Polsce stało się to dopiero w pierwszej połowie 1924 roku. Pierwsze lata niepodległości przebiegały zatem pod znakiem wzrastającej inflacji. W chwili odzyskania niepodległości dolar kosztował 8 marek polskich, pod koniec 1919 roku 110 marek, pod koniec 1920 roku 590 marek, a pod koniec 1921 roku 6550 marek. Ale nie był to jedyny problem, z którym musiało się zmierzyć nowe państwo.

Unifikacja walutowa

U progu niepodległości jednym z najpilniejszych zadań władz skarbowych Rzeczypospolitej była unifikacja walutowa kraju. W obiegu znajdowały się bowiem waluty państw zaborczych, marki polskie emitowane przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową utworzoną w 1917 roku w Warszawie przez niemieckie władze okupacyjne, ostruble, ukraińskie hrywny i karbowańce oraz liczne „waluty" emitowane przez władze lokalne. Ich kursy były płynne, co jeszcze bardziej pogłębiało chaos. Spośród walut będących w obiegu tylko marka polska nie była używana w żadnym innym państwie. Istniały też spore zapasy wydrukowanych i gotowych do puszczenia w obieg marek polskich.

Już pierwszego dnia niepodległości została przeprowadzona polonizacja PKKP. Dekret naczelnika państwa z 7 grudnia 1918 roku czynił z PKKP polską instytucję emisyjną, takie rozwiązanie było jednak traktowane jako tymczasowe. W lutym 1919 roku minister skarbu Józef Englich przygotował projekt ustawy, na mocy której przyszła polska instytucja emisyjna miała nosić nazwę Bank Polski, a przyszłą polską walutą miał być lech, dzielący się na 100 groszy. 28 lutego 1919 roku Sejm przyjął ten projekt, zmieniając nazwę nowej waluty na złoty. Mając takie pełnomocnictwo, Ministerstwo Skarbu zamówiło w Paryżu druk banknotów złotowych, emitowanych przez Bank Polski. Banknoty te, z datą 1919 rok, czekały na wejście do obiegu aż do reformy Władysława Grabskiego w 1924 roku.

Wróćmy jednak do problemu unifikacji walutowej. Wstępem do tej operacji był wydany w marcu 1919 roku zakaz przywozu do Polski środków pieniężnych państw zaborczych. W następnej fazie wprowadzano markę polską jako drugą, obok dotychczas funkcjonującej, walutę. W kwietniu 1919 roku zrobiono to w Wielkopolsce, w styczniu 1920 roku w Galicji i w części Królestwa Polskiego, która wcześniej była okupowana przez Austrię (np. w Lublinie). Ustalano przy tym sztywną relację wartości waluty polskiej do miejscowej. W Wielkopolsce, gdzie w obiegu była marka niemiecka, była to relacja 1:1. W Galicji relacja wynosiła 1,43 korony za markę (lub 0,7 marki za koronę).

Pierwsze lata niepodległości przebiegały pod znakiem wzrastającej inflacji. W chwili odzyskania niepodległości dolar kosztował 8 marek polskich, a pod koniec 1921 roku 6550 marek

W następnej fazie marka polska stawała się jedyną walutą. W listopadzie 1919 roku stało się tak w Wielkopolsce, w marcu 1920 roku w Galicji i części Królestwa Polskiego okupowanej wcześniej przez Austrię. Postanowienia dotyczące Wielkopolski zaczęły obowiązywać również na Pomorzu w momencie przejęcia go przez Polskę w lutym 1920 roku. W kwietniu tego roku wprowadzono markę polską w polskiej części Śląska Cieszyńskiego, a ruble pozbawiono prawa obiegu w Polsce (wymieniano je w relacji 0,46 marki za rubla). W lipcu 1921 roku rozciągnięto to postanowienie na obszar Kresów Wschodnich. W polskiej części Górnego Śląska, po podziale w 1922 roku, marka niemiecka miała obowiązywać

jeszcze przez 15 lat – tak stanowiła polsko-niemiecka konwencja górnośląska z maja 1922 roku. Ale już kilka miesięcy później, w listopadzie, rząd polski, argumentując, że marka niemiecka podlega znacznie szybszej inflacji niż polska, wprowadził na Śląsku markę polską jako jedyną walutę.

Unifikacja waluty była przedsięwzięciem delikatnym pod względem politycznym. Przeprowadzenie jej w sposób dyskryminujący którąś z dzielnic mogło podsycić i tak silne separatyzmy. Dlatego z reguły stosowano przedwojenny oficjalny kurs wymiany, przyjmując, że marka polska jest odpowiednikiem marki niemieckiej, choć często nie odpowiadało to już realnym wartościom wycofywanych z obiegu walut. Dodatkowo całe przedsięwzięcie utrudniał fakt, że wprowadzano walutę z założenia tymczasową, podlegającą ponadto szybkiej deprecjacji. W tej sytuacji szybkie i niewywołujące konfliktów ujednolicenie waluty należy uznać za sukces.

Wady i zalety inflacji

Opóźnienie wprowadzenia złotego wynikało z przekonania, że reforma walutowa, jeśli nie ma być tylko zmianą nazwy waluty, musi być poprzedzona zrównoważeniem budżetu. W pierwszych latach niepodległości tego warunku nie można było spełnić z wielu przyczyn. Systemy podatkowe w poszczególnych dzielnicach znacznie się od siebie różniły. Poza Galicją nie było polskiego aparatu skarbowego. Płatnicy byli zdemoralizowani sytuacją, w której świadczyli na rzecz obcych państw. Nie istniał mechanizm zapewniający waloryzację świadczeń w warunkach chaosu walutowego i szybkiej deprecjacji właściwie wszystkich walut będących w obiegu na ziemiach polskich. Szanse na stabilizację przekreślały też trwające działania wojenne.

Poza tym nie było powszechnej zgody, by zakończyć inflację. Ta bowiem, jak wspomniano, oprócz oczywistych wad miała też zalety. Wadą inflacji było to, że niszczyła oszczędności i pozbawiała gospodarkę kapitału. Prowadziła też do zubożenia całego społeczeństwa. Nakręcała jednak koniunkturę, ponieważ popyt był wyższy od podaży. Ułatwiała też eksport, bowiem kraj objęty inflacją stawał się konkurencyjny na rynkach międzynarodowych dzięki niskim kosztom produkcji. Równocześnie inflacja skuteczniej niż jakiekolwiek cła chroniła przed importem. Nie było sensu sprzedawać czegokolwiek na rynku, na którym ceny były (w porównaniu z zagranicą) śmiesznie niskie, a na dodatek pieniądz słaby i mocno podejrzany. Poza tym inflacja, po-

Na ziemiach polskich podczas wojny i przez kilka lat po odzyskaniu niepodległości funkcjonowały waluty państw zaborczych, marki polskie emitowane przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową oraz pieniądze zastępcze, emitowane np. przez władze lokalne. Fot. archiwum „Mówią wieki"

przez szybki spadek wartości wszelkich zobowiązań, praktycznie uniemożliwiała bankructwo – w latach 1918–1923 w Polsce nie odnotowano prawie żadnego. Mnożyły się za to po reformie Grabskiego, kiedy okazało się, ile faktycznie były warte rozmaite przedsięwzięcia. Państwo w jakimś zakresie traktowało podtrzymywanie inflacji jako pomoc w gospodarczej odbudowie kraju.

Mimo to kolejni ministrowie skarbu podejmowali próby opanowania sytuacji. Leon Biliński w 1919 roku utworzył Centralę Dewiz i ograniczył wymienialność marek na inne waluty, Władysław Grabski wiosną 1920 roku próbował uporządkować budżet, dzieląc dochody i wydatki na zwyczajne i nadzwyczajne, zasługą Jana Kantego Steczkowskiego w 1921 roku było zniesienie kartek i uwolnienie cen, Jerzy Michalski na przełomie 1921 i 1922 roku prawie na rok powstrzymał spadek kursu marki. Wszystkie te próby załamywały się jednak pod naporem kolejnych impulsów inflacyjnych. Na generalną reformę stabilizacyjną trzeba było jeszcze poczekać.

Skarbowość

Ze względu na większe niż w innych zaborach doświadczenia w aparacie skarbowym niepodległego państwa polskiego dominowali urzędnicy wywodzący się z Galicji. Wywoływało to frustrację w pozostałych zaborach, ale też zadecydowało o tym, że doświadczenia i nawyki z zaboru austriackiego upowszechniły się w skali całego kraju. Był to jednak niewielki problem w obliczu trudności, jakie stwarzała sama inflacja. Dezorganizowała ona działanie całego systemu. Wraz z inflacją rosły wydatki, ale nie dochody. Do tego doszły wydatki wojenne, które w 1920 roku pochłaniały ponad 60 proc. wszystkich wydatków budżetowych. Inflacja wykluczała prowadzenie uporządkowanej polityki opartej na rocznych budżetach. Rząd działał na podstawie nieregularnych prowizoriów budżetowych, które szybko okazywały się nierealne. Dramatyczna walka o równowagę budżetową nie pozwalała kolejnym rządom zadbać o racjonalizację systemu podatkowego, opóźniała też procesy unifikacyjne w tej dziedzinie.

Pewną ulgę dawały pożyczki zagraniczne. Państwo polskie do 1923 roku uzyskało pożyczki w łącznej wysokości 286,8 mln dolarów. Najwięcej, bo 162 mln, w 1919 roku – wtedy bowiem, wobec ofensywy Antona Denikina na Moskwę, ententa była zainteresowana, aby Polska nie podpisała pokoju z Rosją Radziecką. Warto zauważyć, że w następnym roku, kiedy toczyły się

główne zmagania polsko-radzieckie, pomoc była już znacznie niższa – wyniosła 84 mln dolarów.

Pomoc zagraniczna była udzielana w postaci kredytów towarowych pozwalających upłynnić powojenny demobil. W ok. 60 proc. przeznaczona była na cele aprowizacyjne, w ok. 30 proc. na zbrojenia. Duża francuska pożyczka zbrojeniowa, oferowana Polsce w 1921 roku, już po zakończeniu działań wojennych, została zrealizowana w niewielkim stopniu. Wielka Brytania, uważająca Polskę za państwo związane z Francją, była dużo bardziej powściągliwa. Znaczna była pomoc amerykańska, miała jednak głównie charakter aprowizacyjny. Z polskiej strony najpoważniejszą próbą przyciągnięcia kapitału zagranicznego była misja prawnika i ekonomisty Artura Benisa, który w czasie dyplomatycznych zmagań o Górny Śląsk wyjechał do Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii, starając się zainteresować tamtejszy kapitał przyznaniem tej prowincji Polsce. Stosunkowo największy sukces Benis odniósł we Francji, która w zamian za korzystne koncesje na Górnym Śląsku zgodziła się poprzeć polskie aspiracje.

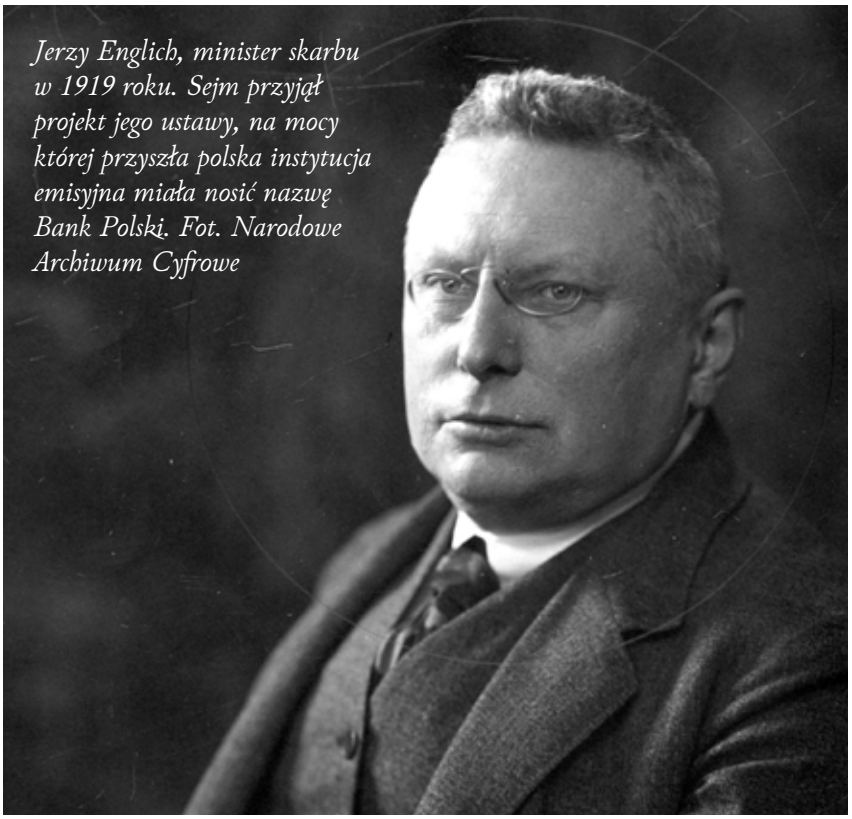

Jerzy Englich, minister skarbu w 1919 roku. Sejm przyjął projekt jego ustawy, na mocy której przyszła polska instytucja emisyjna miała nosić nazwę Bank Polski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Bankowość

Z pierwszej wojny światowej stosunkowo najmniej osłabiona wyszła bankowość polska zaboru pruskiego. Czasy inflacji przyniosły burzliwy rozwój polskiej bankowości prywatnej, któremu jednak towarzyszyła destrukcja jej rzeczywistego potencjału finansowego. W 1919 roku w Polsce działało 37 banków, w roku 1923 już 111. Rozbudowie sieci bankowej sprzyjało stosunkowo liberalne prawo, będące reakcją na restrykcyjne przepisy obowiązujące poprzednio w tej dziedzinie w zaborze rosyjskim.

Rozwojowi organizacyjnemu bankowości towarzyszyła jej (przynajmniej formalna) polonizacja. W zaborze rosyjskim nastąpiła już podczas wojny, dzięki ewakuacji w 1915 roku banków rosyjskich. W Galicji miejscowe od-

W 1922 roku marka polska stała się oficjalną walutą w Rzeczypospolitej. Fot. archiwum „Mówią wieki"

działy wielkich banków wiedeńskich usamodzielniały się, stając się bankami polskimi; później często przenosiły swoje centrale ze Lwowa do Warszawy. W zaborze pruskim niemieckie banki zwinęły swe oddziały, utrzymując wpływ za pośrednictwem banków niemieckich założonych na terenie Polski i zgodnie z polskim prawem bankowym. Utrzymały się natomiast po 1922 roku na Górnym Śląsku, gdzie konwencja górnośląska zabezpieczała je przed likwidacją. W 1921 roku kapitał francuski podjął próbę utworzenia Banku Śląskiego SA w Katowicach, ale nie było to udane przedsięwzięcie.

Warto zauważyć, że banki tworzone w latach inflacji z reguły były mniej solidne i mniej trwałe od tych, które powstały przed pierwszą wojną światową. Z 27 banków przedwojennych 20 (74 proc.) przetrwało kryzys 1925 roku, a 12 (44 proc.) wielki kryzys lat trzydziestych. Dla 101 banków założonych w latach inflacji odpowiednie liczby wynoszą 34 (34 proc.) i 15 (15 proc.). W 1920 roku powstał Związek Banków w Polsce, którego zadaniem było uzgadnianie zasad współpracy zrzeszonych instytucji oraz reprezentowanie na zewnątrz, przede wszystkim wobec rządu, interesów całej bankowości prywatnej.

Funkcję banku emisyjnego w latach inflacji spełniała Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa. Była to instytucja państwowa, która poza zadaniami emisyjnymi zajmowała się też bezpośrednim kredytowaniem zarówno rządu, jak i gospodarki.

W okresie inflacji rozwijała się (w sensie organizacyjnym, a nie finansowym) bankowość państwowa. Jej kolebką była Galicja, w której istniały tradycje polskiej bankowości publicznej. Działający od 1883 roku Bank Krajowy w roku 1920 zmienił nazwę na Polski Bank Krajowy, a jego siedzibę przeniesiono ze Lwowa do Warszawy. W 1924 roku, po włączeniu dwóch mniejszych galicyjskich banków publicznych, został przekształcony w Bank Gospodarstwa Krajowego. W lutym 1919 roku na mocy dekretów naczelnika państwa utworzono dwie ważne państwowe instytucje kredytowe: Państwowy Bank Rolny i Pocztową Kasę Oszczędności. Celem PBR było wspieranie parcelacji ziemi, osadnictwa, regulacji i melioracji rolnictwa oraz spółdzielczości rolnej. Bank miał administrować rządowymi funduszami związanymi z rolnictwem. Na jego czele stanął Franciszek Stefczyk. Natomiast pomysł wykorzystania sieci placówek pocztowych do gromadzenia drobnych oszczędności narodził się w 1861 roku w Wielkiej Brytanii. W 1883 roku podobna instytucja powstała w Wiedniu i właśnie stamtąd czerpał inspirację twórca PKO Hubert Ignacy Linde.

W obliczu inflacji marka polska szybko utraciła znaczenie jako waluta, w której przechowywano oszczędności. Upowszechniło się przekonanie, że oszczędzanie w markach oznacza nieuchronne straty. Banki broniły się przed dekapitalizacją, inwestując w nieruchomości. Często rozwój organizacyjny banku, np. nabywanie nowych oddziałów, był przykrywką dla tego typu posunięć. W czasach inflacji, kiedy nikt nie miał kłopotów z płynnością i wobec szybkiej deprecjacji zobowiązań po prostu nie można było zbankrutować, strategia taka wydawała się rozsądna. Po stabilizacji walutowej okazała się dla wielu banków śmiertelną pułapką.

Wojciech Morawski, historyk gospodarki, profesor w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie

FORMOWANIE WOJSKA POLSKIEGO 1918~1920

JANUSZ ODZIEMKOWSKI

14 stycznia 1919 roku chorego Józefa Piłsudskiego odwiedzili w Belwederze Władysław Baranowski i Witold Jodko-Narkiewicz, towarzysze walki, wybitni działacze PPS. Pragnęli przedyskutować kwestię rządu. Narzekali na endecję. Piłsudski tłumaczył, wyjaśniał, namawiał do zgody, a kiedy goście uparcie wracali do gabinetowych przepychanek, zirytowany podniósł się na łóżku i zaczął krzyczeć: Mam dość tych gadań, tych opowiadań! Do d... z waszymi radami, do d...! Potrzebuję żołnierza, słyszycie? – *gniewnie rzucił gościom w twarz to, co czuł instynktem polityka i żołnierza.*

Polski oddział walczący w obronie Lwowa w 1918 roku. Koniec Wielkiej Wojny nie oznaczał dla Polski końca konfliktów zbrojnych. Wojna z Ukraińcami była jednym z nich, wybuchła już na początku listopada 1918 roku.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Poznań: defilada oddziałów Armii Wielkopolskiej przed Józefem Piłsudskim. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Odrodzona Rzeczpospolita wadziła wszystkim sąsiadom, zagrożenia narastały ze wszystkich stron. Jedno już się zmaterializowało, kiedy wybuchła wojna z Ukraińcami. Rozpoczęło się od ukraińskiego ataku na Lwów. Walki szybko objęły Galicję Wschodnią i Wołyń, zagrożona była Lubelszczyzna. Konflikt, początkowo lekceważony, przerodził się w długą walkę z upartym i odważnym przeciwnikiem. Na zachodzie istniało niebezpieczeństwo inwazji niemieckiej. Pojawiło się w pełni wiosną 1919 roku, kiedy pokonane mocarstwo, podrażnione perspektywą utraty Wielkopolski i Pomorza, było gotowe uderzyć i zniszczyć Polskę, nawet ryzykując inwazję wojsk francuskich. Na południu Czesi sięgali po Śląsk Cieszyński, na północy niepodległa Litwa zgłaszała pretensje do północno-wschodnich ziem Polski. Największe zagrożenie szło jednak ze wschodu. W ślad za wracającymi do ojczyzny wojskami niemieckimi nadciągała Armia Czerwona z rozkazem dotarcia do dawnej zachodniej granicy imperium carskiego. W planach bolszewików nie było wolnej Polski; miała ją zastąpić Polska Republika Rad.

Bez rozbudowanych sił zbrojnych Rzeczpospolita nie miała szans na przetrwanie. W kraju, ogromnie wyniszczonym przez działania wojenne i okupację, nie istniał przemysł zbrojeniowy, nie wytwarzano ani jednego naboju, ani jednej sztuki broni. Przejęte po zaborcach zapasy wystarczały na wyposażenie 60 tys. żołnierzy i stoczenie jednej większej bitwy. Społeczeństwo polskie, wykrwawione w czasie Wielkiej Wojny, zbiedniałe i trapione chorobami, odpowiedziało na entuzjazm pierwszych dni niepodległości masowym zaciągiem ochotników do wojska. Zgłaszała się młodzież studencka, szkolna, harcerze, członkowie POW, byli legioniści, dowborczycy, żołnierze byłych armii zaborczych. Ochotnicy reprezentowali wszystkie klasy społeczne i grupy zawodowe.

Na obszarze podlegającym polskiej władzy zaczęły powstawać oddziały pod komendą oficerów – weteranów frontowych. Niektóre nawiązywały do tradycji formacji polskich utworzonych w latach Wielkiej Wojny – Legionów i korpusów polskich na Wschodzie. Inne przyjmowały nazwy regionalne, jak 1. Pułk Strzelców Ziemi Jarosławskiej, 1. Włocławski Pułk Okręgowy, Chełmski Pułk Piechoty – te dały początek wielu znanym pułkom Wojska Polskiego. Cechą charakterystyczną młodego wojska, tworzonego w zapale i pośpiechu, nie bez pewnego chaosu, zmian nazw i numeracji oddziałów, był jego w pełni ochotniczy charakter. Do szeregów szedł ten, kto chciał i kogo wzywało poczucie obowiązku.

Największa szkoła ludowa

W połowie stycznia podjęto decyzję o sformowaniu 12 dywizji piechoty i sześciu brygad kawalerii. Pojawiły się formacje lotnicze, broń pancerna, wojska samochodowe, kolejowe. Do Królestwa, po nieudanej obronie Wilna przed Armią Czerwoną, przedarły się resztki polskiej samoobrony ziem litewsko-białoruskich i zaczęły organizować Dywizję Litewsko-Białoruską, zasilaną przez grupy ochotników uciekające z terenów okupacji bolszewickiej.

Równocześnie tworzono wojskową administrację terenową, dzieląc kraj na okręgi generalne, rozbudowano Naczelne Dowództwo,

ośrodki zapasowe i służby. Powoli tworzono szkolnictwo wojskowe, zaczęła się ukazywać prasa wojskowa i pierwszy periodyk naukowy – „Bellona". Porządkowano i przystosowywano do potrzeb Polskich Sił Zbrojnych infrastrukturę wojskową przejętą po zaborcach.

Pracę organizacyjną i szkolenie utrudniał brak polskich regulaminów. Z konieczności kadra oficerska sięgała po wzorce, do jakich przywykła: austriackie, rosyjskie, niemieckie. Armia przejmowała każdą sztukę broni, nieco sprzętu i amunicji zdołano zakupić na Węgrzech oraz w Austrii za żywność i węgiel. Część ochotników nosiła mundury dawnych armii zaborczych lub uszyte według ich własnego wyobrażenia, jak powinien wyglądać mundur polski. Tę różnorodność tolerowano, bo zrujnowany przemysł krajowy nie mógł rozwinąć produkcji polskiego umundurowania.

Zaciąg ochotniczy uzupełniony kilkoma lokalnymi poborami pozwolił podnieść liczebność armii do ponad 200 tys. w lutym 1919 roku. W Wielkopolsce powstańcy zorganizowali ponad 70-tys., dobrze wyposażone wojsko, które jednak formalnie nie było jeszcze częścią Polskich Sił Zbrojnych. Żołnierzy było jednak za mało, a frontów za dużo: wojna z Ukraińcami angażowała 70 proc. oddziałów polskich zdolnych do walki, Armia Czerwona stała niedaleko Bugu i Niemna, a Niemcy szykowali plany wojny z Polską. Aby sprostać tym zagrożeniom, potrzebny był pobór powszechny, dostawy francuskiego sprzętu oraz Błękitna Armia gen. Józefa Hallera, którą trzeba było ściągnąć z Francji.

7 marca 1919 roku sejm uchwalił pobór powszechny, ale znaczna część młodzieży bała się iść do wojska. W wielu wioskach i miasteczkach, głównie zaboru rosyjskiego, w których podczas zaborów nie działały polskie organizacje, nie docierała polska prasa i występował wysoki odsetek analfabetów, stopień świadomości narodowej nie był tak wysoki, jak dziś skłonni jesteśmy przypuszczać. Przyznawano się do polskości, ale nie zawsze towarzyszyła temu gotowość służby ojczyźnie z bronią w ręku. Tysiące młodych ludzi uciekało przed komisjami poborowymi, część tych, którzy trafili do wojska, dezerterowała w pierwszych dniach służby.

Dla młodej armii był to spory problem. Płk Marian Porwit, pisarz i historyk wojskowy, pisał na łamach „Bellony", że polskiego żołnierza trzeba uczyć nie tylko, jak ma walczyć, ale również dlaczego ma walczyć. Dlatego 1 lipca 1919 roku sejm uchwalił ustawę o przymusowym nauczaniu analfabetów w Wojsku Polskim. Od tej chwili nauczanie, połączone z wychowaniem żołnierza, stało się obowiązkiem służbowym kadry. Wielkim zwolennikiem pracy wychowawczej i oświatowej był Józef Piłsudski, który uważał, że każdy oficer powinien uczestniczyć w niej i rozumieć jej sens. Szef Departamentu Szkolnictwa Wojskowego gen. Jan Jacyna nazwał armię polską w tym czasie największą szkołą ludową. Oświata i wychowanie nie tworzyły nowych oddziałów, ale kształtowały postawy żołnierzy, budowały przywiązanie do sztandaru i odporność na bolszewicką propagandę – latem 1920 roku miało to niebagatelne znaczenie. Mówiąc o budowaniu Wojska Polskiego, nie można o tym nie wspomnieć.

W wyniszczonym działaniami wojennymi i okupacją kraju przemysł zbrojeniowy nie istniał. Przejęte po zaborcach zapasy wystarczały na wyposażenie 60 tys. żołnierzy i stoczenie jednej większej bitwy

Zjednoczenie wojska

Miarą tempa prac organizacyjnych jest fakt, że formowanie części polskich dywizji prowadzono nie na tyłach, ale na linii frontu, niemal w ogniu walk. Dla zaoszczędzenia czasu oddziały na krótko wycofywano z okopów i koncentrowano na bliskim zapleczu. Do miejsc koncentracji dojeżdżały z głębi kraju brakujące dowództwa, pułki i służby. Tak ukończono formowanie 1., 2. i 3. Dywizji Piechoty Legionów, 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej, 4., 5., 9. i 10. Dywizji Piechoty. W kraju sformowano 6., 7. i 8. DP oraz Dywizję Górską. Każda dywizja składała się z dwóch brygad piechoty liczących po dwa pułki, brygady artylerii oraz służb. Najwięcej kłopotu sprawiało wystawienie artylerii: brakowało sprzętu, a w szkoleniu obsługi poważnym problemem był niski poziom wykształcenia części rekrutów. Do maja 1920 roku, mimo dostaw sprzętu francuskiego, nie zdążono skompletować w pełni pułków artylerii polowej (lekkiej) w czterech dywizjach piechoty (3. DP Leg., 5.,10. i 18. DP). Jeszcze gorzej wyglądała sprawa artylerii ciężkiej – żadna dywizja nie otrzymała jej w komplecie. Najlepiej wyposażone dywizje wielkopolskie posiadały łącznie 31 dział ciężkich zamiast 60 przewidzianych etatem.

Od kwietnia do czerwca 1919 roku przybywały z Francji transportem kolejowym jednostki Błękitnej Armii, w tamtym okresie najlepiej zorganizowane i wyposażone oddziały Wojska Polskiego. Przywiozły ze sobą m.in. 40 tys. sztuk broni ręcznej, 469 ckm, 1330 rkm (nie licząc tzw. dywizji instrukcyjnej), 200 moździerzy, 120 czołgów, 98 samolotów, kilkaset samochodów,

10 tys. koni. Hallerowskie dywizje strzelców przemianowano na 11., 12. i 13. DP, a z rezerwowych pułków piechoty w styczniu 1920 roku sformowano 18. DP. Część oddziałów rezerwowych została przeformowana na 3. i 4. Pułk Strzelców Podhalańskich, które weszły w skład Dywizji Górskiej.

W niedzielę 19 października 1919 roku w Krakowie uroczyście obchodzone święto zjednoczenia oddziałów o rodowodzie legionowym z armią wielkopolską i Błękitną Armią. Tego dnia Józef Piłsudski złożył biało-czerwony wieniec na sarkofagu Tadeusza Kościuszki. Odprawiono mszę polową na krakowskim Rynku. Potem odbyła się defilada oddziałów, którą Piłsudski przyjmował, stojąc przy Kamieniu Kościuszki upamiętniającym miejsce złożenia przysięgi przez Naczelnika. Zjednoczenie wojska, któremu nadano tak uroczystą oprawę, uważano za jeden z ważnych elementów budowy zjednoczonego państwa.

Formowanie i unifikacja Wojska Polskiego trwały. W grudniu 1., 2. i 3. Dywizje Strzelców Wielkopolskich zostały przemianowane na 14., 15. i 17. DP, a tworzona w Wielkopolsce dywizja pomorska stała się 16. DP.

Kawaleria, sprzęt i ochotnicy

Równolegle z organizowaniem dywizji piechoty formowano jazdę. Tworzenie planowanych brygad i dywizji zaburzyły potrzeby frontu – z pułków jazdy stale wyciągano najlepiej przygotowane szwadrony i dywizjony, które kierowano do walki. Najwcześniej sformowano 1. Brygadę Jazdy ppłk. Władysława Beliny-Prażmowskiego. W marcu 1919 roku powstała 2. BJ, a 5 czerwca w Galicji rozpoczęto formowanie 3. i 4. BJ. 3 lipca w strefie operacyjnej Frontu Galicyjsko-Wołyńskiego przystąpiono do organizacji 5. BJ. Brygady składały się z dwóch lub trzech pułków jazdy i dywizjonu artylerii konnej.

Przed wiosenną ofensywą 1920 roku na Ukrainie z 4. i 5. BJ utworzono 1. Dywizję Jazdy. W trakcie walk z Armią Konną Siemiona Budionnego większość kawalerii wycofano z frontu, uzupełniono na tyłach i przeformowano w dwudywizyjny Korpus Jazdy. Była to siła dostateczna, aby stawić czoło masom jazdy bolszewickiej.

Duże dostawy sprzętu francuskiego umożliwiły częściową likwidację jednego z problemów gnębiących Wojsko Polskie – różnorodności uzbrojenia, która komplikowała zaopatrzenie w amunicję i części zamienne. Używano kilkunastu typów broni strzeleckiej i maszynowej. Niektóre partie uzbrojenia trzeba było wycofywać, ponieważ nie było szans na zakup odpowiedniej amunicji. W lutym 1920 roku Sztab Generalny przedstawił plan unifikacji uzbrojenia piechoty. Broni wyłącznie francuskiej miały używać 1., 2., 6., 7., 12., 13., 18. DP oraz 1. i 2. Dywizja Litewsko-Białoruska, broni austriackiej 4. i 5. DP oraz Dywizja Górska, niemieckiej pozostałe DP.

Podobnie było w artylerii, która używała dział 11 różnych systemów. Wielkim problemem był też brak koni do ciągnięcia dział – np. w kwietniu 1920 roku artyleria 2. DP Leg. złożona z siedmiu baterii

Powracające do Polski oddziały Błękitnej Armii gen. Władysława Hallera w 1919 roku były najlepiej wyposażonymi i wyszkolonymi formacjami Wojska Polskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

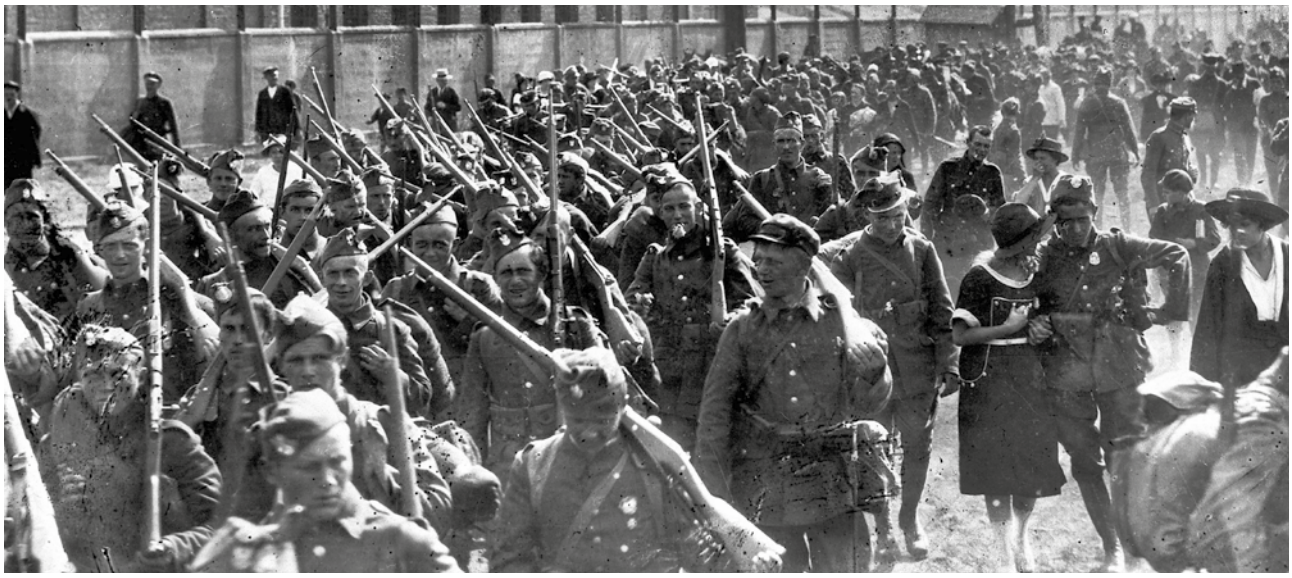

Wymarsz na front ochotników zgłaszających się do Wojska Polskiego podczas wojny polsko-bolszewickiej. Fot. East News

polowych i sześciu ciężkich mogła uruchomić tylko pięć baterii polowych i jedną ciężką. Idące na Kijów dywizje polskie musiały pozostawić na tyłach większość artylerii ciężkiej. Wyniszczone i ograbione przez okupantów polskie rolnictwo nie mogło dostarczyć odpowiedniej ilości koni, a na zakupy za granicą nie było środków.

Okres zimowy wykorzystano do uzupełniania wyposażenia, rozbudowy służb i unifikacji wojska. Tego procesu nie zdołano zakończyć. Do kampanii wiosennej 1920 roku Polacy skoncentrowali na froncie wschodnim 600 tys. żołnierzy w 21 dywizjach piechoty, dywizji i czterech brygadach kawalerii, 21 eskadrach lotniczych, broni pancernej, Flotylli Pińskiej, w służbach i rozmaitych pododdziałach. Do zabezpieczenia zaplecza frontu wystawiono 41 batalionów etapowych. Część wielkich jednostek nie była w pełni skompletowana.

W kwietniu–czerwcu 1920 roku uwagę skoncentrowano na uzupełnianiu jednostek frontowych. W miarę jak rosły straty, skracano czas szkolenia rekrutów w formacjach zapasowych z 12 tygodni, które uznawano za niezbędne minimum, do ośmiu, czterech, a nawet dwóch. Słabo przygotowany żołnierz ponosił duże straty, zanim zdążył nabrać doświadczenia. W maju i czerwcu sformowano i wysłano na front dwie rezerwowe brygady piechoty – były dobrze wyposażone, ale nie miały doświadczenia bojowego.

Rozbudowa armii spowodowała też kryzys kadrowy. Już wiosną 1920 roku zaczęło brakować kandydatów na niższe stanowiska dowódcze. Dlatego rozwinięto sieć szkoleń i kursów, szukano rezerw, kilkakrotnie dokonując lustracji kadry na tyłach. W ten sposób pozyskano ok. 1500 oficerów i podoficerów dla oddziałów liniowych. Latem 1920 roku problem kadrowy częściowo rozwiązał duży napływ ochotników, w tym wielu z wykształceniem średnim i wyższym.

Okres od lipca do września 1920 roku to czas formowania ogromnym wysiłkiem organizacyjnym i materiałowym oddziałów tzw. Armii Ochotniczej. Nigdy nie powstała, ale przyjęcie do szeregów ponad 105 tys. ochotników pozwoliło na utworzenie nowych oddziałów i uzupełnienie wykrwawionych wojsk frontowych rzeszami młodych żołnierzy pełnych wiary w zwycięstwo. Sformowano 52 ochotnicze pułki piechoty – dziewięć rzucono na front (trzy weszły w skład dywizji ochotniczej przemianowanej na 22. DP), pozostałe posłużyły do uzupełnienia jednostek frontowych.

Podsumowanie

100 lat temu Polacy stojący u progu niepodległości potrafili w ciągu niespełna dwóch lat zorganizować blisko milionową armię posiadającą wszystkie rodzaje broni i służb, bazę szkoleniową, aparat rekrutacyjny i ośrodki zapasowe. Dokonano tego w kraju wyniszczonym przez okupantów, pozbawionym środków finansowych i przemysłu zbrojeniowego, zmuszonym od pierwszych dni swego istnienia toczyć walki o niepodległość i granice. Młode wojsko pokonało nieprzyjaciela zagrzewanego do walki ideologią rewolucji, znanego z wytrzymałości, dysponującego nieporównanie większymi zasobami. Ważnym czynnikiem polskich sukcesów była postawa żołnierzy. W warunkach niedostatku i zmęczenia wojną potrafiono budować etos służby wojskowej i powinności obywatelskich, wśród których w tamtym czasie najpilniejszą była służba ojczyźnie z bronią w ręku.

Janusz Odziemkowski, historyk dziejów najnowszych, kierownik Katedry Historii Wojskowości na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

NAJWAŻNIEJSZE *są* KADRY

Urzędnicy u progu niepodległości

JANUSZ MIERZWA

Odzyskanie przez Polskę niepodległości postawiło jej elity przed zadaniem związanym nie tylko z organizacją Wojska Polskiego, ale także z budową aparatu państwowego. Dla społeczeństwa, które utraciło suwerenność ponad 120 lat wcześniej, nie było to łatwe zadanie. Wyzwaniem było nie tylko stworzenie nowych struktur państwowych, bo ten problem można było relatywnie prosto rozwiązać za pomocą ustaw, dekretów czy rozporządzeń. Istotniejszy był czynnik personalny – konieczność znalezienia urzędników lub odpowiednio kompetentnych nieurzędników, których będzie można włączyć w owe struktury.

Rada Regencyjna (od prawej): Zdzisław Lubomirski, abp Aleksander Kakowski i Józef Ostrowski. Po przejęciu władzy w dawnym Królestwie Polskim tworzone przez nią struktury administracyjne opierały się przede wszystkim na polskich urzędnikach z Galicji. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Były dwie sprzyjające temu okoliczności. Kompletowanie kadr administracji publicznej można było rozłożyć w czasie, nie trzeba było tego robić od razu. Ponadto polskie elity polityczne, świadome tego, że państwo może się kiedyś odrodzić, już od kilku lat przygotowywały się na to. Warto przypomnieć, że 11 listopada jest jedynie datą symboliczną, a Polska odzyskiwała niepodległość na raty. W pierwszej kolejności wolność przyszła na obszary wchodzące w skład monarchii habsburskiej – Galicji i Śląska Cieszyńskiego. W obu krajach koronnych istniały struktury administracji publicznej, a Galicja dysponowała rzeszą polskich fachowych urzędników. Co prawda zdarzali się wśród nich tacy, którzy jeszcze po traktacie brzeskim byli zanadto lojalni wobec Wiednia – i tych generalnie usuwano – ale w zdecydowanej większości płynnie przeszli oni do służby w strukturach rodzącego się państwa polskiego. Na przełomie października i listopada 1918 roku do tego grona dołączyli popularni w środowiskach lokalnych adwokaci, samorządowcy czy działacze społeczni. Ich obecność w strukturach administracyjnych była nader krótka – na początku 1919 roku zdecydowana większość albo zasiadła w ławach Sejmu Ustawodawczego, albo wróciła do wcześniejszej aktywności zawodowej.

Ogólnie w Galicji panowała ciągłość służby państwowej – po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej, a następnie polsko-bolszewickiej, wyzwaniem stała się relokacja dawnych c.k. urzędników w ramach nowo organizowanych jednostek administracyjnych w Polsce (województwa). Warto dodać, że poprzez istniejące w tym regionie zjawisko nadprodukcji inteligencji zabór austriacki mógł się podzielić z pozostałymi także sędziami, nauczycielami etc. Wszystko to powodowało, że Galicja jeszcze przez długie lata była rezerwuarem zasobów kadrowych, z którego inne dzielnice intensywnie czerpały.

Byłe Królestwo Polskie

Drugie w kolejności było Królestwo Polskie, w którym budowa administracji zaczęła się jeszcze w czasie okupacji austriackiej. I w tym wypadku sytuacja nie była beznadziejna, albowiem austriacki aparat okupacyjny w znacznej mierze był tworzony przez polskich urzędników galicyjskich, po wybuchu wojny powołanych do wojska i skierowanych do służby w aparacie okupacyjnym. Po przekazaniu władzy w Generalnym Gubernatorstwie Lubelskim Radzie Regencyjnej to na nich oparto organizowane struktury, choć ani przed 7 listopada, ani po utworzeniu rządu lubelskiego nie obejmowali oni w administracji kierowniczych stanowisk. Awanse nastąpiły dopiero za premierostwa Ignacego Paderewskiego.

W gorszej sytuacji znajdowała się część Kongresówki pod okupacją niemiecką, w której przed listopadem 1918 roku administracja okupacyjna była złożona z obywateli niemieckich, w pojedynczych przypadkach byli to Polacy z Wielkopolski czy Pomorza. Próby ściągnięcia do służby w niemieckiej części Królestwa Polaków z zaboru austriackiego podejmowane przez Radę Regencyjną nie przynosiły skutku. Dlatego właśnie tam w momencie zakończenia wojny trzeba było z dnia na dzień znaleźć kilka tysięcy urzędników.

Ratunkiem okazała się, będąca reakcją na zawartą w akcie 5 listopada zapowiedź utworzenia samodzielnego państwa polskiego, zapobiegliwa działalność Tymczasowej Rady Stanu i Rady Regencyjnej. Od 1916 roku organizowały one kursy dla urzędników przyszłej niepodległej Polski. Były one zróżnicowane zarówno w zależności od rangi, jak i działu administracji – dla późniejszych starostów, dyplomatów, pracowników wymiaru sprawiedliwości, aparatu skarbowego czy funkcjonariuszy samorządu. Zajęciom teoretycznym, prowadzonym m.in. przez profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, towarzyszyły praktyki w urzędach pod okiem Niemców. Jednocześnie układano listy kandydatów na urzędników. Zaczęły się one wydłużać dopiero w 1918 roku, wraz z narastającą po traktacie brzeskim falą powrotów Polaków z ogarniętej rewolucją Rosji. Choć sięgnięto po nie w listopadzie 1918 roku, to zarówno absolwentów kursów, jak i zgłaszających się wcześniej potencjalnych kandydatów było zbyt mało. Na prowincji braki trzeba było uzupełniać przedstawicielami miejscowych elit – adwokatami, działaczami gospodarczymi, ziemianami. Ci zresztą często obejmowali stanowiska komisarzy ludowych (odpowiednik późniejszych starostów) dzięki presji lokalnych społeczności, postrzegających ich jako naturalnych liderów.

Całości obrazu dopełniały zmiany kadrowe przeprowadzane przez rząd ludowy Jędrzeja Moraczewskiego, który pod wpływem koalicjantów forsował na stanowiska kierownicze miejscowych działaczy lewicy niepodległościowej (głównie chłopskiej). Nie byli oni fachowcami, z czasem więc odeszli, ustępując miejsca zawodowym urzędnikom.

Kresy zachodnie

Problemy personalne w Kongresówce były niczym w porównaniu z sytuacją na kresach, zarówno zachodnich, jak i wschodnich. W byłym zaborze pruskim Polacy obsadzali urzędy stopniowo: po wybuchu powstania wielkopolskiego w Poznańskiem, na przełomie stycznia i lutego 1920 roku na Pomorzu, a w czerwcu 1922 roku w przyznanej Polsce części Śląska. Ta wielofazowość złagodziła nieco katastrofalną sytuację kadrową na tym obszarze. Nie było tam bowiem możliwości przygotowania zasobów kadrowych na zapas czy prowadzenia szkoleń – żądania przyłączenia do Polski Poznańskiego (o Pomorzu

czy Śląsku nie wspominając) nawet po wybuchu powstania wielkopolskiego budziły oburzenie społeczeństwa niemieckiego. Co więcej, efekty przynosiła germanizacyjna polityka zaborcy – zgodnie z nią Polacy mogli pełnić w urzędach co najwyżej funkcje gońców czy woźnych. Jeżeli administracja miała zostać spolonizowana, to trzeba było znaleźć tysiące potencjalnych funkcjonariuszy, głównie prawników. Tych nie było, bo Polacy, jeżeli zdobywali w zaborze pruskim wykształcenie wyższe, to częściej były to studia agronomiczne czy ekonomiczne. A prawnicy byli potrzebni nie tylko w administracji ogólnej, ale także w sądownictwie.

W związku z tym na ziemiach zachodnich pole manewru było stosunkowo niewielkie. Starostami zostawali tam reprezentanci miejscowych elit, którzy przygotowywali się wcześniej do tych ról, pełniąc funkcje doradców (w istocie nadzorców i kontrolerów) niemieckich landratów. W Wielkopolsce byli to często przedstawiciele ziemiaństwa. Nie mieli przygotowania fachowego, ale posiadali pewne umiejętności menedżerskie i byli gotowi, ze szkodą dla swoich dóbr, czasowo porzucić majątki na rzecz spraw publicznych. Na Pomorzu i Górnym Śląsku struktura społeczna kadr urzędniczych była bardziej zróżnicowana, ale ci, którzy przychodzili do administracji, również fachowcami nie byli. Dlatego w pierwszych miesiącach polskiej administracji utrzymywano na stanowiskach urzędników niemieckich. Nie było to wyjście optymalne – wątpliwości mogła budzić ich lojalność, a oni sami starali się jak najszybciej wrócić do Niemiec (dlatego zdarzały się sytuacje nagłego opuszczania stanowisk pracy).

Początkowy okres niepodległości był więc stanem pewnego prowizorium. Ostatecznie jednak proces polonizacji administracji następował, a negatywnie zweryfikowani w służbie państwowej Polacy szybko z niej odchodzili. Na ich miejsce pojawiali się przybysze z dawnej Kongresówki, a przede wszystkim z dysponującej nadwyżkami kadrowymi Galicji. Byli zazwyczaj fachowcami, przynosili własną kulturę pracy, ale nie zawsze wykazywali należyte zrozumienie dla miejscowych warunków, co wywoływało pewne napięcia. Z czasem, zwłaszcza na terenie rządzącego się własnymi zasadami autonomicznego województwa śląskiego, rosło znaczenie miejscowych urzędników, systematycznie podnoszących kwalifikacje.

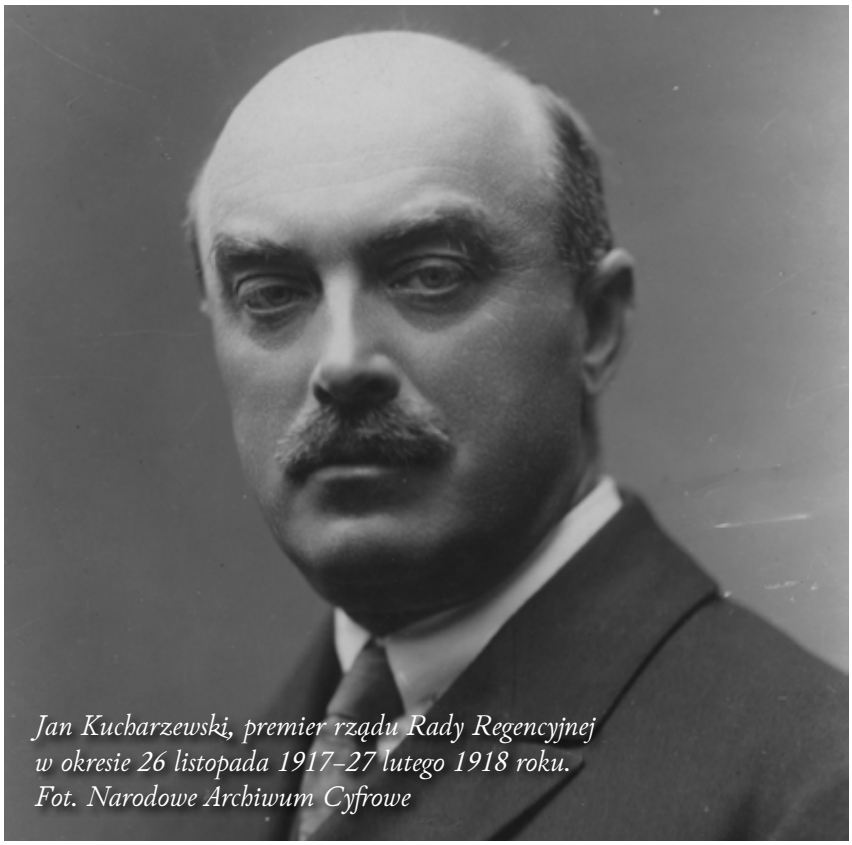

Jan Kucharzewski, premier rządu Rady Regencyjnej w okresie 26 listopada 1917–27 lutego 1918 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Kresy wschodnie

Trudno rozstrzygnąć, czy sytuacja kadrowa gorzej kształtowała się na kresach zachodnich czy wschodnich. Mieszkańcy dzielnic zachodnich mieli za sobą doświadczenie obcowania z państwem nowoczesnym, nawet jeżeli prowadzącym politykę wynarodowienia, to jednak państwem prawa, z którym obywatel był w stanie wygrać w sądzie. Dlatego wymagania stawiane rodzącej się polskiej administracji były większe.

Inaczej rzecz się miała na wschodzie, obszarze zamieszkanym przez ludzi o specyficznej mentalności, wzrastających w kulturze samodzierżawia, a na dodatek dotkliwie przeoranym wojną i rewolucją. Miejscowi nie mieli zbyt dużych oczekiwań wobec przychodzącej polskiej administracji, którą jeszcze przez długie lata traktowano jako tymczasową. Inna rzecz, że warunki służby w województwach kresowych były skrajnie trudne (obce i nieprzyjazne otoczenie, braki w infrastrukturze). Dlatego na wschód przesuwano urzędników z byłego Królestwa Polskiego albo sięgano po polski element miejscowy, zazwyczaj pochodzenia ziemiańskiego. W przypadku tego drugiego rozwiązania problemem był niedemokratyczny stosunek do miejscowych chłopów, ponadto nierzadko wykorzystywano piastowane funkcje do zabezpieczenia prywatnego majątku.

Na kresach wschodnich pojawili się też „misjonarze" – urzędnicy reprezentujący państwo polskie, z założeniem krzewienia idei federali-

zmu (część z nich trwalej zakotwiczy w administracji po przewrocie majowym). Pewnym kadrowym ułatwieniem był napływ z Rosji bolszewickiej zarówno tych, którzy opuścili ziemie polskie w związku z wydarzeniami wojennymi, jak i emigrantów, którzy zostali wypędzeni przez rewolucję lub stracili dotychczasowe miejsca pracy z powodu takiego, a nie innego wytyczenia granicy ryskiej. Dlatego jeszcze przez wiele lat po 1920 roku w administracji ogólnej na kresach (o samorządzie nie wspominając) byli zatrudnieni Rosjanie, a język rosyjski był używany w bieżącym urzędowaniu. Mimo prób walki z tym zjawiskiem był to efekt uwarunkowań obiektywnych, podobnie jak to, że faktycznie na kresach urzędnikowi wolno było więcej w stosunku do obywatela oraz że często służyli tam urzędnicy może nie gorsi, ale specyficzni.

Ten obraz, uwzględniający przede wszystkim lokalne uwarunkowania, wymaga dwóch zasadniczych uzupełnień. Powstaniu niepodległego państwa towarzyszyły zarówno wezwania do wstępowania do służby państwowej, jak i nadzieje, że wraz z utworzeniem Rzeczypospolitej los poszczególnych jednostek ulegnie poprawie. Efektem był zaciąg tysięcy funkcjonariuszy państwowych i samorządowych bardziej według znajomości czy deklaracji umiejętności niż rzeczywistych kwalifikacji i wykształcenia. W związku z tym istniejące wakaty zostały uzupełnione stosunkowo szybko. Inna rzecz, że jakość nowych kadr budziła uzasadnione wątpliwości. Wymiana osób zatrudnionych w administracji na bardziej fachowe będzie wyzwaniem późniejszych lat i faktycznie nastąpi – wraz z dopływem na rynek pracy kolejnych roczników wykształconych już na polskich uczelniach. Było to o tyle ułatwione, że angaże nowych urzędników w latach 1918 i 1919 miały charakter prowizoryczny – nie obejmowały ich gwarancje zatrudnienia typowe dla pracowników służby cywilnej.

Model austriacki

Choć ze względu na skalę potrzeb dominującym wyzwaniem była konieczność znalezienia chętnych do pracy w urzędach na prowincji, to warto pamiętać, że urzędników potrzebowano także w centrali, w administracji poszczególnych resortów. Tu obiektywnym ułatwieniem było to, że rząd Moraczewskiego odziedziczył aparat po Radzie Regencyjnej. Funkcjonujące od grudnia 1917 roku gabinety Jana Kucharzewskiego, Jana Kantego Steczkowskiego czy Józefa Świerzyńskiego organizowały swoje urzędy, biura i referaty, które w listopadzie 1918 roku stały się komórkami poszczególnych ministerstw niepodległej Polski. Co ciekawe, mimo iż rząd Moraczewskiego był gabinetem lewicy niepodległościowej, odziedziczeni urzędnicy byli lojalni wobec niego, a przeprowadzone wtedy zmiany personalne miały charakter kosmetyczny. Rewolucję kadrową, np. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, przeprowadził dopiero w 1919 roku następny jego szef Stanisław Wojciechowski, sięgając po dawnych c.k. urzędników.

W warunkach zaborów społeczeństwo polskie nie było w stanie wypracować rodzimych rozwiązań dotyczących korpusu służby cywilnej czy systemu administrowania, który byłby zgodny z własnymi doświadczeniami. Trzeba było się wzorować na propozycjach obcych. Ze względu na dominację, zwłaszcza przed zamachem majowym, urzędników proweniencji galicyjskiej przyjęto ten model, który był im znany, czyli austriacki. Nie było to do końca szczęśliwe rozwiązanie, a reorientacja w tym zakresie, znacznie trudniejsza niż wymiana kadr, faktycznie nie została zakończona do wybuchu drugiej wojny światowej.

Janusz Mierzwa, historyk, wykłada w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się dziejami Drugiej RP, napisał m.in. *Starostowie Polski międzywojennej. Portret zbiorowy* (2012)

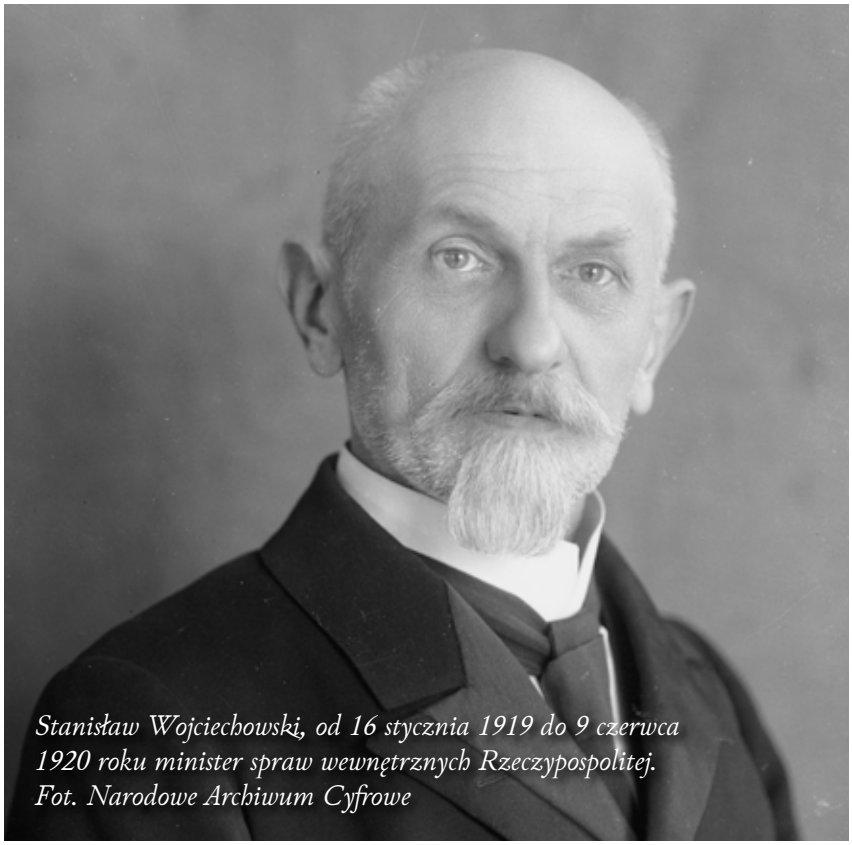

Stanisław Wojciechowski, od 16 stycznia 1919 do 9 czerwca 1920 roku minister spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

SZKOLNICTWO

w województwach wschodnich i południowo-wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej

WALDEMAR GLIŃSKI

Geograficzne pojęcie polskich kresów jest niejednoznaczne, co wynika z historycznych uwarunkowań tego obszaru i jego przynależności państwowej. Jacek Kolbuszowski próbuje sprecyzować to pojęcie: Pisane wielką literą Kresy stanowiły jedyny w swoim rodzaju równoważnik nazwy geograficznej, zakresem swoim obejmujący kilka regionów, kilka krain, kilka nawet obszarów etnicznych, uznany jednak za obszar polskiej swojskości.

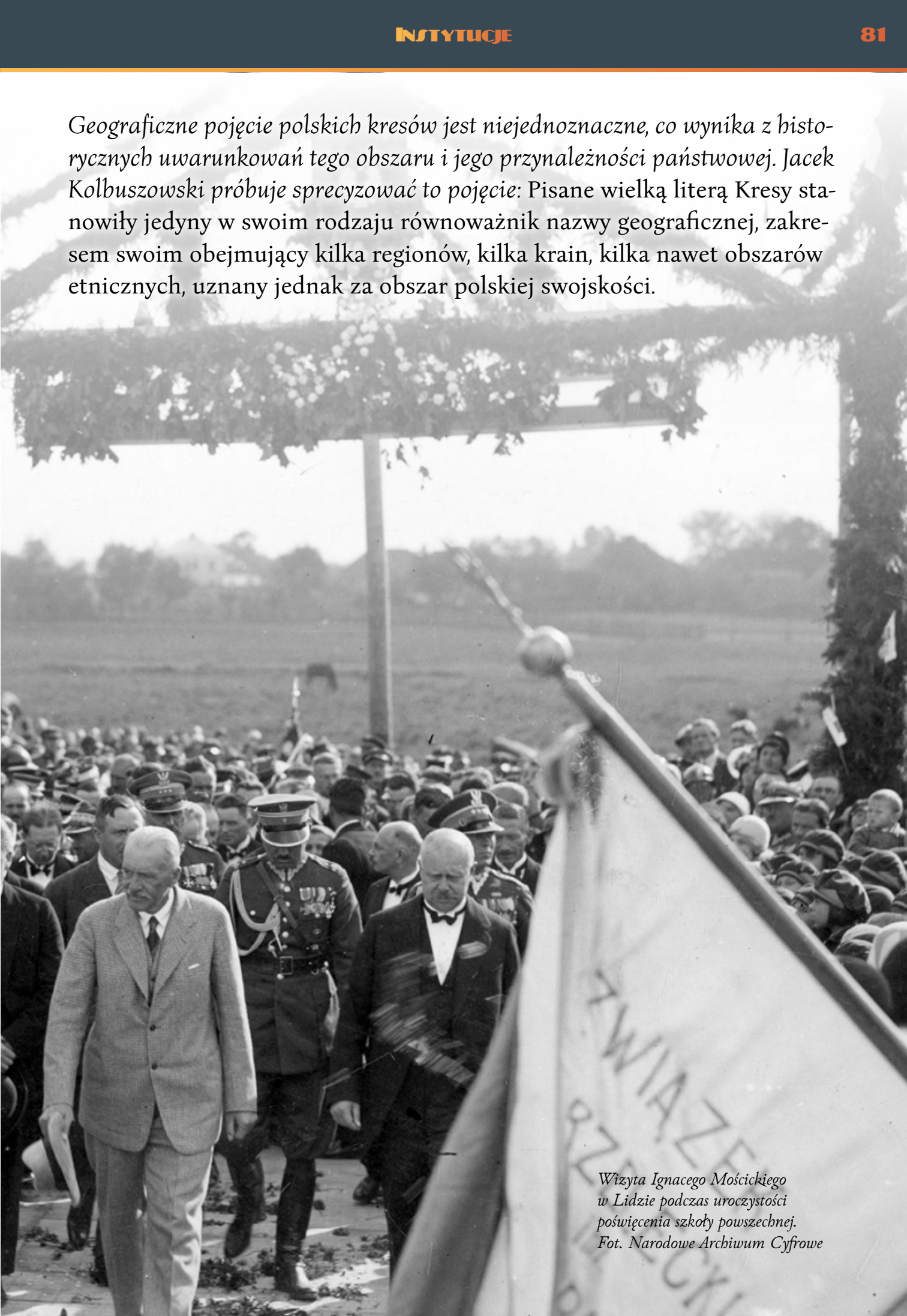

Wizyta Ignacego Mościckiego w Lidzie podczas uroczystości poświęcenia szkoły powszechnej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Obszar ten po pierwszej wojnie światowej znalazł się w granicach odrodzonej Polski, Litwy i Rosji Sowieckiej. Dla terytoriów, które weszły w skład Drugiej Rzeczypospolitej, upowszechnił się termin „ziemie wschodnie", obejmujący województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie. Wysoki odsetek ludności reprezentującej mniejszości narodowe wpływał na rozwój szkolnictwa tego obszaru.

Podstawowym problemem oświaty po odzyskaniu niepodległości była unifikacja i wprowadzenie na całym obszarze kraju obowiązku szkolnego. Istniał on wprawdzie na terenach byłego zaboru pruskiego (dzieci w wieku od 6 do 14 lat), formalnie obowiązywał dzieci w przedziale 6–12 lat w byłym zaborze austriackim, ale faktycznie nie był realizowany. Na terytorium byłego zaboru rosyjskiego obowiązek szkolny nie został wprowadzony. Miało to wpływ na dysproporcje w poziomie wykształcenia. W 1921 roku odsetek analfabetów wynosił ogółem 33,1 proc., w tym w miastach 18,7, a na wsi 38,1 proc. Dysproporcje poziomu nauczania widać w odsetku analfabetów w poszczególnych dzielnicach: na wsi wielkopolskiej stopień analfabetyzmu wynosił 4,3 proc., lwowskiej 33,9, a poleskiej aż 78,1 proc.

O specyfice oświatowej województw wschodnich i południowo-wschodnich decydował ich skład etniczny. Według spisu ludności z 1931 roku w granicach Drugiej Rzeczypospolitej mieszkało 4 mln Ukraińców, co stanowiło 13,9 proc. ogółu ludności (liczba ta jest kwestionowana przez większość badaczy, którzy odsetek Ukraińców szacują na 15,3–16,2 proc.). Największe skupisko mniejszości ukraińskiej znajdowało się w województwie stanisławowskim (72 proc. ludności) oraz wołyńskim (68 proc.); w województwie tarnopolskim odsetek ten wynosił ok. 45 proc., a w województwie lwowskim ok. 34 proc.

Drugą pod względem liczebnym słowiańską mniejszością narodową w województwach wschodnich była mniejszość białoruska. Według spisu z 1931 roku w Polsce mieszkało ok. 990 tys. Białorusinów (3 proc. mieszkańców kraju), najwięcej w województwie poleskim, natomiast ludność polska nieznacznie przeważała w województwie wileńskim (59,9 proc.) i nowogródzkim (52,6 proc.).

Zgodnie z przywoływanym spisem w Rzeczypospolitej mieszkało też 83,1 tys. obywateli pochodzenia litewskiego (0,3 proc. ogółu). Faktycznie jednak dane te były zaniżone. Szacuje się, że mniejszość ta liczyła ok. 180 tys. osób i mieszkała głównie w województwach wileńskim, białostockim i nowogródzkim. Znaczącą pozycję w województwach wschodnich miała mniejszość żydowska – 3114 tys. (9,7 proc. ludności).

Znaczna część mieszkańców województw wschodnich i południowo-wschodnich deklarowała się jako „tutejsi" – w 1931 roku w woje-

Profesorowie i uczniowie Gimnazjum im. Stefana Batorego w Wołkowysku. Fot. polona.pl

województwie poleskim było to 60 proc. mieszkańców. Wielu członków tej grupy pojmowało swoją przynależność w kategoriach regionalnych, stąd często używane przez nią określenia, np. Poleszucy czy Huculi.

Druga Rzeczpospolita zobowiązana była prawem międzynarodowym do zagwarantowania mniejszościom narodowym swobód w dziedzinie pielęgnacji własnej kultury, języka, obyczajów i religii. Mały traktat wersalski nakładał na państwo obowiązek zagwarantowania mniejszościom prawa do zakładania i prowadzenia własnym kosztem instytucji dobroczynnych, religijnych, społecznych, szkół i innych zakładów wychowawczych, z możliwością używania w nich własnego języka. W miastach i okręgach zamieszkanych przez znaczny odsetek obywateli posługujących się językiem innym niż polski władze były zobowiązane zapewnić dzieciom naukę w publicznych szkołach początkowych w ich własnym języku. Postanowienia traktatu potwierdzono w zapisach konstytucji marcowej i kwietniowej.

W granicach Drugiej Rzeczypospolitej mieszkało 4 mln Ukraińców, co stanowiło 13,9 proc. ogółu ludności. Najliczniej zamieszkiwali województwo stanisławowskie (72 proc. ludności) oraz wołyńskie (68 proc.)

Unifikacja

Kwestia unifikacji organizacji szkolnej została podjęta w ogłoszonym 18 grudnia 1918 roku programie ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Ksawerego Praussa. Zapowiadał on integrację szkolnictwa wszystkich dzielnic Polski, ustanowienie siedmioletniego obowiązku szkolnego i wprowadzenie bezpłatnego powszechnego nauczania.

W ocenach władz oświatowych oraz środowiska nauczycielskiego priorytetem była unifikacja ustroju szkolnego, nadzoru pedagogicznego i administracji szkolnej. W początkach istnienia niepodległego państwa polskiego ministerstwo sprawowało zarząd jedynie nad szkolnictwem byłego Królestwa Polskiego. Stopniowo przejmowano nadzór nad szkolnictwem Galicji, podporządkowując wiosną 1919 roku tamtejszą Radę Szkolną Krajową (ostatecznie została zlikwidowana w 1921 roku). Nadzór nad szkolnictwem polskich ziem wschodnich przejściowo należał do Sekcji Oświecenia Publicznego przy Zarządzie Cywilnym Ziem Wschodnich, utworzonym w marcu 1919 roku. Po likwidacji galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej utworzono Okręg Szkolny Lwowski, który objął województwa lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Województwa północno-wschodnie znalazły się w granicach okręgów szkolnych: nowogródzkiego, poleskiego i wołyńskiego. Po przyłączeniu do Polski Wileńszczyzny w maju 1922 roku utworzono także Okręg Szkolny Wileński.

Unifikacja nadzoru pedagogicznego i administracji szkolnej została unormowana ustawą o tymczasowym ustroju władz szkolnych z 4 czerwca 1920 roku, która powierzała ministrowi naczelne kierownictwo i zwierzchni nadzór nad wychowaniem publicznym. Dla szkolnictwa ziem wschodnich ważny był dekret z 7 lutego 1919 roku o obowiązku szkolnym dla wszystkich dzieci od 7. do 14. roku życia. Zapis o obowiązku szkolnym znalazł się też w konstytucji marcowej.

Szkoły utrakwistyczne (dwujęzyczne)

Ustrój szkolnictwa powszechnego został określony w ustawie z 17 lutego 1922 roku. Stopień organizacyjny poszczególnych szkół uzależniono od liczebności dzieci w obwodach szkolnych. W liczących poniżej 60 dzieci tworzono szkołę jednoklasową z jednym nauczycielem, w obwodach liczących 60–100 dzieci szkołę dwuklasową z dwoma nauczycielami. Utworzenie pełnych siedmioklasowych szkół było przewidziane w obwodach liczących powyżej 300 dzieci. Na obszarze województw wschodnich i południowo-wschodnich przeważały szkoły jednoklasowe, które w roku szkolnym 1918/1919 stanowiły 53,4 proc. szkół powszechnych.

Dla wieloetnicznego i wielowyznaniowego społeczeństwa województw wschodnich ważna była ustawa z 31 lipca 1924 roku, która stwierdzała, że zasadniczym typem szkoły państwowej *w myśl zasady godzenia i łączenia dla zgodnego współżycia ludności narodowo mieszanych ziem, a nie dzielenia jej, jest szkoła wspólna, wychowująca na dobrych obywateli Państwa dzieci narodowości polskiej i niepolskiej we wzajemnym szacunku ich narodowych właściwości.* Nauczanie w języku mniejszości narodowej możliwe było w szkołach publicznych na żądanie rodziców co najmniej 40 dzieci mieszkających w danym obwodzie szkolnym. Jeżeli jednak w tym samym obwodzie szkolnym rodzice co najmniej 20 dzieci zażądali nauczania w języku polskim, to zajęcia prowadzono w obu językach – niektórych przedmiotów uczono w języku mniejszości etnicznej, a innych w języku polskim. Jeżeli natomiast liczebność dzieci polskich w placówce była mniejsza niż 20, liczba dzieci pochodzenia niepolskiego przekraczała 40, ich rodzice zażądali

zaś nauczania w języku ojczystym, to zajęcia odbywały się w języku mniejszości etnicznej. Konsekwencją było zmniejszanie liczebności szkół z językiem wykładowym mniejszości przy systematycznym zwiększaniu się liczebności szkół utrakwistycznych.

Zgodnie z rozporządzeniem z 1925 roku naukę religii należało prowadzić w języku macierzystym dzieci. Lekcje języka polskiego w oddziale I przeznaczone były na naukę czytania i pisania w języku polskim, natomiast podczas lekcji z języka mniejszości etnicznej prowadzono dyskusje, pogadanki, omawiano obrazy i ilustracje. Naukę czytania i pisania w języku macierzystym uczniów narodowości niepolskiej rozpoczynano w drugim roku edukacji. Podczas lekcji rachunków i geometrii nauczyciel powinien był się posługiwać terminologią polską, natomiast podczas nauki innych przedmiotów najważniejsze terminy nauczyciel formułował w obu językach. W obu językach uczono także pieśni podczas lekcji śpiewu. W dwujęzycznej szkole siedmioklasowej na nauczanie w języku polskim przeznaczano 109 godzin lekcyjnych tygodniowo, a w języku mniejszości – 97 godzin. W klasach I–III przeważało nauczanie w języku mniejszości etnicznej, w wyższych – w języku polskim, ponieważ w tym języku prowadzono zajęcia z rachunków, a od V klasy także śpiewu. W ostatnich klasach w języku mniejszości etnicznych uczono przyrody (od klasy III), rysunków (od klasy IV), języka obcego (od klasy V). W klasach IV–V na lekcje prowadzone w języku polskim przypadało 74 godziny tygodniowo, a w języku mniejszości etnicznych 52. W literaturze przedmiotu szkolnictwu utrakwistycznemu często zarzuca się, że jego rozwój przyczyniał się do zmniejszania liczby szkół z językiem wykładowym mniejszości.

W 1923 roku w województwie wileńskim funkcjonowało 1660 szkół powszechnych (1576 polskich, 36 białoruskich, 44 litewskie i cztery rosyjskie), w nowogródzkim 949 (w tym jedna białoruska), w poleskim 776 (756 polskich i 20 ukraińskich), w Wołyńskim Okręgu Szkolnym 1156 szkół (597 polskich, 145 dwujęzycznych i 360 ukraińskich). W roku 1922 w województwach południowo-wschodnich sytuacja wyglądała następująco: w województwie lwowskim funkcjonowało 2309 szkół powszechnych (1338 z językiem polskim i 971 z językiem ukraińskim), w stanisławowskim 1116 (303 polskie i 813 ukraińskich), w tarnopolskim 1248 (606 polskich i 642 ukraińskie).

Stan szkół powszechnych był bardzo zły. Brakowało pomieszczeń, lekcje odbywały się często w chatach włościańskich. Zaopatrzenie w środki dydaktyczne było minimalne, a jakość kształcenia bardzo niska

Warunki pracy i nauki

Stan szkół powszechnych w województwach wschodnich i południowo-wschodnich był na ogół bardzo zły. Brakowało pomieszczeń, lekcje odbywały się często w chatach włościańskich. Zaopatrzenie w środki dydaktyczne było minimalne, a jakość kształcenia bardzo niska ze względu na słabe przygotowanie personelu pedagogicznego. Według „Rocznika statystyki Rzeczypospolitej Polskiej" z 1920/1921 roku w województwie nowogródzkim na 56 nauczycieli kwalifikowanych pracowało 541 czasowo kwalifikowanych i 947 niekwalifikowanych, w poleskim 72 kwalifikowanych, 320 czasowo kwalifikowanych i 330 niekwalifikowanych, w wołyńskim 330 kwalifikowanych, 935 czasowo kwalifikowanych i 559 niekwalifikowanych. Pod tym względem lepiej było w województwach południowo-wschodnich. Przykładowo w województwie lwowskim było 6506 nauczycieli kwalifikowanych i jedynie siedmiu niekwalifikowanych.

Przygotowanie kadry pedagogicznej zdecydowanie poprawiło się po wydaniu 6 marca 1928 roku rozporządzenia prezydenta o kwalifikacjach zawodowych do nauczania w szkołach powszechnych. Zgodnie z nim pracę dydaktyczno-wychowawczą w szkole powszechnej mogła podjąć osoba posiadająca dyplom nauczyciela uzyskany w seminarium nauczycielskim. Uprawnienia te można było też nabyć, zdając stosowny egzamin zgodnie z przepisami określonymi przez ministra. W rozporządzeniu dopuszczano możliwość zatrudnienia osób bez kwalifikacji zawodowych, jednak nie dłużej niż na trzy lata. Konsekwencją była poprawa kwalifikacji zawodowych nauczycieli pracujących w szkolnictwie kresowym.

Mniejszości narodowe posiadały również szkoły prywatne z własnym językiem nauczania. W Drugiej Rzeczypospolitej szkoły prywatne mogły uzyskać prawa publiczne po spełnieniu pewnych warunków: program kształcenia musiał odpowiadać programowi szkół publicznych, nauczyciele i władze szkolne powinni posiadać odpowiednie kwalifikacje, szkoła musiała mieć należyty poziom i wyposażenie; stosowano w niej przepisy państwowe regulujące liczebność uczniów i zasady ich promowania.

W roku szkolnym 1923/1924 w województwie wileńskim funkcjonowało 40 szkół prywatnych w miastach i 95 na wsi. W następ-

Wizyta prezydenta Ignacego Mościckiego w szkole żydowskiej w Nowogródku. Mniejszości w Drugiej Rzeczypospolitej miały prawo do pielęgnowania własnej kultury, języka, obyczajów i religii, a w miastach i okręgach zamieszkanych przez znaczny odsetek obywateli posługujących się językiem innym niż polski państwo miało obowiązek zapewnić dzieciom naukę w publicznych szkołach początkowych w ich własnym języku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

nym roku ich liczebność wzrosła do 240. Wzrost ten dotyczył zarówno szkół polskich, jak i litewskich – tych ostatnich z 33 do 82. W województwie nowogródzkim istniało 51 szkół prywatnych, w tym – w roku 1925 – dziewięć litewskich. W województwie poleskim w roku szkolnym 1923/1924 na 31 szkół prywatnych przypadało 28 szkół żydowskich. Podobnie było w województwie wołyńskim, gdzie na 21 szkół prywatnych przypadało 13 szkół kształcących dzieci wyznania mojżeszowego.

W okresie międzywojennym istniały cztery typy szkół żydowskich: cheder, szkoła hebrajska, szkoła z wykładowym językiem polskim i szkoła z wykładowym językiem żydowskim. Najbardziej konserwatywnym typem był cheder, w którym dbano o wychowanie religijne i moralne. W chederze starego typu, tzw. talmud torze, nie prowadzono zajęć z przedmiotów świeckich, dlatego kształcenie w takiej szkole nie zwalniało z obowiązku szkolnego. W chederach nowego typu oprócz formacji religijnej przykładano wagę do kształcenia w zakresie przedmiotów świeckich.

Szkolnictwo średnie

Szkolnictwo średnie było elitarne. Ukończenie gimnazjum oznaczało awans społeczny i umożliwiało kontynuowanie edukacji na uczelni wyższej. W województwach wschodnich przeważały szkoły średnie polskojęzyczne, ale istniały także szkoły z językiem wykładowym mniejszości etnicznych lub utrakwistyczne. W województwach południowo-wschodnich działało 67 państwowych i 43 prywatne polskie szkoły ogólnokształcące oraz sześć państwowych i 11 prywatnych szkół ukraińskich. Mniejszość białoruska posiadała trzy gimnazja: w Klecku (zlikwidowane w 1931 roku przez kuratora okręgu wileńskiego ze względu na zbyt niski poziom nauczania), Nowogródku (zlikwidowane w 1934 roku) oraz Wilnie (zlikwidowane w 1937 roku). Mniejszość litewska miała dwa gimnazja: w Wilnie i Święcianach.

Niektóre szkoły mniejszości etnicznych kształciły na wysokim poziomie. Przykładem jest państwowe gimnazjum ukraińskie we Lwowie, które w latach 1921–1932 ukończyło 529 uczniów, głównie z miast powiatu lwowskiego. Część kresowych polskich szkół średnich miała renomę nie tylko w kraju, ale także poza granicami. Jedną z nich było polskie gimnazjum w Chyrowie, prowadzone przez jezuitów. W tej szkole kształciła się młodzież polskich imigrantów z Francji, Szwajcarii, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Przeważała wprawdzie młodzież wyznania rzymskokatolickiego, jednak nie brakowało też grekokatolików

oraz przedstawicieli obrządku ormiańskiego. Wśród wychowanków chyrowskiego gimnazjum byli też ewangelicy oraz przedstawiciele wyznania mojżeszowego.

Szkoły zawodowe

Do roku 1930 nastąpił kilkakrotny wzrost liczebności tego rodzaju szkół. Szkoły zawodowe dzieliły się na sześć grup: techniczne, rzemieślniczo-przemysłowe, mistrzowskie, handlowe, rolnicze i żeńskie szkoły przemysłowe. Wśród szkół technicznych na terenie województw wschodnich wysoką pozycję zajmowała Państwowa Szkoła Techniczna w Wilnie, w której kształcono na wydziałach: mechanicznym, budowlanym, drogowym, mierniczym, melioracyjnym i elektrycznym. Równie szeroki profil kształcenia realizowano w podobnej szkole we Lwowie. Po 1919 roku sejm zlecił resortowi oświaty otwarcie przy każdej dyrekcji kolejowej średniej szkoły technicznej. Szkołą zbliżoną pod względem poziomu nauczania do szkół technicznych była prywatna trzyletnia szkoła techniczna w Wilnie kształcąca młodzież żydowską. Celem kształcenia w szkołach rzemieślniczo-przemysłowych była edukacja pracowników rzemieślniczych oraz wykwalifikowanych pracowników przemysłowych. Nauka trwała trzy lata, podbudowę programową stanowiły cztery klasy szkoły powszechnej. Wychowankowie szkół zawodowych otrzymywali oprócz świadectw szkolnych tytuł czeladnika po złożeniu odpowiedniego egzaminu przed komisją szkolną.

Poważny wkład w rozwój szkolnictwa zawodowego w Drugiej Rzeczypospolitej wnieśli salezjanie, którzy w 1920 roku otworzyli w Różanymstoku szkołę rzemieślniczą kształcącą stolarzy, ślusarzy, szewców i krawców. Jeszcze w 1916 roku założyli szkołę organistowską w Przemyślu. W 1924 roku objęli Dom Serca Jezusowego w Wilnie, gdzie utworzyli szkołę stolarstwa i szewstwa dla chłopców (siostry salezjanki prowadziły w Wilnie zakład Powściągliwość i Praca dla dziewcząt).

Uczelnie wyższe

W województwach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej funkcjonowało pięć wyższych uczelni: Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, Politechnika Lwowska, Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie i utworzona w 1922 roku Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego we Lwowie. W roku akademickim 1934/1935 na uniwersytecie lwowskim kształciło się 5900 studentów (w tym 3793 wyznania

rzymskokatolickiego, 1211 wyznania mojżeszowego, 739 unitów, 72 prawosławnych i 67 ewangelików).

Ważną pozycję wśród szkół wyższych zajmowała Politechnika Lwowska – uczelnia, która jeszcze przed pierwszą wojną światową pod względem liczby studentów zajmowała drugą pozycję w monarchii Habsburgów, ustępując jedynie Politechnice Wiedeńskiej. Wysoką pozycję w świecie nauki zajmowała też Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Czwartą wyższą uczelnią Lwowa była prestiżowa Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego (od 1937 roku Akademia Handlu Zagranicznego). Była to jedyna uczelnia kształcąca fachowców dla polskiej służby konsularnej.

W okresie międzywojennym mniejszość ukraińska usiłowała utworzyć własną uczelnię wyższą. W 1919 roku z inicjatywą taką wyszło Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki. W tym roku zorganizowano kursy uniwersyteckie. Negatywne stanowisko władz polskich udaremniło jednak realizację tego pomysłu. Kolejną próbę podjęło Towarzystwo im. Piotra Mohyły, lecz i ona zakończyła się niepowodzeniem. W 1921 roku utworzono we Lwowie tajny Uniwersytet Ukraiński. W pierwszym roku funkcjonowania tej uczelni w 25 katedrach kształciło się 101 studentów, w kolejnym roku liczba słuchaczy wzrosła do 1044. Tajny Uniwersytet Ukraiński istniał do 1925 roku. W 1921 roku utworzono ukraińską Szkołę Politechniczną, jednak braki kadrowe i lokalowe znacznie ograniczyły jej możliwości – studenci odbywali we Lwowie jedynie pierwszy rok studiów, na kolejne byli kierowani za granicę.

Istotną rolę w polskiej nauce i kulturze odgrywał reaktywowany w październiku 1919 roku Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. Uczelnia miała duże znaczenie dla mniejszości litewskiej, gdyż podjęto na niej badania lituanistyczne. Na wileńskim uniwersytecie kształciła się także młodzież litewska, stanowiąca ok. 2,7 proc. ogółu studentów tej uczelni.

Rozwój szkolnictwa wszystkich szczebli w województwach wschodnich i południowo-wschodnich w okresie międzywojennym doprowadził do powolnego i systematycznego nadrabiania zaległości w dziedzinie oświaty w okresie zaborów. Należy to niewątpliwie do pozytywnego dziedzictwa Drugiej Rzeczypospolitej.

Ks. Waldemar Gliński, historyk, pracownik UKSW w Warszawie, zajmuje się dziejami Kościoła katolickiego i historią społeczną XIX i XX wieku

Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, jedna z pięciu uczelni wyższych funkcjonujących w województwach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej. Fot. polona.pl

ODBUDOWA I ROZWÓJ *polskiego* KOLEJNICTWA

po odzyskaniu niepodległości

ZBIGNIEW TUCHOLSKI
PAWEŁ MIEROSŁAWSKI

Pierwsze linie kolejowe na terenach dzisiejszej Polski powstały w czwartej dekadzie XIX wieku. Łączyły ośrodki przemysłu z kopalniami węgla. W Królestwie Polskim Kolej Warszawsko-Wiedeńska umożliwiła dostawę surowca z Zagłębia Dąbrowskiego do rozwijających się fabryk Warszawy. Na pruskim Dolnym Śląsku węgiel na potrzeby wrocławskiego przemysłu przywożono z okolic Wałbrzycha Koleją Wrocławsko-Świebodzką oraz z Górnego Śląska Koleją Górnośląską.

Przydatność kolei szybko dostrzegło wojsko. Obronność i polityka często kolidowały z biznesem, toteż w drugiej połowie XIX wieku poszczególne państwa angażowały się w rozwój kolei, co doprowadziło do upaństwowienia większości prywatnych spółek pod koniec tego stulecia. Rozwój dróg żelaznych lub odwrotnie – celowy brak rozbudowy – należy uważać za istotny element polityki i umacniania państwa.

Polska przejęła po zaborcach sporą, liczącą ok. 15,5 tys. km długości, sieć linii normalno- i szerokotorowych oraz dodatkowo ok. 3 tys. km torów kolei wąskotorowych. Była to jednak sieć niejednolita, bowiem kolej w poszczególnych dzielnicach rozwijała się w myśl odmiennych interesów. Dlatego w roku 1918 większość istniejących magistrali przecięto nowymi granicami, a tylko kilka z nich (np. dawna Kolej Warszawsko-Wiedeńska) w całości zachowało funkcjonalność w nowych realiach geograficznych.

Brakowało właściwego połączenia Warszawy z Poznaniem, Krakowem i Lwowem, Górnego Śląska z Wielkopolską i Pomorzem. Trzeba było zatem zbudować nowe odcinki kolei, aby w ten sposób scalić poszczególne regiony kraju. Już w 1921 roku zbudowano linię Kokoszki–Gdynia, która miała służyć jako obejście Wolnego Miasta Gdańska. Rok później, aby połączyć Poznań z Warszawą, położono 111 km toru z Kutna do Strzałkowa. Ważną inwestycją była także ukończona w 1922 roku trasa Puck–Hel, polepszająca dostęp do morza. Cztery lata później zbudowano linię Kalety–Podzamcze, łączącą Wielkopolskę z polską częścią Górnego Śląska z pominięciem tranzytu przez terytorium Niemiec. Jej część weszła później w skład największej inwestycji kolejowej Drugiej RP – kilkusetkilometrowej magistrali węglowej Herby Nowe–Gdynia, która powstała w latach 1925–1931. W latach trzydziestych po wybudowaniu odcinków łączących istniejące trasy uzyskano również dogodne połączenie Krakowa z Warszawą. Wybuch wojny uniemożliwił planowany prosty przebieg kolei między Warszawą a Lwowem. W ten sposób w ciągu niecałych dwóch dekad Polska uzyskała szkielet połączeń głównych ośrodków miejskich. Dla porównania, po roku 1945 aż do dziś nie zdołano skrócić połączenia między Warszawą a Wrocławiem.

W Drugiej RP zadbano również o połączenia o znaczeniu regionalnym. Na Górnym Śląsku zbudowano kilka krótkich odcinków łączących dawne linie przedzielone granicą dla uniknięcia zagranicznego tranzytu. Na Mazowszu w 1924 roku w miejscu wojskowej linii wąskotorowej zbudowano nowy odcinek Nasielsk–Sierpc, później przedłużony do Torunia. W 1925 roku powstała linia Kutno–Płock, zaś w następnym roku odcinek Widzew–Zgierz–Kutno. Po wybudowaniu w Płocku mostu przez Wisłę i realizacji odcinka Płock–Sierpc–Brodnica powstało dogodne połączenie

Austriacki parowóz kkStB 59. Po Wielkiej Wojnie polska infrastruktura kolejowa była bardzo zniszczona, PKP dysponowały bardzo różnorodnymi pojazdami przejętymi po państwach zaborczych. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Łódzkiego z Kujawami i Pomorzem. W 1927 roku zbudowano lokalną linię Chybie–Skoczów, zaś rok później Łuck–Stojanów. Wraz z portem zbudowano stację Gdynia i sieć portowych bocznic oraz całkowicie zmodernizowano węzeł warszawski, wyposażając go w postulowaną jeszcze w końcu XIX wieku linię średnicową.

Infrastruktura kolejowa

Zamierzenia unifikacyjne w skali makro poprzedziła odbudowa infrastruktury. Prowadzono ją w niezwykle trudnych warunkach, przy braku zaplecza przemysłowego w kraju. Zniszczenia wojenne były duże, co gorsza, ewakuujący się z Królestwa Rosjanie nie tylko wywieźli większość taboru i urządzeń, ale także zmusili do wyjazdu 40 tys. kolejarzy. Po ustabilizowaniu się frontu na wschodzie i ostatecznym zajęciu Kongresówki przez wojska państw centralnych w latach 1916–1918 częściowo odbudowano infrastrukturę, jednak tylko najpotrzebniejsze do utrzymania ruchu mosty, nastawnie, parowozownie. Dodajmy, że te wojenne odbudowy w dużym stopniu miały charakter prowizoryczny. Co więcej, wywiezienie przez Rosjan w 1915 roku dokumentacji technicznej zarządów kolejowych z terenu Królestwa w znacznym stopniu utrudniło odbudowę i unifikację sieci kolejowej na tym terenie.

Druga fala zniszczeń przypadła na działania wojenne w latach 1919–1920. Dotknęła ona przede wszystkim terytorium na wschód od Wisły. Część linii kilkakrotnie przekuwano z toru szerokiego (1524 mm) na szerokość normalną (1435 mm), a odbudowane już mosty i stacje ponownie niszczono. W rezultacie do użytku nie nadawało się 45 proc. z 11 tys. mostów kolejowych istniejących na ziemiach polskich przed 1914 rokiem. Z 380 mostów o rozpiętości ponad 20 m zrujnowana była ponad połowa. Na wschodzie kraju oraz w Karpatach Wschodnich ucierpiały prawie wszystkie mosty. W ciągu kilku powojennych lat PKP odbudowały na stałe ponad 40 km mostów, wiaduktów i przepustów.

Nie inaczej było w zakresie nawierzchni kolejowej. W torach PKP leżało kilkadziesiąt różnych, przeważnie mało wytrzymałych, typów szyn. Brakowało materiału, toteż początkowo rozbierano drugie tory na odcinkach, które straciły poprzednie znaczenie (np linia Łupków–Zagórz–Przemyśl). Przy zamawianiu nowych szyn PKP stosowały normy pruskie (szyny typu 6 i 8), a po okrzepnięciu przemysłu krajowego w końcu lat dwudziestych opracowano polskie normatywy.

Zły był stan urządzeń zabezpieczenia ruchu kolejowego oraz łączności. Oprócz ocalałej sieci kolejowej zaboru pruskiego i zachodniej Małopolski oraz częściowo odbudowanej przez Prusy części sieci Kongresówki prawie całkowitemu zniszczeniu uległy aparaty blokowe i centralizacja zwrotnic na wschód od Wisły.

Odbudowując tę część infrastruktury, PKP wykorzystały rozwiązania stosowane przez koleje niemieckie (w małym stopniu również austriackie), składając zamówienia wyłącznie w kraju. Po odzyskaniu niepodległości Polska dysponowała tylko jedną wytwórnią urządzeń zabezpieczenia – w Bydgoszczy. Dzięki zamówieniom w latach dwudziestych powstały trzy dalsze zakłady specjalistyczne, a wiele innych zakładów mechanicznych uruchomiło produkcję dla kolejnictwa. Wytwórni urządzeń łączności w roku 1918 nie było wcale, w latach dwudziestych powstały dwie państwowe i jedna prywatna.

Podczas wojny na terenie Królestwa Polskiego i Małopolski zniszczono 63 proc. dworców, 48 proc. parowozowni i warsztatów oraz 81 proc. stacji wodnych i wież ciśnień. Prowadząc szeroko zakrojony proces odbudowy, opracowano utrzymane w polskim stylu narodowym projekty obiektów kolejowych.

Nie tylko szerokość torów

Koleje w trzech zaborach powstawały w całkowicie odmiennych warunkach administracyjnych i gospodarczych, a różnice te stały się istotną przeszkodą organizacyjną i techniczną w budowie polskiego kolejnictwa. W zaborczych zarządach kolejowych stosowano inne rozwiązania konstrukcyjne i eksploatacyjne, technika kolejowa rozwijała się tam w odmienny sposób. 19 listopada 1922 roku dyrektor Wydziału Mechanicznego Dyrekcji Kolei Państwowych w Radomiu inż. Włodzimierz Krzyżanowski w swym przemówieniu wypowiedział znamienne słowa: *Eksploatacja naszych kolei też nastręczała trudności nie lada. Jedną z najważniejszych przeszkód była ta okoliczność, że sieć kolei naszych utworzyła w granicach państwa zlepek trzech najróżnorodniejszych organizacji kolejowych, znacznie się różniących wzajemnie; z tych powodów tego ujednostajnienia, które w kolejnictwie, wymagającym sprężystej organizacji, wojennego niemal ładu, karności i dyscypliny, odgrywa tak znaczną rolę, do dziś dnia osiągnąć się nie udało* [...].

Po odzyskaniu niepodległości największą przeszkodą w odbudowie polskiego kolejnictwa były kwestie techniczne. Część linii w Królestwie była szerokotorowa (1524 mm) i trzeba było je przekuwać na normalną szerokość 1435 mm. W torach PKP leżało blisko 100 typów szyn oraz kilkadziesiąt typów rozjazdów. Ale to nie koniec problemów. Na kolejach pruskich i rosyjskich stosowano sygnalizację prawostronną, stanowiska maszynisty w parowozach znajdowały się po prawej stronie. Na kolejach austro-węgierskich było odwrotnie – sygnalizacja była lewostronna, a stanowiska maszynistów znajdowały się po lewej stronie. Odmienna była także organizacja ruchu kolejo-

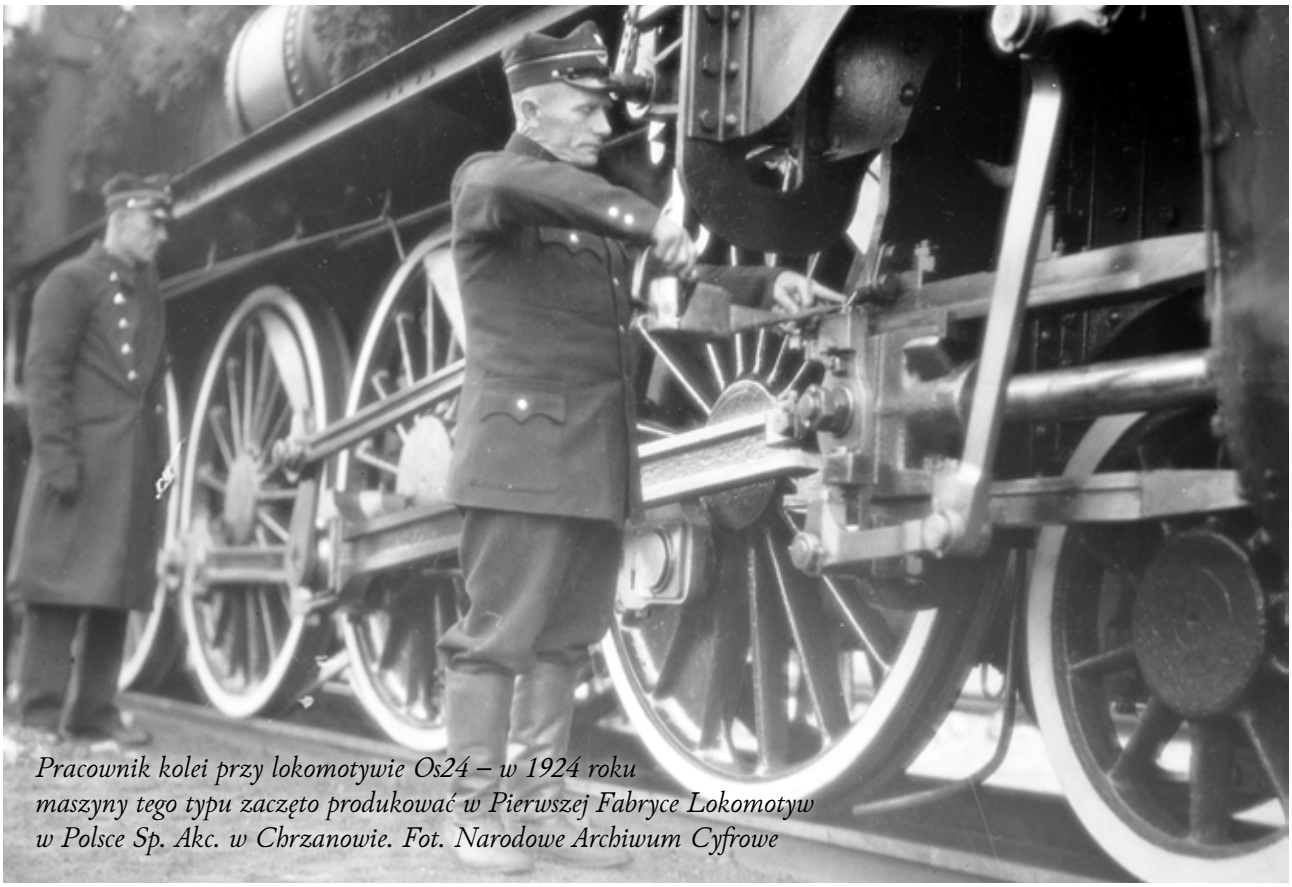

Pracownik kolei przy lokomotywie Os24 – w 1924 roku maszyny tego typu zaczęto produkować w Pierwszej Fabryce Lokomotyw w Polsce Sp. Akc. w Chrzanowie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

wego. W zaborze austriackim ruch pociągów był lewostronny i odbywał się w odstępie czasu, zaś w pruskim był prawostronny i odbywał się w odstępie drogi. We wszystkich trzech zaborach funkcjonowały różne systemy i urządzenia łączności telefonicznej oraz telegraficznej. Odmienne przepisy taryfowe i handlowe utrudniały przewozy i nadawanie przesyłek. W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości wykorzystywano zapasy biletów zaborczych zarządów kolejowych, nadrukowując polskie relacje na ich odwrocie. Podobnie kolejarze nosili początkowo zaborcze mundury z polskim orłem i dystynkcjami.

Ludzie też byli różni

Różnice dzielnicowe oraz wzajemna niechęć kolejarzy z różnych zaborów były przeszkodą w organizacji kolejnictwa. Od 1918 roku w służbie kolejowej stopniowo wprowadzono język polski. Pierwszym zredagowanym w języku polskim zarządzaniem nowo utworzonej Dyrekcji Kolei Państwowych w Krakowie był paradoksalny okólnik nakazujący ze względów bezpieczeństwa używanie języka niemieckiego w służbie ruchu kolejowego ze względu na zatrudnianie wielu austriackich maszynistów i dyżurnych nieznających języka polskiego. Duże trudności w porozumieniu się mieli pracownicy kolejowi z różnych zaborów, prowadzący ruch pociągów według odmiennych przepisów, dodajmy do tego barierę językową. Dlatego dochodziło do wypadków.

W 1919 roku utworzono Komisję Językową Ministerstwa Kolei Żelaznych (później Ministerstwa Komunikacji) pod przewodnictwem prof. Aleksandra Wasiutyńskiego. Zasiadali w niej: wieloletni minister komunikacji inż. Julian Eberhardt, wielu inżynierów kolejowych oraz wybitni językoznawcy prof. Adam Kryński i Kazimierz Król. Zadaniami komisji były opracowanie i kodyfikacja polskiej terminologii technicznej w zakresie kolejnictwa oraz instrukcji zawierającej słowa obcojęzyczne i niezgodne z duchem języka polskiego, których nie należało używać w służbie kolejowej. Inżynierowie kolejowi i językoznawcy często musieli tworzyć nowe słowa, których brakowało w polskim języku technicznym. Zorganizowano również kursy dla pracowników kolejowych z dawnego zaboru pruskiego, na których uczono ich języka polskiego oraz uzupełniano wykształcenie ogólne.

Z czasem udało się opracować polskie rozkłady jazdy, przepisy i instrukcje kolejowe, szczególnie z zakresu bezpieczeństwa oraz prowadzenia ruchu pociągów. Ujednolicano sygnalizację, skrajnię taboru i budowli oraz kolejowe przepisy budowlane. Wzorem europejskich zarządów kolejowych rozpoczęto normalizację części taboru i urządzeń hamulcowych, szyn i materiałów nawierzchniowych oraz urządzeń zabezpieczenia ruchu kolejowego.

Światowy kryzys ekonomiczny w znacznym stopniu opóźnił unifikację i modernizację kolejnictwa, a lewostronna sygnalizacja na wielu liniach dawnych kolei austro-

Budowa magistrali kolejowej z Górnego Śląska do Gdyni, największej inwestycji kolejowej w Drugiej Rzeczypospolitej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

-węgierskich funkcjonowała aż do wybuchu wojny. Dlatego do 1939 roku nie zakończono procesu unifikacji polskiego kolejnictwa.

Tabor

Zaraz po odzyskaniu niepodległości podstawą ruchu na polskich kolejach był tabor pozostawiony przez władze pruskie i austriackie. Po zawarciu traktatów pokojowych i wskazaniu w nich kontyngentów lokomotyw i wagonów, jakie Polska powinna otrzymać od poszczególnych zaborców, sytuacja zaczęła się polepszać. Tabor pruski, najbardziej przydatny i w najlepszym stanie technicznym, miał zostać przekazany Polsce w ciągu trzech lat. Przekazanie taboru z Austro-Węgier ciągnęło się aż do roku 1925. Kwestii taboru rosyjskiego zasadniczo w ogóle nie dokończono na gruncie traktatowym, a większość znajdujących się w PKP lokomotyw i wagonów rosyjskich stanowiła zdobycz z wojny polsko-bolszewickiej.

Pojazdy przejęte po zaborcach stanowiły przekrój najrozmaitszych konstrukcji. Na inwentarz PKP trafiło ponad półtorej setki serii parowozów, wiele reprezentowanych tylko przez kilka maszyn, co znacznie utrudniało naprawy i utrzymanie. Różne systemy hamulców powietrznych parowozów i wagonów osobowych (powietrzne i austriackie próżniowe) utrudniały formowanie składów pociągów. Rosyjski tabor przebudowany na tor normalnej szerokości posiadał skrajnię szerokotorową, co uniemożliwiało jego kursowanie na normalnotorowej sieci dawnych kolei pruskich i austro-węgierskich, dostosowanej do normalnotorowej skrajni.

Polski tabor kolejowy był jednym z najbardziej zniszczonych w Europie, odsetek niesprawnych parowozów wynosił 49 proc., wagonów osobowych 35 proc., towarowych 12 proc.. Przeszkodą w utrzymaniu zniszczonego i zróżnicowanego parku pojazdów okazał się brak wystarczającej ilości głównych zakładów naprawczych (do pracy nadawały się tylko dawne pruskie warsztaty w Poznaniu i Bydgoszczy), parowozowni i wagonowni, a także bardzo ubogie wyposażenie w maszyny i materiały. Dlatego przez kilka lat parowozy wysyłano do naprawy za granicę – do Gdańska, Budapesztu albo Wiednia, gdzie przebudowywano też na tor normalny pierwsze transze rosyjskich lokomotyw szerokotorowych.

Stan techniczny i awaryjność posiadanych pojazdów stały się bezpośrednią przyczyną nieregularności biegu pociągów, wielu zatrzymań i opóźnień na szlaku, a także uzyskiwanych niewielkich prędkości. W początkowym okresie po odzyskaniu niepodległości nawet pociągi dalekobieżne hamowano ręcznie – ze względu na niewspółpracujące ze sobą typy hamulców samoczynnych. Nocne pociągi często kursowały nieoświetlone. Wagony posiadały wiele części zastąpionych wykonanymi z materiałów zastępczych, np. miękkie ławki wagonów osobowych były pokryte specjalną tkaniną wykonaną z pokrzywy i papieru.

W latach 1918–1920 występowały częste niedobory węgla trakcyjnego. Parowozy opalano drewnem, węglem drzewnym albo torfem, a wodę często czerpano za pomocą prowizorycznych urządzeń.

Parowozy

Wobec braku polskiego przemysłu parowozowego w 1919 roku rozpoczęto zakupy parowozów za granicą. Od Francji odkupiono używane parowozy pruskie z przydziału traktatowego. W wytwórniach Niemiec i Austrii zamówiono jednostki nowe, odpowiadające użytkowanym już przez PKP seriom austriackim i pruskim. Do przewozów wojskowych, szczególnie podczas wojny polsko-bolszewickiej, zakupiono w USA parowozy typu Tr20. Z wojskowego demobilu amerykańskiego pochodziła także duża ilość wagonów towarowych różnych typów. Ponadto rząd USA ufundował Polsce 80 specjalistycznych wojskowych wagonów sanitarnych. Jednostki te, zgrupowane w specjalne składy szpitalne, zbudowano na terenie Wielkiej Brytanii.

Niezależnie od oparcia się na dostawach zagranicznych już w 1919 roku utworzono komisję parowozową, która szybko opracowała polskie znormalizowane lokomotywy i tendry. Do czasu zorganizowania fabryk krajowych zamawiano je w wytwórniach zagranicznych. Pierwsze pięć sztuk z serii polskiego już parowozu osobowego będącego odmianą rozpowszechnionej w PKP (i jednej z najliczniejszych w Europie) pruskiej maszyny Ok1 (pięć sztuk parowozów serii Ok22) zbudowano w Hanowerze w roku 1922, po czym po kilku latach już w Chrzanowie kontynuowano po rekonstrukcji produkcję tej serii. Pierwsze maszyny towarowe PKP serii Tr21 opracowano na podstawie projektu austriackiego (oraz jego belgijskiej modyfikacji) i do czasu uruchomienia przemysłu lokomotywowego w kraju zamawiano w Belgii i Austrii.

Pierwszą w pełni polską, choć rozrysowaną w szczegółach jeszcze w Berlińskiej Fabryce Maszyn, konstrukcją stał się ciężki parowóz towarowy serii Ty23. Autorem pomysłu był genialny polski konstruktor parowozów inż. Wacław Łopuszyński, wcześniej twórca lub współtwórca wielu serii rosyjskich, z najliczniejszym na świecie typem na czele. Parowozy Ty23, produkowane w kilku zakładach Belgii, Niemiec, a później we wszystkich wytwórniach krajowych, były najliczniejszą serią w historii PKP i jedną z liczniejszych w całej międzywojennej Europie. Pierwszym całkowicie zaprojektowanym w kraju w drugiej połowie lat dwudziestych parowozem stał się tendrzak serii OKl27, przeznaczony do ruchu podmiejskiego.

Przemysł rodzimy

Podobna była sytuacja z wagonami. Po zakończeniu rozliczeń z zaborcami do czasu uruchomienia wytwórni krajowych potrzebę nowych jednostek zaspokajano zakupami zagranicznymi. Nowe wagony towarowe zamawiano według normalizacji Niemieckiego Związku Budowy Wagonów we Francji, Włoszech, Niemczech. Zamówiono również na Węgrzech wagony towarowe według norm węgierskich. Pojazdy do obsługi ruchu pasażerskiego, opracowane dla PKP według rozwiązań włoskich i niemieckich, zamawiano we Włoszech, Austrii, Niemczech, Czechosłowacji i w Wolnym Mieście Gdańsku.

Ponieważ potrzeby polskiego kolejnictwa były duże, a dewiz brakowało, szybko trzeba było zorganizować przemysł taboru kolejowego w kraju. Po odzyskaniu niepodległości istniały jedynie dwie fabryki wagonów: Lilpop, Rau i Loewenstein w Warszawie i wytwórnia L. Zieleniewskiego w Sanoku. Nie było natomiast wytwórni parowozów.

Aby pozyskać niezbędny kapitał (w sporej części z zagranicy), polskie władze w latach 1920–1923 zawarły umowy długoterminowe z trzema utworzonymi w Polsce spółkami na dostawę w ciągu dziesięciu lat ponad 2,5 tys. nowych lokomotyw. W roku 1920 powstała Pierwsza Fabryka Lokomotyw w Polsce Sp. Akc. (w skrócie Fablok), wybudowana od podstaw w Chrzanowie. W 1924 roku rozpoczęto montaż z części dostarczanych z Wiednia pierwszych 18 parowozów serii Tr21, a następnie uruchomiono samodzielną produkcję lokomotyw Ty23 i Os24. Kotły dla chrzanowskich parowozów wytwarzano w istniejących w niedalekim Sosnowcu zakładach Babcock & Zieleniewski SA. Również w 1920 roku powstała Warszawska Spółka Akcyjna Budowy Parowozów (WSABP). Po przebudowie zakupionego zakładu mechanicznego od 1921 roku wykonywała ona naprawy parowozów, montowała nowe z części sprowadzanych z Austrii, a potem produkowała austriacki typ lokomotyw oznaczonych w Polsce serią Tr12, zaś od 1927 roku parowozów Ty23. Najpóźniej, bo w 1926 roku, w zakładach H. Cegielski Sp. Akc. w Poznaniu zbudowano od podstaw nowoczesny dział produkcji parowozów i wagonów, rozpoczynając samodzielną produkcję parowozów serii Ty23.

W równie szybkim tempie nastąpił rozwój przemysłu wagonowego. Istniejące już zakłady warszawskie Lilpopa i sanockie Zieleniewskiego znacząco rozbudowano. Wraz z powstaniem oddziału parowozowego w poznańskim Cegielskim rozpoczęto produkcję wagonów. Powstały nowe zakłady w Ostrowie Wielkopolskim (szybko wykupione przez PKP na warsztaty główne) oraz Ostrowcu Świętokrzyskim. Po przyłączeniu Górnego Śląska Polska uzyskała wytwórnię wagonów w Królewskiej Hucie (Chorzowie). Powstały również mniejsze zakłady, sporadycznie wytwarzające tabor dla przemysłu.

Odbudowa i unifikacja, a także późniejszy stały rozwój kolejnictwa były jednym z największych zakończonych powodzeniem przedsięwzięć modernizacyjnych Drugiej RP. Nawet w pionierskim okresie polscy inżynierowie uniknęli kosztownych błędów, stosując najlepsze rozwiązania techniczne i organizacyjne zaborczych zarządów kolejowych. Opracowując własne konstrukcje, opierali się na sprawdzonych doświadczeniach europejskich, nie siląc się na kosztowne eksperymenty. Budowa od podstaw polskiego przemysłu taboru kolejowego to znaczące osiągnięcie młodego państwa, nie tylko umożliwiające modernizację kolei, ale dające też podstawę do rozwoju innych gałęzi techniki. W dwudziestoleciu międzywojennym polskie koleje szybko się unowocześniały, a większość konstrukcji polskiego taboru i urządzeń kolejowych reprezentowała wysoki poziom europejski.

Zbigniew Tucholski, historyk techniki, pracuje w Instytucie Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie; **Paweł Mierosławski,** członek Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei

ENERGETYKA *w Polsce* MIĘDZYWOJENNEJ

BARTŁOMIEJ DERSKI

W czwartek 5 grudnia 1918 roku w drodze do notariusza trzeba się było przebijać przez zaspy śniegu i tłumy warszawiaków czekających w kolejkach po węgiel i zarażających się tam wzajemnie grypą hiszpanką. Umysły ludzi zaprzątały brak opału, pracy, a często jakichkolwiek środków do życia i możliwości utrzymania szóstki czy ósemki dzieci. Gazety co chwilę donosiły o samobójstwach z nędzy. Wielka Wojna niby skończyła się trzy tygodnie wcześniej, ale w całej Europie trwały mniej lub bardziej zaciekłe walki o granice. Niepodległa od niespełna miesiąca Polska wciąż ich jeszcze nie miała.

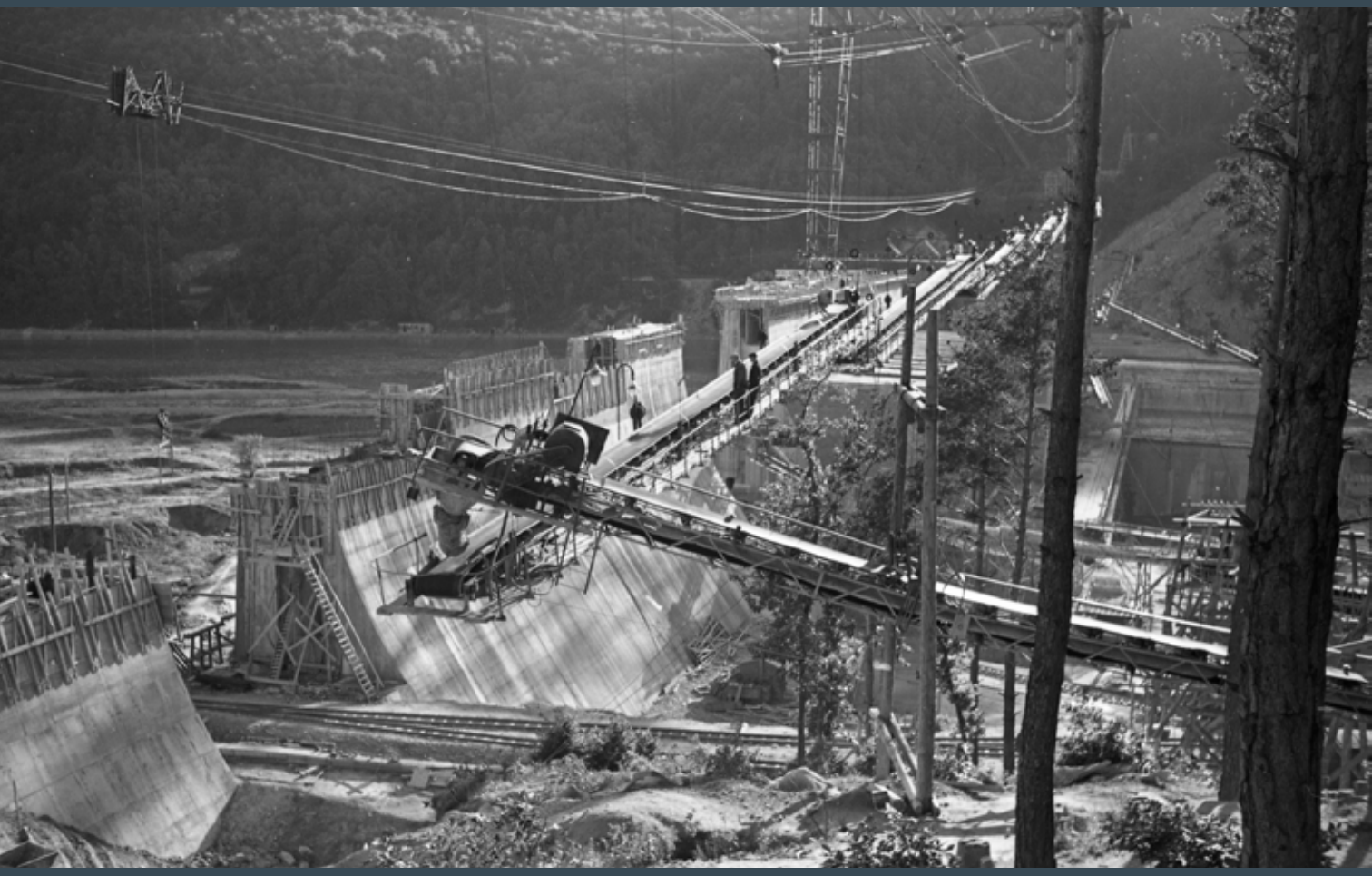

Budowa zapory na Dunajcu w Rożnowie. W 1935 roku rozpoczęto budowę zapory i elektrowni o mocy co najmniej 30 MW. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W sklepach dużo częściej niż żarówek klienci szukali nafty do lamp lub świeczek. Większości robotników nie stać było na oświetlenie mieszkania prądem, a połowy nieruchomości w stolicy w ogóle nie przyłączono jeszcze do sieci. W mniejszych miastach był dużo gorzej, a na wsiach elektryczność była obecna najwyżej w formie latarek na baterie.

Żadna z tych okoliczności nie zniechęciła jednak grupki inżynierów i menedżerów. Dotarli oni do notariusza Kosińskiego i podpisali akt założycielski pierwszej w Drugiej Rzeczpospolitej spółki akcyjnej o nazwie Siła i Światło. Obecny przy tym minister przemysłu i handlu Jerzy Iwanowski podkreślał znaczenie tej chwili dla przyszłości gospodarczej Polski. Już w 1918 roku bowiem elektryfikację wymieniano jako jedno z kluczowych wyzwań stojących przed Rzecząpospolitą. Na Zachodzie w ten sposób zasilane już były tramwaje, latarnie uliczne, lampy w budynkach użyteczności publicznej i wielu domach prywatnych oraz – przede wszystkim – maszyny w fabrykach i warsztatach. Polskę od europejskich liderów dzieliły wręcz dekady rozwoju. Dla porównania – podczas gdy w 1919 roku średnie roczne zużycie energii elektrycznej na mieszkańca naszego kraju wynosiło 38 kWh, to w Szwajcarii już dekadę wcześniej zbliżało się do 500 kWh.

Dlatego niespełna trzy miesiące po odzyskaniu niepodległości, 7 lutego 1919 roku, rząd zdecydował o utworzeniu Urzędu Elektryfikacyjnego przy Ministrze Przemysłu i Handlu. Urząd miał ludzi i plany. Brakowało tylko pieniędzy. Gospodarka dopiero podnosiła się z upadku, nie można było jeszcze efektywnie ściągać podatków, a większość budżetu pochłaniała armia. Brakowało chętnych na przyznanie Polsce kredytów zagranicznych, bo los kraju był niepewny. Jak mówił w 1919 roku w sejmie poseł ks. Stanisław Adamski: *wybitni finansiści amerykańscy przy pertraktacjach o kredyt dla Polski przede wszystkim mówią: „znamy znacznie lepsze lokaty, niż lokowanie pieniędzy w Polsce", nieuporządkowane stosunki wewnętrzne nie zachęcają do umieszczania pieniędzy zagranicznych w Polsce.*

Zanim rządowi udało się pozyskać jakąkolwiek pożyczkę od Amerykanów, Siła i Światło uzyskała w Stanach Zjednoczonych aż 1 mln dolarów. Jej główni akcjonariusze – Polacy z doświadczeniem menedżerskim z niemieckich gigantów przemysłu elektrotechnicznego Siemensa i AEG – kupili za te pieniądze od Niemców i Austriaków akcje elektrowni w Pruszkowie (w budowie) i Sosnowcu. To była jednak kropla w morzu potrzeb. Przede wszystkim trzeba było, wzorem Zachodu i Czechosłowacji, zacząć budowę ogólnokrajowej sieci elektroenergetycznej, która połączyłaby największe ośrodki przemysłowe i miejskie wraz ze znajdującymi się tam elektrowniami. Na taką inwestycję, porównywalną z dzisiejszymi planami budowy kilku reaktorów atomowych, kieszenie polskich firm i banków były za płytkie.

Jak Rockefeller chciał zelektryfikować Polskę

Zgodnie z planami tworzonymi jeszcze pod zaborami, w niepodległej Polsce miała powstać duża elektrownia wodna na południu i linie elektroenergetyczne łączące ją z elektrowniami i odbiorcami energii w największych ośrodkach przemysłowych w głębi kraju. Stawiano na odnawialne źródła energii, bo dostawy węgla z Górnego Śląska uznawano za zbyt niepewne w przypadku kolejnego konfliktu z Niemcami. Aby zrealizować tak kapitałochłonne inwestycje (ich szacowany koszt to równowartość dzisiejszych 80 mld zł), rząd, podobnie jak w przypadku innych wielkich inwestycji Drugiej RP (portu w Gdyni, magistrali węglowej czy gazociągów), zaczął szukać dużego zagranicznego inwestora, który byłby w stanie przeprowadzić elektryfikację na szeroką skalę przy niewielkim udziale kapitałowym Banku Gospodarstwa Krajowego.

W 1924 roku Ministerstwo Robót Publicznych usiadło do stołu negocjacyjnego z American-European Utilities Corporation (AEUC), utworzona m.in. przez Rockefellerów, kontrolowany przez nich bank Chase, koncern Westinghouse i wielu innych inwestorów z USA. Podpisana w następnym roku umowa przedwstępna przewidywała elektryfikację obszarów pomiędzy Górnym Śląskiem, Zagłębiem Dąbrowskim, Częstochową, Łodzią, Warszawą i Lublinem, a więc najważniejszymi ośrodkami gospodarczymi Polski. Amerykanie mieli też zbudować dużą elektrownię wodną na Dunajcu. Ministerstwo szacowało, że już w pierwszych latach na realizację zaplanowanych inwestycji potrzebnych będzie 30 mln dolarów (równowartość dzisiejszych 20 mld zł). Dla porównania – w 1923 roku wpływy podatkowe budżetu państwa wyniosły 45 mln dolarów, a cały budżet roczny nieznacznie przekraczał 100 mln.

Sytuację mógł skomplikować przewrót majowy. Oto w odrodzonym osiem lat wcześniej kraju, który zaczął zyskiwać zaufanie zagranicznych inwestorów, doszło do walk na ulicach stolicy i usunięcia demokratycznie wybranych władz. Reakcja amerykańskiej prasy na zamach nie była jednak tak zła, jak mogłoby się wydawać. Już na początku czerwca marsz. Józef Piłsudski trafił na okładkę tygodnika „Time", a poświęcony mu artykuł został napisany w uspokajającym tonie. W tym samym miesiącu AEUC wystąpiło więc o uprawnienie rządowe (koncesję) na 60 lat. Jednocześnie Amerykanie rozpoczęli rozmowy z właścicielami elektrowni na obszarze, który mieli zelektryfikować. Chcieli kupować od nich nadwyżki mocy i dostarczać im energię

z innych elektrowni, gdyby zachodziła taka potrzeba.

Forsowany przez Ministerstwo Robót Publicznych projekt miał jednak swoich przeciwników. W rozmowach z premierem zaniepokojenie propozycją Amerykanów wyrażali przedstawiciele przemysłu, oponowała Państwowa Rada Elektryczna i Zrzeszenie Elektrowni Kopalnianych. Warszawski „Przegląd Wieczorny" skarżył się na niejawność pertraktacji i porównywał negocjacje z AUEC do innej umowy z amerykańskimi inwestorami – Towarzystwem Ulena. Uzyskane wówczas przez kilka większych miast kredyty na budowę m.in. wodociągów, kanalizacji i elektrowni miejskich okazały się gorzką pigułką. Amerykanie narzucili bowiem na tyle ostre warunki, zabezpieczając ryzyko inwestycji w niestabilnej Polsce, że wiele samorządów okazało się niewypłacalnych, a kredyty spłacał za nie rząd. Ostatecznie w 1927 roku rozmowy z AEUC zakończyły się fiaskiem.

Negocjacje z Harrimanem

Zaledwie rok później Ministerstwo Robót Publicznych rozpoczęło negocjacje z inną amerykańską firmą – W.A. Harriman and Co. z Nowego Jorku. William Harriman był młodym bankierem inwestującym pieniądze ojca – barona kolejowego, który tuż po pierwszej wojnie światowej zajmował 11. miejsce na liście najbogatszych Amerykanów według „Forbesa" (Henry Ford był trzy miejsca przed nim). Ustalił on z rządem podobny projekt inwestycji jak poprzednicy. Przez pięć lat miało powstać 450 km linii przesyłowych o napięciu 100 kV łączących największe ośrodki przemysłowe: Warszawę, Łódź i Radom, z elektrowniami węglowymi na Śląsku i elektrownią wodną w Rożnowie o mocy przynajmniej 30 MW, której budowę planowano. W tym czasie Amerykanie mieli przyłączyć do sieci na obszarze objętym koncesją

PROJEKT ELEKTRYFIKACJI HARRIMANA

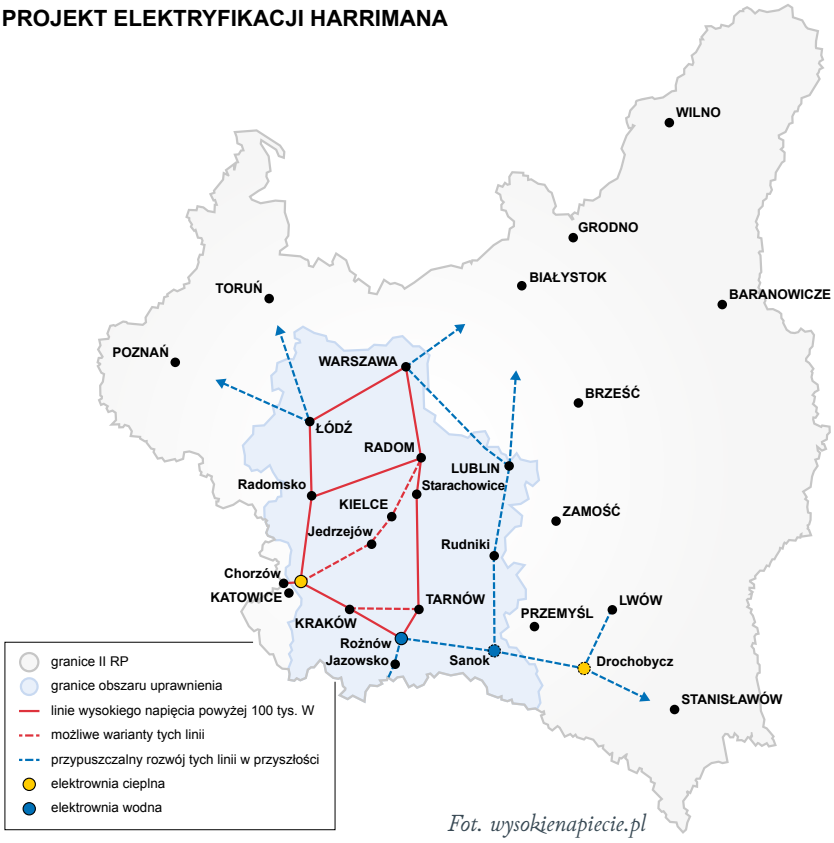

Fot. wysokienapiecie.pl

wszystkie miasta liczące ponad 5 tys. mieszkańców, a w kolejnej pięciolatce także liczące ponad 3 tys. W ciągu pierwszej dekady Harriman i spółka mieli wpompować w elektryfikację środkowej Polski przynajmniej 25 mln dolarów, a w ciągu kolejnych pięciu dekad jeszcze 75 mln. Umowa miała obowiązywać do 1989 roku.

Ponownie pojawiły się jednak głosy sprzeciwu. Przeciwnicy umowy z Harrimanem przekonywali, że koncesja oznacza monopolizację energetyki, że oddaje się tak ważną inwestycję w obce ręce, że będzie to oznaczało ograniczenie możliwości rozwoju istniejących elektrowni, że proponowana cena prądu jest za wysoka. Amerykanin odpowiadał, że argumenty monopolizacji były podnoszone przez właścicieli elektrowni, które także korzystały z prawa monopolu w obszarach własnych koncesji. Wyliczał też, że Zrzeszenie Elektrowni Kopalnianych, które zarzucało mu zbyt wysoką taryfę (70 gr za kWh), samo – w podaniu o koncesję z 1927 roku – oczekiwało 1,10 zł/kWh, a w drodze pertraktacji z ministerstwem zeszło do 95 gr za kWh. Amerykanie ujawnili też, że wspólnicy Zrzeszenia zawarli między sobą umowę kartelową, która miała ograniczać konkurencję między ich dziesięcioma elektrowniami po ich połączeniu, do czego się przymierzali. Ostatecznie znów przeważyły jednak argumenty przeciwko wielkiej elektryfikacji kraju przez zagraniczną firmę, więc Amerykanie koncesji nie dostali.

W gorzkich słowach, w dużej mierze antycypując przyszłość, zerwanie rozmów z Harrimanem w 1930 roku podsumowywał prof. Karol Pomianowski z Politechniki Warszawskiej: *otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że wykonanie elektryfikacji ze środków państwowych lub samorządowych jest wykluczone. Państwo ma inne i znacznie pilniejsze zadanie, jak choćby rozwiązanie kwestii mieszkaniowej. Jeśli środki Państwa nie pozwoliły dotychczas zakupić elektrowni OEW* [w Chorzowie – aut.], *nie pozwalają na dokończenie rozpoczętej już zapory w Porąbce, trudno przypuścić, aby mogły wystarczyć na przeprowadzenie planowej elektryfikacji.*

Finanse samorządowe nie pozwalają również na udział samorządów w tak kosztownym przedsięwzięciu. Istniejące elektrownie samorządowe walczą z kryzysem finansowym i zmuszone są szukać do pomocy kapitałów zagranicznych (Elektrownia Gródek, Kujawska Elektrownia, Lublin, Włocławek itd.). Zresztą przedsiębiorstwo takie może prosperować tylko w ręku prywatnym, w ręku Państwa czy instytucji publicznej mogłoby się łatwo stać deficytowym, przy cięższym z natury rzeczy aparacie administracyjnym.

Pomianowski się nie mylił – finansowanie tych inwestycji jedynie przez kapitał polski było niezwykle trudne. Zresztą nawet gdyby Amerykanie dostali koncesję, możliwe, że i oni nie byliby w stanie rozpocząć budowy. Jesienią 1929 roku zaczął się bowiem na świecie wielki kryzys. Podczas czarnego czwartku na Wall Street wiele amerykańskich fortun runęło w gruzy, a to był dopiero początek recesji wielu światowych gospodarek. Kryzys bardzo mocno odczuła także Polska. Do początku lat trzydziestych gospodarka Drugiej RP skurczyła się o połowę. Bezrobocie sięgnęło 42 proc. Na wsiach i miasteczkach, dokąd nowojorski świat finansjery docierał wcześniej najwyżej za sprawą gazet, tym razem odcisnął on bardzo realne piętno. Dobrze obrazują to dane statystyczne – zakup maszyn rolniczych spadł o 92 proc. Polska wieś cofnęła się do czasów handlu wymiennego, ciągnąc za sobą miasteczka i większe miejscowości, które świadczyły do tej pory usługi dla rolników.

Rząd elektryfikuje Polskę

Załamanie gospodarki sprawiło, że zamiast wspierać elektryfikację, rząd zajął się łataniem budżetu. W 1931 roku sejm przyjął ustawę o państwowym podatku od energii elektrycznej – do cen światła doliczano 10 proc., a w miastach liczących ponad 25 tys. mieszkańców kolejne 2,5 proc. dodatku komunalnego. Zwolnieni z niego byli tylko odbiorcy w sześciu województwach na ścianie wschodniej, gdzie rozwój elektroenergetyki był tak marny, że i tak nie było czego opodatkowywać. Zaledwie rok po wejściu w życie podatku od elektryczności rząd przyjął ustawę o popieraniu elektryfikacji. Zwolniono inwestycje w nowe elektrownie i sieci wysokich napięć z wielu danin publicznych – ponownie preferowane były te w województwach wschodnich. Tak chwiejna polityka państwa wobec energetyki jeszcze bardziej zniechęciła inwestorów.

Dekadę po bezowocnych negocjacjach w sprawie budowy przez Amerykanów zbiornika retencyjnego i elektrowni na Dunajcu za 45 mln zł rzeka wylała. Straty szacowano na 75 mln zł. Dopiero wtedy ruszyła państwowa inwestycja. Równolegle zaprojektowano linię Rożnów–Mościce–Starachowice–Warszawa o napięciu 100 kV. Obie budowy wpisywały się w ostatni wielki projekt inwestycyjny Drugiej RP – Centralny Okręg Przemysłowy. Przemawiając w sejmie, wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski porównywał tę inwestycję do swojego poprzedniego gospodarczego dziecka:

Kładzenie kabla elektrycznego na ul. Dobrej w Warszawie. W 1918 roku połowa nieruchomości w stolicy nie była przyłączona do sieci energetycznej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Tak jak ongiś całym programem i symboliką polityczno-gospodarczą stało się to słowo: Gdynia – tak dziś stawiamy nowe hasło w programie uprzemysłowienia, które otrzymuje symboliczną i skróconą nazwę: okręg centralny – Sandomierz. [...] *okręg ten musi się stać pomostem, który stworzy rynek zbytu i dla płodów rolnych okręgów wschodnich, i dla surowców i półproduktów okręgów zachodnich, i odbiorcę energii, opartej o siły wodne i ciepło gazu ziemnego, a skoncentrowanej na południu.*

Zmiany powoli zaczęły następować też w innych regionach kraju poza wschodem, gdzie do wybuchu drugiej wojny światowej właściwie nic się nie zmieniło. W 1937 roku rząd podzielił zachodnią część Polski na 17 okręgów elektryfikacyjnych obejmujących po kilka–kilkanaście powiatów i zaczął wydawać koncesje na ich elektryfikację. Utworzone wówczas przedsiębiorstwa, jak Zempoł (późniejszy Zakład Energetyczny Łódź–Teren), Zeork (później Zakład Energetyczny w Skarżysku-Kamiennej) czy Lubzel (pod tą marką funkcjonował przez kolejnych 80 lat), dały początek strukturze organizacyjnej elektroenergetyki, która w wielu koncernach, zwłaszcza w PGE, jest widoczna do dziś.

Ostatecznie pod koniec dwudziestolecia międzywojennego udało się zapoczątkować budowę elektrowni w Rożnowie i pierwszej sieci o krajowym znaczeniu – z Rożnowa przez COP do Warszawy. Obie budowy przerwał jednak wybuch wojny. Zostały dokończone przez Niemców w czasie okupacji.

Energetyczny bilans międzywojnia

Początki budowania gospodarki i wciąż nowej gałęzi przemysłu, jaką była energetyka, w Polsce były bardzo trudne. Po 123 latach podziałów kraj był wyniszczony przez wojnę, nie miał ustalonych granic, był w trakcie walk o terytorium, w kasie państwa brakowało pieniędzy, kapitał obywateli był skromny, a do tego Polska nie miała wiarygodności kredytowej. W tej trudnej sytuacji, choć zdawano sobie sprawę, że energetyka jest niezwykle ważną dziedziną nowoczesnej gospodarki i trzeba ją rozwijać jak najszybciej, nie skorzystano z szansy na szybszy rozwój za zagraniczne pieniądze. Starano się jak najwięcej zrobić własnym sumptem. Często z sukcesami, choć zwykle były to sukcesy bardziej lokalne niż globalne. Elektryfikacja przebiegała więc dość wolno, niemal zupełnie pomijając przy tym wschodnią połowę kraju i wsie. Nie udało się także Polsce dogonić lepiej rozwiniętych państw. W przededniu drugiej wojny światowej roczne zużycie energii elektrycznej na głowę mieszkańca wynosiło w Polsce 113 kWh, w Czechosłowacji 280 kWh, we Włoszech 310 kWh, a we Francji 400 kWh. Jeszcze wyższe było w Niemczech, Szwajcarii czy USA.

Mimo to polska energetyka w dwudziestoleciu międzywojennym wzrosła czterokrotnie. Moc elektrowni zwiększyła się z 0,4 do 1,7 GW, a produkcja z 1 do 4 TWh rocznie. Powoli zaczął się rozwijać także krajowy przemysł elektrotechniczny. Choć często jeszcze produkował na zagranicznych licencjach, to coraz więcej inwestował także we własne rozwiązania.

Strajki elektryczne

Szalejący od 1929 roku wielki kryzys gospodarczy mocno uderzył także w branżę elektroenergetyczną w Polsce. Zapotrzebowanie na energię elektryczną spadło w ciągu czterech lat aż o 27 proc. Wielu zadłużonych odbiorców ogłosiło upadłość, inni mieli problemy z płaceniem rachunków. W dodatku rząd, ratując budżet, w 1932 roku wprowadził 10-proc. podatek od energii elektrycznej. W kolejnym roku dekretem prezydenta ustanowiono ponadto opłatę w wysokości 20 gr od każdej nowej żarówki, co oznaczało nawet kilkudziesięcioprocentowe obciążenie. Zwolnione z podatku miały być tylko żarówki regenerowane, ale już w kolejnym roku sejm zlikwidował także ten zapis. Żarówki ponownie zostały wówczas potraktowane jako dobro luksusowe. Oprócz nich opodatkowano jeszcze np. kupony na loterię, bilety do cyrku czy prawo do przebywania w knajpach i klubach bilardowych między północą a godz. 6. Podatek w wysokości 5 proc. nałożony został także na gaz na cele domowe. Natomiast ryczałtową opłatę pobieraną od żarówek zamieniono na podatek w wysokości 15 proc.

Wielki kryzys mocno uderzył w branżę elektroenergetyczną w Polsce. Zapotrzebowanie na energię elektryczną spadło aż o 27 proc.

Kolejne podatki i opłaty nakładane przez rząd, a także brak obniżek ze strony spółek energetycznych (pomimo panującej deflacji) przelały czarę goryczy. W całej Polsce zaczęły wybuchać strajki elektryczne. Protestowano m.in. w Warszawie, Łodzi, Radomiu i Piotrkowie, a przede wszystkim w Białymstoku, gdzie od początku XX wieku silną pozycję miały lewica i ruchy anarchistyczne. Latem 1932 roku zawiązał się tam międzyzwiązkowy komitet walki o tańsze światło elektryczne. Białostockie organizacje społeczne domagały się obniżenia cen prądu z 92 do 60 gr/kWh i zmniejszenia miesięcznej opłaty za licznik ze 1,50 zł do 63 gr. Spór rozgorzał na dobre, gdy w sierpniu Białostockie Towarzystwo Elektryczności, zamiast obniżyć taryfy, jak chcieli tego pro-

MOC ELEKTROWNI I PRODUKCJA ENERGII ELEKTRYCZNEJ W POLSCE W LATACH 1918-39

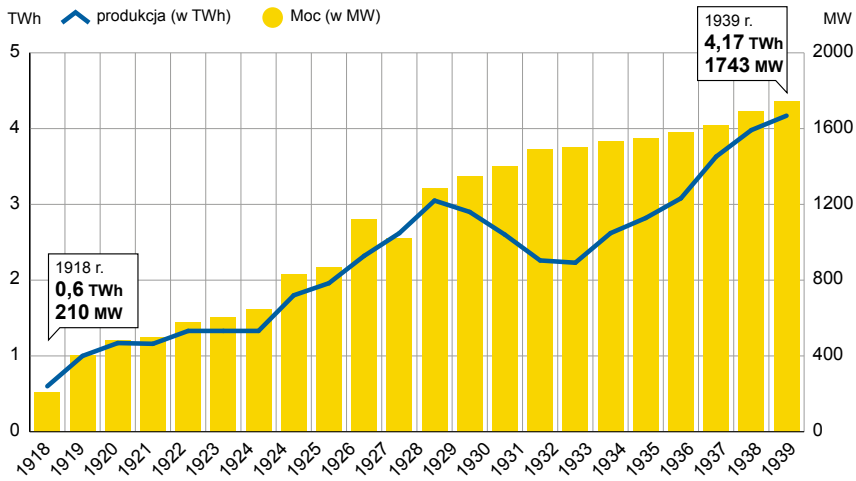

Fot. wysokienapiecie.pl

testujący, przedstawiło nowy skomplikowany cennik obniżający stawki w przypadku większego zużycia energii, niż wynosiło ono dotychczas. Następnego dnia „Dziennik Białostocki" opisał sytuację krawca nazwiskiem Czerniak, którego miesięczny rachunek za 2 kWh zużytej energii elektrycznej wyniósł 5 zł 27 gr, z tego 1,84 zł za samo zużycie energii, 1,50 zł za wynajęcie instalacji, 1,75 zł opłaty stałej i 18 gr podatku elektrycznego. *I gdybyż to był człowiek zamożny, w którego budżecie złotówka nie odgrywa większej roli. Czerniak – to nędzarz, pracujący po 16 godzin na dobę i otrzymujący za to groszowe wynagrodzenie. Każdy grosz – nadpłacony przez tego niewolnika igły – to kawałek chleba, odjęty z ust jego ośmiorga dzieci. Dla elektrowni jest to obojętne, nie chce ona wziąć pod uwagę, że znaczna część jej abonentów to tacy sami biedacy. Czy zrozumie, że dalej się w ten sposób postępować nie da?* – pytał autor tekstu, zachęcając mieszkańców do przystąpienia do strajku ostrzegawczego. *Niech nikt się nie wyłamie z solidarnej akcji strajkowej. Niechaj w dniu tym nie pali się ani jedna lampa elektryczna* – nawoływał komitet strajkowy.

Następnego dnia po strajku ostrzegawczym „Dziennik Bydgoski" chwalił się jego sukcesem: *Białystok może być z siebie dumny. Pierwsza próba sil, pierwsze ostre posunięcie w walce ze zdzierstwem elektrowni – wczorajszy demonstracyjny strajk elektryczny wypadł imponująco. Bojkot był powszechny, objął całe miasto, wszystkich mieszkańców. Fasady domów zarówno w śródmieściu, jak na przedmieściach, tonęły w ciemnościach. Przez okna przebijały mdłe, szczupłe światełka świec lub lamp naftowych. To samo było ze sklepami. Handel odbywał się przy świeczkach, którymi oświetlano również wystawy. Zwolnione były oczywiście od bojkotu instytucje użyteczności publicznej, jak szpitale, wodociągi, oraz drukarnie gazetowe. Paliły się w niektórych domach światła na klatkach schodowych, jak tego wymagają przepisy policyjne. Wypadki wyłamania się ze strajku były tylko sporadyczne, i – jak każdy mógł stwierdzić – dadzą się policzyć na palcach.* Ci, którzy się wyłamali, nie mogli liczyć na pobłażliwość strajkujących. Jak donosiła Polska Agencja Telegraficzna: *w kilku mieszkaniach miało miejsce wybicie szyb, prawdopodobnie w związku ze strajkiem, a mianowicie w mieszkaniach sędziego sądu okręgowego Dziedzickiego Antoniego (Sw. Jańska 18-a) oraz sędziego okręgowego śledczego Wiktora Michniewicza w tymże samym domu.* Łamistrajków obrzucono kamieniami także dzień później.

Ponieważ naciski mieszkańców wciąż nie dawały oczekiwanych efektów, w styczniu 1933 roku białostocczanie przystąpili do strajku generalnego. Białostockie sklepy przygotowały się do akcji, zwiększając zapasy lamp naftowych. Jednak, jak przekonywał „Dziennik Białostocki", w ciągu kilku dni przed i po rozpoczęciu strajku sprzedało się ich kilka tysięcy, a chętnych na zakup kolejnych było tak wielu, że tym razem trzeba było naciskać na sprzedawców lamp naftowych, aby nie podwyższali cen w związku z ogromnym popytem. Trzy dni po rozpoczęciu strajku zabrakło lamp w całym mieście, za to do redakcji wpływały donosy, że sklepikarze chrzczą naftę. Nowym problemem mieszkańców miała się zająć straż strajkowa, której członkowie otrzymali nawet legitymacje.

Koszty strajku ponosili też sami białostocczanie. Prasa wyliczała, że najbardziej opłacalne źródło nieelektrycznego światła to naftowe lampy żarowe, w których koszt paliwa wynosił ok. 20 gr za wieczór. Akcja strajkowa trwała jednak aż do wiosny. Dopiero w maju 1933 roku władze Białostockiego Towarzystwa Elektrycznego poszły na ustępstwa i obniżyły cenę energii w podstawowej taryfie do 80 gr/kWh.

Obniżki cen energii elektrycznej w latach 1932–1933 wywalczono za pomocą strajków lub na drodze prawnej (korzystając z klauzul arbitrażowych zapisanych w części koncesji) w wielu miastach Polski. W Warszawie stawki spadły niemal o jedną czwartą – do 55,5 gr za kWh dla gospodarstw domowych, 26,44 gr dla przemysłu i 22,11 gr na oświetlenie ulic. Sytuację zarówno odbiorców, jak i spółek energetycznych na dobre zaczął poprawiać jednak dopiero powrót dobrej koniunktury gospodarczej w latach 1935–1936.

Bartłomiej Derski, dziennikarz portalu WysokieNapiecie.pl. Artykuł został napisany na podstawie książki *Wiek energetyków. Opowieść o ludziach, którzy zmieniali Polskę*, Warszawa 2018

POCZĄTKI *polskiej* MOTORYZACJI

JAN TARCZYŃSKI

Rząd odrodzonej Rzeczypospolitej stanął przed nie lada problemami. Podczas zaborów część ziem polskich stanowiła peryferie państw zaborczych, często traktowane jako ich zaplecze surowcowe. Polityka zaborców oraz ogromne zniszczenia w wyniku działań wojennych spowodowały, że wielkie obszary kraju były dosłownie pustynią gospodarczą. Przemysł metalowy przestał istnieć – Rosjanie i Niemcy planowo niszczyli infrastrukturę przemysłową, a urządzenia do produkcji wywozili.

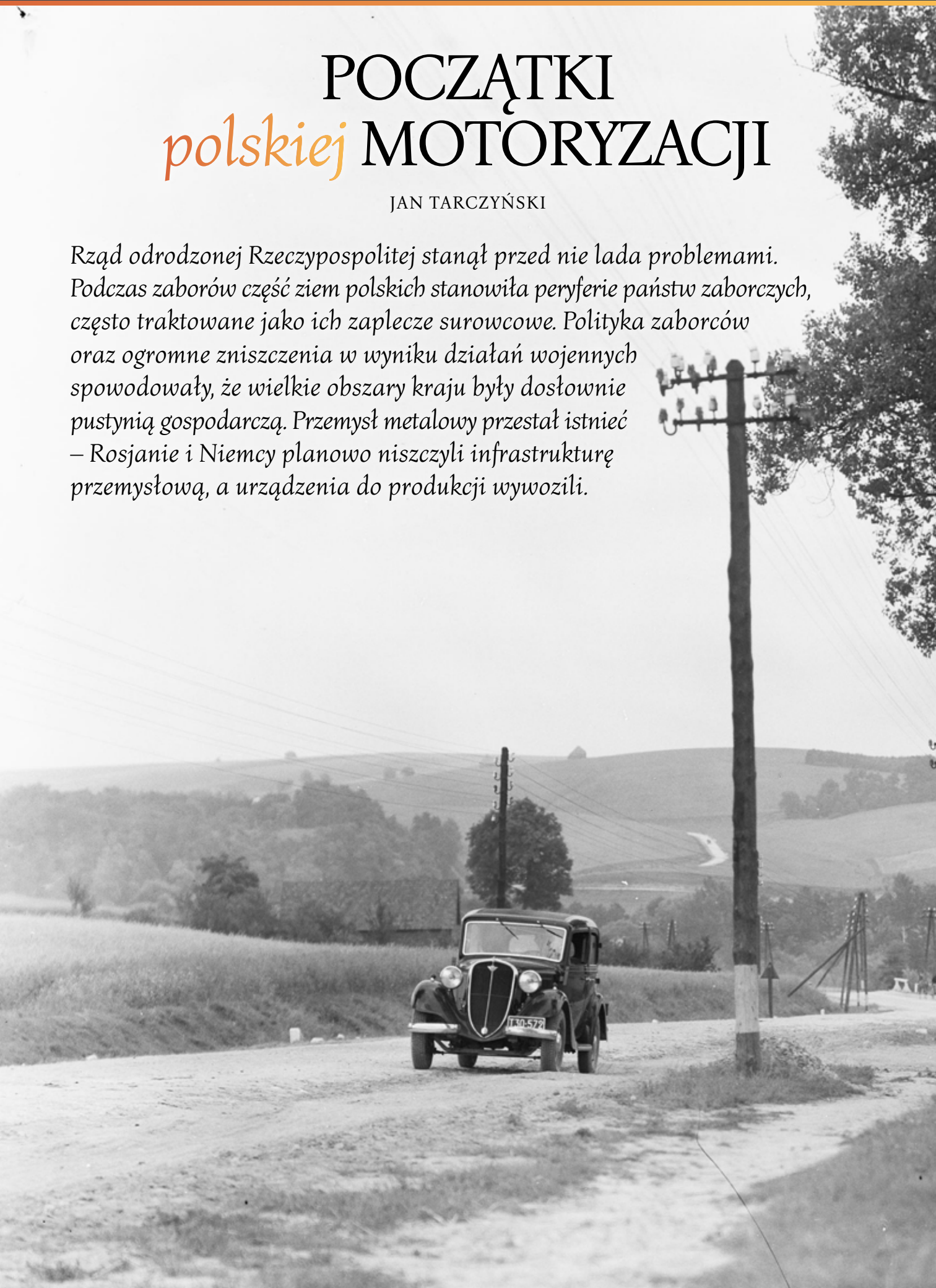

Polski Fiat 508 III Junak na polnej drodze. We wrześniu 1931 roku polski rząd podpisał z włoską firmą Fiat umowę licencyjną i juz wkrótce rozpoczął się montaż tych pojazdów. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Przykładowo wyposażenie warszawskich Zakładów Mechanicznych Towarzystwa Przemysłowego Lilpop, Rau i Loewenstein o wartości 1,5 mln rubli Rosjanie wywieźli w 328 wagonach do Kremieńczugu nad Dnieprem. Po zajęciu Warszawy w 1915 roku Niemcy dokonali zniszczeń na kwotę 3,5 mln rubli. Wywieźli pozostałe maszyny i materiały, zdemontowali wszystkie elementy żeliwne i z metali kolorowych, metalowe płyty podłogowe, a nawet instalację elektryczną. Podobnie było w innych zakładach na ziemiach polskich. Smutnym dziedzictwem zaborów było też duże zróżnicowanie regionalne. Polska składała się z dzielnic różniących się stopniem zagospodarowania, systemami prawnymi, walutowymi, podatkowymi, normami technicznymi, a także nawykami i mentalnością mieszkańców. Brakowało prawie wszystkiego: pieniędzy, materiałów, maszyn i urządzeń przemysłowych, środków transportu, sprzętu wojennego, wykwalifikowanych pracowników.

Spuścizną zaborów była m.in. słabo rozwinięta sieć drogowa, nieodpowiadająca potrzebom odradzającego się państwa. Na terenach różnych zaborów służyła ona strategicznym celom zaborców, a potem okupantów – np. w dawnym zaborze pruskim gęsta i dobrze utrzymana sieć drogowa kierunkowo ciążyła ku niemieckiej stolicy. Zaborcy utrudniali komunikację drogową pomiędzy podzielonymi między siebie obszarami Polski. Tylko na nielicznych głównych szlakach, np. z Warszawy do Krakowa, Lwowa i Poznania, istniały przejścia graniczne. Jeszcze w pierwszych latach niepodległości przejazd z Włocławka do Torunia był sporym problemem, ponieważ wzdłuż granicy niemiecko-rosyjskiej nie budowano dróg.

Odradzające się państwo musiało zatem uzupełnić i zintegrować sieć drogową, a także ją odbudować, zwłaszcza na wschodzie i południu. W styczniu 1919 roku było zaledwie 43,7 tys. km dróg o nawierzchni twardej – ok. 11 km na 100 km kw. powierzchni kraju, na kresach wschodnich były to tylko 2 km na 100 km kw. Dla porównania – w Niemczech gęstość takich dróg wynosiła 45 km na 100 km kw. powierzchni. Gęstość sieci drogowej (i jej jakość) była bardzo nierównomierna – w zaniedbanych gospodarczo województwach wschodnich wynosiła zaledwie dziesiątą część gęstości dróg w województwach zachodnich (z przewagą dróg gruntowych).

Po objęciu gospodarki drogowej przez władze polskie drogi zostały podzielone według ich znaczenia komunikacyjnego i gospodarczego na cztery kategorie: państwowe, wojewódzkie, powiatowe i gminne (taki podział zachowano do dzisiaj). Od stycznia 1919 do kwietnia 1938 roku wybudowano 63 126 km dróg o nawierzchni twardej (kostka kamienna, klinkier, beton, asfalt). Budowę nawierzchni ulepszonych

W odrodzonej Rzeczypospolitej stan dróg był fatalny: w styczniu 1919 roku w kraju było tylko 43,7 tys. km dróg o nawierzchni twardej, na kresach było to jeszcze mniej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

rozpoczęto w 1924 roku w Zagłębiu Dąbrowskim, a trzy lata później w województwie śląskim. W 1935 roku na Śląsku było 650 km dróg o nawierzchni twardej, czyli ok. 30 proc., co nie umywało się do sytuacji w przodujących państwach Europy Zachodniej: Danii – 100 proc. dróg z nawierzchnią ulepszoną, Francji – 81 proc., i Niemczech – 80 proc. W pozostałych województwach było jeszcze gorzej: łącznie miały one 850 km ulepszonej nawierzchni drogowej, czyli 1,5 proc. Warto też dodać, że do kwietnia 1938 roku przebudowano 2582 km dróg zwykłych wszystkich kategorii na drogi z nawierzchnią ulepszoną.

Przepisy drogowe

Ujednolicone przepisy ruchu drogowego wprowadzono w całym kraju dopiero rozporządzeniem ministrów spraw wewnętrznych i robót publicznych 6 lipca 1922 roku. Odpowiadało ono ustaleniom Międzynarodowej Konwencji o Ruchu Drogowym, zawartej w Paryżu w 1909 roku, lecz w zakresie np. znaków drogowych dostosowane było do sytuacji w Polsce (m.in. znak zakazu wjazdu pojazdów zaprzęgowych, nieznany w wysoko rozwiniętych krajach Europy). Wprowadzone wówczas jednolite w całym państwie normy rejestracji pojazdów mechanicznych w głównym zarysie są aktualne do dzisiaj. Na marginesie – przy tworzeniu norm prawnych współpracował Automobilklub Polski. Warto podkreślić szczególną rolę polskich zrzeszeń automobilowych w okresie zaborów, gdyż to właśnie one, odrębnie w każdej dzielnicy, próbowały ustanowić zasady ruchu drogowego, które przetrwały jeszcze w pierwszych latach Drugiej Rzeczypospolitej.

Przepisy z 1922 roku określały tylko pięć znaków: skrzyżowanie dróg, zapora, tor kolejowy i przekop (poprzeczny). Nie wystarczało to do uporządkowania ruchu w dużych miastach, np. w Warszawie. Ponieważ ministerialne przepisy dopuszczały wydawanie lokalnych ograniczeń i zmian, w sierpniu 1924 roku ukazało się rozporządzenie komisarza rządu na m.st. Warszawę o ruchu ulicznym, wprowadzające m.in. znaki zakazu (wjazdu, postoju etc.) oraz pojęcie ulicy głównej, czyli z szynami tramwajowymi. Ruchem drogowym policja sterowała ręcznie, a w 1928 roku u zbiegu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich zainstalowano pierwszy w kraju elektryczny sygnalizator świetlny.

Zasady użytkowania i ochronę dróg poprawiło rozporządzenie z 26 kwietnia 1924 roku, uzupełnione instrukcją o znakach drogowych i urządzeniach ostrzegawczo-zabezpieczających na drogach publicznych, zatwierdzoną przez ministra komunikacji wiosną 1938 roku. Instrukcja ta, wstępny etap przyszłych regulacji prawnych, była istotnym elementem scalania systemu oznakowań w różnych regionach kraju i po jej wprowadzeniu (nowe znaki zaczęto ustawiać w maju 1938 roku) zatarły się odrębności dzielnicowe. Tworząc instrukcję, kierowano się postanowieniami konwencji o ujednostajnieniu znaków drogowych z 1931 roku oraz doświadczeniami zagranicznymi – przepisami o znakowaniu dróg we Francji, Niemczech, Belgii, Szwajcarii i USA. Znaki zostały podzielone na grupy (i ten system obowiązuje do dzisiaj): ostrzegawcze, zakazów i ograniczeń ruchu, nakazów, informacyjne i administracyjno-informacyjne. Nowatorsko podkreślono, że prędkość pojazdów mechanicznych nie powinna być mniejsza niż 15 km/h, i wprowadzono także znaki poziome – malowane na jezdni – dla określenia miejsc postojowych.

Spuścizną zaborów była słabo rozwinięta sieć drogowa, nieodpowiadająca potrzebom odradzającego się państwa

Przemysł samochodowy pod skrzydłami wojska

Trudna sytuacja kraju w pierwszych latach po Wielkiej Wojnie nie sprzyjała wytwórczości motoryzacyjnej. Przez pierwsze dziesięć lat niepodległości tabor motorowy Polski i jej armii składał się wyłącznie z pojazdów importowanych. Co prawda już 27 października 1919 roku zatwierdzono statut Krajowej Spółki Akcyjnej Budowy i Eksploatacji Samochodów w Warszawie, a po wojnie z Rosją bolszewicką kilku następnych tego rodzaju, lecz te zamierzenia produkcyjne nigdy nie zostały zrealizowane, stanowiąc parawan dla spekulacji finansowo-handlowych.

Produkcję przemysłową rozpoczęto dopiero w 1922 roku w Fabryce Silników i Traktorów Ursus SA – starym warszawskim zakładzie z tradycjami sięgającymi drugiej połowy XIX wieku. Pierwszym polskim pojazdem mechanicznym z własnym napędem był ciągnik rolniczy, zbudowano jednak tylko kilkadziesiąt sztuk.

W maju 1924 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych podpisało z Ursusem umowę na dostawę samochodów ciężarowych na podstawie włoskiej licencji SPA. Nowoczesny zakład produkcyjny składający się z Fabryki Samochodów i Fabryki Metalurgicznej zbudowano w podwarszawskich Czechowicach (dzisiaj Ursus) i wyposażono w ciągu trzech lat. Wytwórnia samochodów została zaprojektowana według najnowszych wzorów zagranicznych i przystosowana do produkcji ok. 700 samochodów rocznie na jedną zmianę, podczas gdy

Autobus Zawrat wyprodukowany na licencji szwajcarskiej marki Saurer w Państwowych Zakładach Inżynierii. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

umowa (i możliwości produkcyjne) określały ich liczbę na ok. 350. To przeinwestowanie, połączone ze złą gospodarką finansową, stało się jedną z przyczyn niewypłacalności spółki i przejęcia Ursusa przez Państwowe Zakłady Inżynierii w Warszawie.

Licencyjne ciężarówki, budowane seryjnie od połowy 1928 roku, nosiły markę Ursus. Biuro Konstrukcyjne Fabryki Samochodów stworzyło także inne wersje tego pojazdu, np. A30 (unowocześniona wersja modelu podstawowego o ładowności 2–2,5 t), AW (podwozie autobusowe, wydłużone i obniżone) i AT (sześciokołowy samochód terenowy o dwóch tylnych osiach napędzanych). Podwozia typu A i A30 karosowano m.in. jako pojazdy strażackie, polewaczki, cysterny, sanitarki, ambulanse pocztowe i 20-osobowe autobusy. Większe autobusy, 22- lub 24-osobowe, budowano na podwoziach typu AW. Produkcja zakończona w 1931 roku wynosiła 884 samochody, niektóre źródła mówią o ok. 1200 sztukach.

W 1928 roku rozpoczęto także wytwarzanie samochodów osobowych CWS T-l. Producentem była Państwowa Wytwórnia Samochodów (PWS), jedna z fabryk nowo powstałego koncernu Państwowe Zakłady Inżynierii (PZInż.). PWS to przemianowane Centralne Warsztaty Samochodowe (CWS), utworzone dziesięć lat wcześniej jako duża uniwersalna jednostka naprawcza pod zarządem wojskowym, montująca także samochody Ford T i produkująca nadwozia oraz krótkie serie pojazdów specjalnych.

Wraz ze wzrostem potencjału wytwórczego i kadrowego CWS postanowiono, mimo trudnej sytuacji gospodarczej kraju, stworzyć polski samochód osobowy i rozwinąć jego seryjną produkcję. Entuzjastą tego działania był naczelnik CWS kpt. inż. Kazimierz Meyer (później podpułkownik i pierwszy dyrektor PZInż.). Już w połowie 1922 roku przystąpiono do realizacji elementów nowoczesnego silnika, czterocylindrowego, górnozaworowego. Egzemplarz prototypowy ukończono w marcu 1923 roku, a pierwszy samochód, jeszcze z próbnym nadwoziem, dwa lata później. Silnik i podwozie pojazdu dostosowano do krajowych warunków wytwórczych i eksploatacyjnych. Ujednolicenie elementów oraz gwintów, sworzni i modułów zostało tu doprowadzo-

ne niemal do perfekcji – wóz można było rozebrać za pomocą klucza płaskiego i śrubokręta.

Samochód CWS T-1 był produkowany w niewielkich seriach jako kareta i torpedo sześcioosobowe, kabriolet, sanitarka, furgon zamknięty i półciężarówka. W latach 1929–1931 wyprodukowano kilkaset pojazdów (ok. 800 według relacji i ok. 150 według zachowanych dokumentów) oraz 200 dodatkowych silników przeznaczonych do napędu m.in. wciągarek balonowych, pontonów saperskich i elektrowni polowych.

Mimo doskonałej jakości CWS i zarządzeń preferencyjnych wydawanych przez rząd sprzedaż samochodów nie osiągnęła planowanej wielkości. Jednym z powodów była jego cena, podyktowana wysokim kosztem wytwarzania. Aby go obniżyć, należało zmienić konstrukcję i przejść na duże, opłacalne serie o odpowiedniej do ich wielkości technologii produkcji. Wymagało to jednak czasu i sporego nakładu środków finansowych. Dlatego problem krajowych samochodów rozwiązano inaczej – kupując licencje znanych firm europejskich.

Państwowe Zakłady Inżynierii

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych rozpoczęto w Polsce tworzenie państwowego przemysłu maszynowego. 19 marca 1928 roku utworzono Państwowe Zakłady Inżynierii w Warszawie, które połączyły potencjał gospodarczy jednostek pracujących głównie dla armii: Centralnych Warsztatów Samochodowych, Centralnych Warsztatów Łączności, Centralnych Warsztatów Saperskich, Stoczni Rzecznej w Modlinie i tartaku w Ossowcu. Zakłady powiększyły się znacznie w roku 1930, gdy przyłączono do nich przejęte przez Bank Gospodarstwa Krajowego zadłużone ZM Ursus SA w Czechowicach. W 1932 roku tartak i CWŁ przeszły na własny rozrachunek, tworząc odrębne jednostki administracyjne. W skład koncernu wchodziła także stacja obsługi, przeznaczona dla pojazdów z PZInż.

Państwowe Zakłady Inżynierii były wielozakładowym przedsiębiorstwem działającym na zasadach rozrachunku gospodarczego, tj. pokrywającym wydatki zyskiem ze sprzedaży swoich wyrobów. Duża swoboda działania dyrekcji wynikała z ówczesnych warunków ustrojowych. Udział Skarbu Państwa wynosił ok. 84 proc. – konieczny w tym przypadku nadzór państwowy sprawowała Rada Administracyjna, podejmująca podstawowe decyzje ekonomiczne i produkcyjno-rozwojowe. Z powodu m.in. finansowania rozwoju zakładów z budżetu Ministerstwa Spraw Wojskowych przewodniczącym rady był wiceminister tego resortu. PZInż. obok produkcji zasadniczej wytwarzały małe serie lub egzemplarze próbne, które często były wstępem do ewentualnej produkcji seryjnej. Pozwalało to na rozwój kadry technicznej – konstruktorów, technologów i organizatorów produkcji – oraz stwarzało możliwości podniesienia kwalifikacji personelu.

W PZInż. produkowano seryjnie samochody na podstawie umów licencyjnych podpisanych w 1930 roku ze szwajcarską firmą Adolphe Saurer SA i w dwa lata później z włoską Fabbrica Italiana Automobili Torino. Zawarcie umowy z Saurerem, krytykowane w prasie niefachowej, było w ówczesnej sytuacji gospodarczej posunięciem słusznym, bowiem dostarczyło krajowi trwałe i ekonomiczne, znane ze swojej jakości konstrukcje – silniki wysokoprężne 6-, a później 4-cylindrowe, podwozia ciężarowe 4- i 6-tonowe 3BLDPL i 4 BLDP, a później 5-tonowe 3CT1D. Umowa zapewniała ponadto możliwość wprowadzenia do produkcji wszystkich nowości szwajcarskiego partnera oraz stałą współpracę konstrukcyjną.

Saurery budowane w PZInż. (w pierwszym okresie tylko montowane) były przeznaczone do karosowania także jako autobusy miejskie i międzymiastowe. Miały 30–45 miejsc siedzących. Ciężarowe saurery używane były w jednostkach administracji państwowej i samorządu terytorialnego, a także w Wojsku Polskim.

Wejście Fiata

Umowa z Fiatem to osobny rozdział w historii zakładów. Początkowy montaż ze sprowadzanych podzespołów, a później produkcję (nowoczesna fabryka rocznie mogła wyprodukować 2,5–3 tys. pojazdów), część opinii publicznej uznała za próbę zamachu na polską myśl techniczną i rozwój krajowej bazy przemysłowej. Niesłusznie, bowiem samochody budowane na licencji (ciężarowe 621 L 2,5 t i 621 R 3 t oraz autobusy, a także 1,5-tonowe typu 618, osobowe 508 III i 518) wkrótce stały się pojazdami polskimi. Pod koniec lat trzydziestych większość części wytwarzano w kraju, zatrudniając przy tym liczną grupę kooperantów. W rozbudowanym przemyśle pomocniczym pracowało ok. 60 tys. ludzi. Samochody Fiata, podobnie jak saurery, przystosowano do polskich warunków drogowych, wzmacniając m.in. ramę i zawieszenie. Polski Fiat 621 L, najpopularniejsza przed wojną ciężarówka, miał wersje pożarnicze, sanitarne, cysterny, komunalne etc. oraz terenowe – półgąsienicowy samochód wz. 34 (także jako ciągnik artyleryjski C4P i terenowa sanitarka). Polski Fiat 508 III był popularnym samochodem. Obok wersji podstawowej – dwudrzwiowej karety – produkowano karety czterodrzwiowe, pojazdy z nadwoziami otwartymi, furgoniki otwarte i zamknięte 0,5 t, sanitarki i słynne uterenowione łaziki. Fiat 518 był raczej bardziej luksusową limuzyną średniej klasy z rozkładanymi fotelami do spania – rządowy okólnik

Pawilony przemysłu samochodowego na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu: na pierwszym planie samochód z karoserią wykonaną w Zakładach Mechanicznych E. Plage i T. Laśkiewicz w Lublinie oraz polski fiat 518 (z prawej na drugim planie). Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zalecał jednostkom administracji państwowej nabywanie tych pojazdów. Produkowano też łaziki typu 518, tworząc na podstawie zebranych doświadczeń udany wóz terenowy PZInż. 627, zaplanowany do prób w 1940 roku. Na podwoziu pochodnej ciężarówki, 1,5-tonowego modelu 618, budowano też 11-osobowe autobusy i furgony zamknięte – dla potrzeb wojskowych i cywilnych.

Przyjmuje się, że od 1935 roku, czyli od chwili uruchomienia nowej specjalnej fabryki dla samochodów Fiat, do września 1939 roku wyprodukowano w PZInż. ponad 23,5 tys. licencyjnych pojazdów ciężarowych i osobowych w samych tylko podstawowych odmianach. Liczba saurerów jest z braku wiarygodnych źródeł trudna do ustalenia (kilkaset sztuk?), zaś czołgi rozpoznawcze obu modeli opuściły fabrykę w ilości ponad 550 wozów. Czołgów lekkich wyprodukowano nieco ponad 160. Brakuje też ścisłych informacji o pojazdach jednośladowych – można przypuszczać, że zbudowano ich 4–6 tys. Państwowe Zakłady Inżynierii były największym w Drugiej Rzeczypospolitej przedsiębiorstwem motoryzacyjnym, zaś liczba pracowników – w 1939 roku 8,5 tys. ludzi – stawiała je na drugim miejscu w polskim przemyśle maszynowym.

Montażownie

Ważnymi zakładami dostarczającymi na krajowy rynek wiele jednorodnych konstrukcyjnie pojazdów mechanicznych były montownie, uzależnione jednak od obcego kapitału. Składano w nich pojazdy me-

chaniczne z importowanych podzespołów, z niewielkim udziałem miejscowego przemysłu. W Polsce, głównie w Warszawie, w latach dwudziestych istniały jako jednostki wyłącznie montażowe i pod koniec okresu międzywojennego jako zakłady przemysłowe o narzuconym warunkami koncesji programie działania, w którym montaż był wstępną fazą krajowej produkcji licencyjnej.

Na przełomie lat 1920/1921 stołeczna firma Elibor, czyli Spółka Akcyjna Handlowo-Przemysłowa LJ. Borkowski, rozpoczęła import samochodów Ford T i montaż traktorów Fordson. Elibor miał warsztaty karoseryjne w Radomiu, gdzie były budowane nadwozia do sprowadzanych podwozi fordów, a potem i buicków.

W 1926 roku rozpoczęto montaż samochodów osobowych typu T i półciężarowych TT, przewidując budowę 5 tys. pojazdów rocznie i przejście na własną produkcję. Do końca lata 1927 roku zmontowano zaledwie 350 pojazdów, a całe przedsięwzięcie zostało zlikwidowane z końcem tego roku.

Na początku 1928 roku w wynajętych od Elibora budynkach założono montownię samochodów Chevrolet koncernu General Motors. Do września zmontowano ich 750. Praca montowni sprowadzała się głównie do karosowania importowanych podwozi. Udział przemysłu krajowego ograniczał się do kół i resorów oraz półosi, bębnów hamulcowych i piast kół. Polskiego pochodzenia były także materiały tapicerskie i szyby. Malowanie natryskowe wykonywano przy użyciu importowanych lakierów. Montowano samochody osobowe marki Chevrolet z silnikami 4-cylindrowymi, a od wiosny 1929 roku model 6-cylindrowy, wyposażony w hydrauliczne hamulce na cztery koła oraz nową ulepszoną karoserię. Budowano również ciężarówki o ładowności 1,75 t z silnikami 6-cylindrowymi oraz 0,5-tonowe pojazdy dostawcze. Importowano natomiast osobowe buicki. Planowano też wybudowanie większej, nowoczesnej montowni. Miała powstać w podwarszawskim Ożarowie, lecz rozpoczęte prace budowlane zostały wstrzymane wiosną 1930 roku. Nadciągający kryzys ekonomiczny był główną przyczyną ograniczania, a potem całkowitej (w 1931 roku) likwidacji produkcji General Motors w Warszawie. Do tego czasu zmontowano ok. 6 tys. samochodów osobowych i ponad 500 ciężarowych.

Depresja gospodarcza, która skłoniła zachodni przemysł motoryzacyjny do zawężenia od 1930 roku działalności w Polsce, zaczęła maleć ok. 1935 roku. Projekt utworzenia w Polsce montowni miał wówczas wielu przeciwników, wywodzących się zwłaszcza z kręgów wojskowych i środowiska inżynierskiego związanego z PZInż. Konflikt podsycała krajowa prasa. Władze wojskowe – a głównie te nadawały ton motoryzacyjnym działaniom produkcyjnym – były przeciwne powstawaniu prywatnego przemysłu samochodowego w okresie, w którym PZInż. nie ugruntowały jeszcze swojej bazy technicznej. W interesie armii leżało bowiem posiadanie silnego gospodarczo wytwórcy, zdolnego do produkcji zamówionego sprzętu. Gdy baza techniczna zakładów była należycie rozwinięta, zrezygnowano ze sprzeciwu, a posiadanie montowni produkujących na potrzeby rynku cywilnego zaczęto nawet uważać za korzystne.

1 lipca 1924 roku na jeden pojazd mechaniczny przypadało 3168 mieszkańców, 1 stycznia 1936 roku 979, a 1 listopada 1938 roku 620. W wysoko rozwiniętych USA jeden pojazd wypadał jednak na 2,5 mieszkańca. W pierwszych trzech latach motoryzacyjnej (pokryzysowej) prosperity – 1936, 1937 i 1938 – sprzedano odpowiednio 4946, 9969 i 14 231 nowych pojazdów mechanicznych, zaś w październiku 1938 roku ich ogólna liczba w całym kraju wynosiła 69 049 (51 976 samochodów i 17 073 motocykle), bez pojazdów wojskowych. Znacząco ograniczono ilość marek i typów pojazdów mechanicznych. Ujednolicenie taboru, tak ważne ze względów obronnych państwa, stworzyło podstawy bazy rekwizycyjnej w przypadku wojennej mobilizacji.

Jan Tarczyński, historyk, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie

O POLSKI *bedeker*

ALEKSANDER STROJNY

Niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach prysnęły kordony! Nie ma ich! Wolność! Nieodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Chaos? To nic, będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą. *Te wielokrotnie przywoływane słowa Jędrzeja Moraczewskiego znakomicie oddają euforię, z jaką witano odrodzenie Polski w listopadzie 1918 roku.*

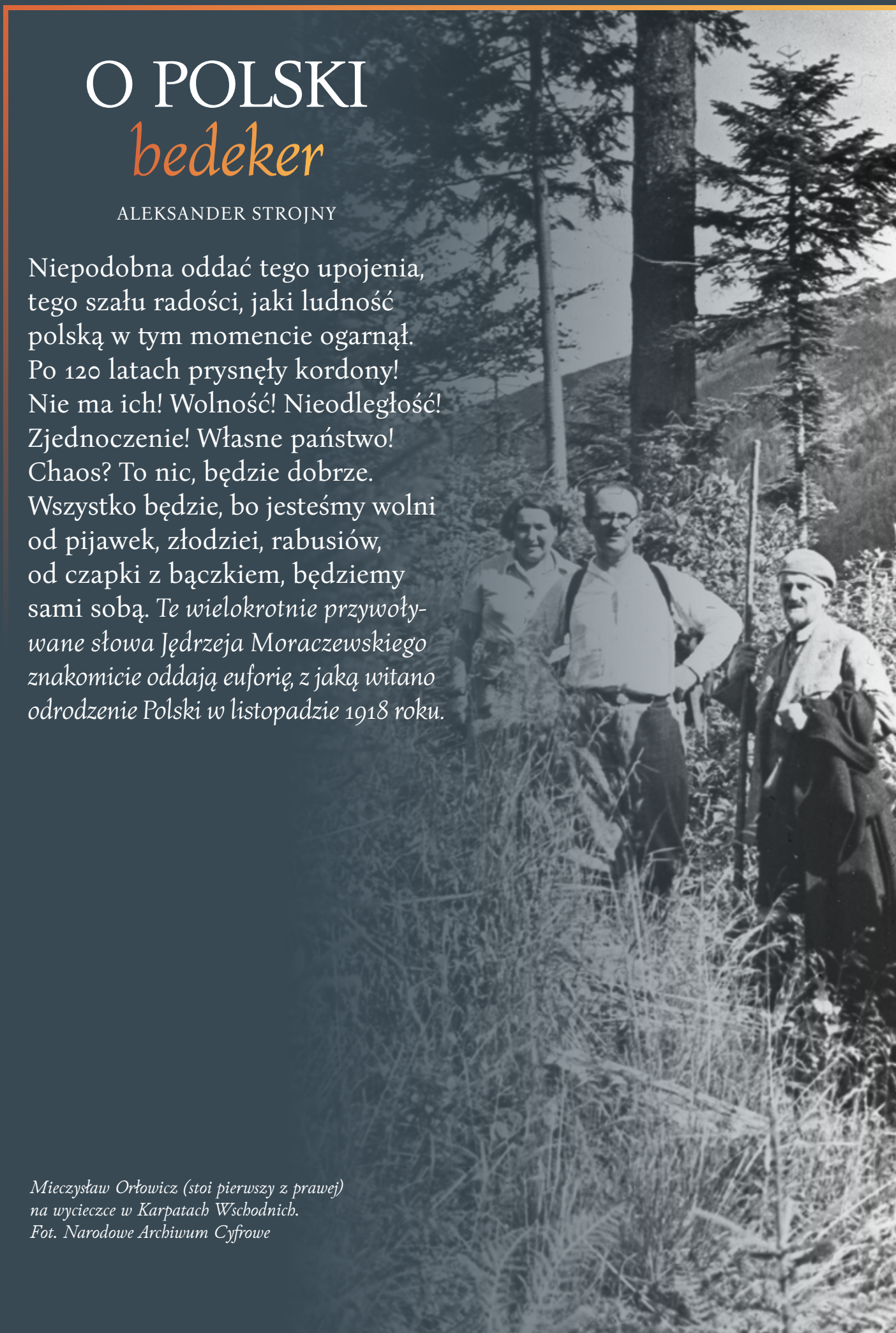

Mieczysław Orłowicz (stoi pierwszy z prawej) na wycieczce w Karpatach Wschodnich. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Mimo wojen o granice, atmosfery tymczasowości i przejściowości jeszcze przed ostatecznym podziałem administracyjnym Rzeczypospolitej pomyślano także o turystyce – drukowanych przewodnikach dla pragnących już w odmiennych warunkach poznać miejsca i regiony nowej Polski, oddzielone dotąd zaborczymi kordonami. Szczególnym dowodem na palącą potrzebę przygotowania tego typu wydawnictw były specjalnie stworzone stemple, jakimi znaczono okładki i strony tytułowe przewodników wydanych przed 1914 rokiem, ale z braku innych ciągle wykorzystywanych przez turystów. Odcisk z tekstem: *Wydanie przedwojenne! Informacje dotyczące komunikacji, cen itp. nieaktualne,* miał analogię choćby w znaczkach pocztowych – tworzona po 1918 roku Poczta Polska opatrywała przedwojenne lub okupacyjne znaczki specjalnym aktualizującym je nadrukiem.

Przewodniki roku pierwszego

Przewodniki wydane przed wybuchem Wielkiej Wojny nie mogły wystarczyć na dłużej. Już w pierwszym roku niepodległości ukazały się przewodniki nie tylko po Warszawie i Krakowie, ale także np. po Sandomierzu, Tatrach czy Wilnie – mieście, którego sytuacja była mocno skomplikowana i niepewna. *Informacyjno-adresowy ilustrowany przewodnik po Warszawie*, wydrukowany w Wydawnictwie Stanisława Kasztelewicza, podawał: *W czasie trwania wojny całej, zarówno Galicja, jak i Poznańskie, pilnie wsłuchiwały się w głosy idące z Warszawy. Dziś, gdy pękły kajdany trójzaborcze, Warszawa zajmie jawnie już stanowisko jej przynależne. Sercem Polski była zawsze, choć bicie serca tego ręka obca stłumić usiłowała, sercem Polski Wolnej, Zjednoczonej pozostanie – da Bóg – na zawsze.* Bardzo podobnie sprawę ujmował *Przewodnik po Warszawie wraz z najnowszym planem*, ułożony – jak zapewniano – według najlepszych źródeł przez Edmunda Jezierskiego, a wydany nakładem Księgarni J. Czerneckiego (Warszawa–Kraków 1919). Pisano w nim m.in.: *Rozdeptany gad krzyżacki wypuszcza ze swojej gardzieli gród syreni. Z potopu światowej wojny wypływa zrąb Rzeczypospolitej na „słońce swobody" – już nie w lichym skrawku księstwa warszawskiego ani w efemerycznej kreacji kongresu wiedeńskiego – ale w przywróconej chwale i potędze Jagiellońskiej idei* [...]. *I otwiera się przed nią nowa – da Bóg – najświetniejsza doba rozwoju.*

Mieczysław Orłowicz, autor wielu przewodników turystycznych i popularyzator turystyki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Twórcy przewodników wydawanych u progu niepodległości rozumieli znaczenie opracowywanych i publikowanych przez siebie książek jako jednego z elementów propagowania wiedzy o przeszłości i wielkości już wolnej od nakazów zaborczej cenzury, powstającej na nowo Polski, a tym samym przyczyniali się do jej unifikacji. Autorzy nie ukrywali, że spieszą się z pisaniem, tak jak Wacław Gizbert-Studnicki, który zdecydował się wydać przewodnik po Wilnie jeszcze jesienią 1919

roku, bez planu miasta, byle zdążyć na zbliżające się otwarcie uniwersytetu. Na karcie tytułowej zamiast daty wydania użyto znamiennego określenia: *w pierwszym roku wyzwolenia*. W przewodniku można było przeczytać: *Wilno orężem naszego rycerstwa wyzwolone gotuje się do zajęcia w przyszłości odpowiedniego miejsca w rzędzie najprzedniejszych miast Rzeczypospolitej Polskiej*. Bedeker sandomierski wpada zaś w ton czysto poetycki, pisząc o błysku jutrzenki, z dawna niesłyszanej nucie*: Jeszcze Polska nie zginęła*, która *wypełzła z podziemi, dokąd ją przemoc wepchnęła, zadrgała na wargach żołnierza-legionisty i stamtąd uleciała hen w przestworza*. Po czterech latach *zajaśniał upragniony świt* i *nadszedł Dzień Zmartwychwstania*.

W innych przewodnikach z 1919 roku podkreśla się czas, w jakim zostały one wydane, w sposób zupełnie jasny. *Przewodnik po Tatrach Polskich i Zakopanem* Mieczysława Świerza na wstępie podaje dość rzeczowo: *w chwili, kiedy sprawa przyłączenia rodnych ziemi Spisza i Orawy do odrodzonej po pożodze wojny Rzeczypospolitej, a wraz z nią i odgięcia naszych kresów tatrzańskich ku południowi – jeszcze nie doczekała się rozstrzygnięcia*.

Rozliczyć przeszłość

Autorzy ówczesnych przewodników czasem chcieli się także rozliczyć z przeszłością. W jednym z bedekerów warszawskich z 1919 roku można było przeczytać o *szybko europeizującym się mieście*, czego wrażenie zacierają jednak niektóre wciąż stojące obiekty – chodziło m.in. o przebudowany w stylu rosyjskim w czasach zaborów Pałac Staszica i górującą nad nim wieżę z kopułą przypominającą wyglądem swym *kawiarnię turecką* oraz sobór prawosławny na pl. Saskim *z widniejącymi z dala błyszczącymi kopułami*. Przewodnik krakowski Ludwika Stasiaka utyskuje nad stanem zachowania rodzimych zabytków, ale widzi w nim nie tylko rękę zaborczą, ale i własną, i zamieszcza dramatyczny apel do sejmu warszawskiego, by chronił Kraków od jego władz. W ten sposób odnosi się do licznych przebudów w obrębie Starego Miasta, nieuwzględniających historycznego dziedzictwa i znaczenia Krakowa.

Wyjątkiem zasługującym na odrębne potraktowanie jest *Przewodnik po Warszawie dla harcerza i dla każdego pragnącego zwiedzać stolicę*, który opracowali Edward Muszalski i Tadeusz Rudnicki. Na jego kartach sformułowano program kształcenia młodzieży oparty na wiedzy historyczno-krajoznawczej. Opisano funkcjonowanie odrębnej sprawności harcerskiej – przewodnika po Warszawie – i sprecyzowano szczegółowo zakres wiedzy i umiejętności kandydata do jej posiadania. Całość poprzedzono rysem ogólnym: *Pośród wielu zadań, jakie sobie stawia harcerstwo, znajduje się wpojenie przyszłym obywatelom Polski tej niezbędnej ilości „wiedzy obywatelskiej", jaką każdy Polak posiadać winien. Oczywiście, zawiera się w niej przede wszystkim znajomość własnego kraju, i w tym dokładna znajomość miejsca rodzimego, w którym spędzamy większą część życia, a więc zapoznanie się z terenem, z przeszłością i jej pomnikami, z dziełami przodków, z ich życiem, z warunkami położenia i życia miasta dawniej i w teraźniejszości. Oprócz tych ogólnych zainteresowań do powyższych spraw, jakie budzą się, lub budzić się powinny w każdym harcerzu, zainteresowanie głębsze posiadają niektórzy specjaliści-szperacze*.

Polska Biblioteka Turystyczna

W czasie, kiedy wychodziły przywołane przewodniki, w Warszawie na szczeblu centralnym podjęto próbę uporządkowania całej krajowej działalności wydawniczej w dziedzinie przewodników i stworzenia jednolitej serii bedekerów, które objęłyby swym zasięgiem cały kraj. Za pomysłem w zasadzie stała jedna osoba – urzędnik odpowiedzialny za sprawy propagandy turystyki, referent Mieczysław Orłowicz. Jako wielki entuzjasta niemieckiego wydawnictwa przewodnikowego założonego przez Karla Baedekera, znając także doskonale repertuar wydawniczy innych podobnych firm niemieckich (Grieben, Mayer, Woerl), w 1919 roku ogłosił memorandum, w którym postulował zainicjowanie przez państwo wydawania Polskiej Biblioteki Turystycznej oraz podjęcie starań o wydanie przewodników po Polsce w największych zagranicznych wydawnictwach. Projekt funkcjonował przez pięć lat, co było możliwe tylko dzięki tytanicznej pracy jego pomysłodawcy – to sam Orłowicz napisał wszystkie tomy serii i zapewne tylko dzięki niemu znaleziono źródła ich finansowania (najwięcej pieniędzy dało Ministerstwo Robót Publicznych). Poszczególne tomy serii wyglądały podobnie i wyraźnie przywodziły na myśl Baedekerowski wzorzec. Za pierwszy tom można uznać przewodnik po Poznaniu (1920), a za ostatni (numerowany jako 13) drugie wydanie przewodnika po Lwowie (1925). W serii ukazały się ilu-

Autorzy przewodników wydawanych u progu niepodległości rozumieli ich znaczenie jako jednego z elementów propagowania wiedzy o przeszłości i wielkości powstającej na nowo Polski

strowane przewodniki po Warmii i Mazurach (1923), Spiszu i Orawie (1921), województwach poznańskim (1921), śląskim (1924) i pomorskim (1924), Jarosławiu (1921), Grudziądzu (1924), Toruniu (1924) i ziemi śląskiej (1924).

Problemów z ich wydaniem było niemało – od materiału ikonograficznego po fundusze na druk. Na wydanie ważnego przewodnika po Wołyniu Orłowicz musiał czekać aż pięć lat. W doborze materiału ilustracyjnego pomógł mu wtedy Józef Piotrowski – były konserwator zabytków ze Lwowa i autor ostatniego austriackiego przewodnika po mieście, a pieniądze na druk w końcu znalazł sam wojewoda wołyński Henryk Józewski. Przewodnik ten nie wszedł jednak do Biblioteki Turystycznej, a zawieszenie jej wydawania należy wiązać najprawdopodobniej z kryzysem finansowym państwa.

Chodząca encyklopedia turystyki

Mieczysław Orłowicz urodził się w 1881 roku w podlwowskim Komarnie, był wychowankiem legendarnego Zakładu Naukowo-Wychowawczego Ojców Jezuitów w Chyrowie. Na uniwersytecie lwowskim studiował historię sztuki i prawo, uzyskał tytuł doktora. Jego niesłychany wkład w rozwój krajoznawstwa i turystyki upamiętniają rozsiane po kraju tablice, jego imię noszą szlaki turystyczne, przełęcz, szkoła wyższa, schroniska, a nawet pociąg PKP. Poświęcono mu wiele prac naukowych, w tym trzy książki. Orłowicza nazywano chodzącą encyklopedią turystyki i przekonywano, że podczas organizowanych przez siebie legendarnych wycieczek miał przejść łączny dystans równy trzykrotnej długości równika. W literaturze przedmiotu nie ma pewności, ile przewodników napisał Orłowicz. Zwykle autorzy konstatują, że wiele – dodajmy, że niektóre z nich były drukami ulotnymi i żadna biblioteka nie ma ich kompletu. Lucjan Turos twierdzi, że Orłowicz napisał 33 przewodniki. Wydawcy jego wspomnień podają aż 102 pozycje o charakterze przewodników (nie wszystkie z nich jednak można bezdyskusyjnie zaliczyć do tej grupy). Lucyna Skolik uważa, że Mieczysław Orłowicz był autorem 88 przewodników turystycznych. W rzeczywistości wydał blisko setkę przewodników (łącznie ze wznowieniami i tłumaczeniami), w czym zapewne nie ma sobie równych w skali światowej.

Sam autor uważał, iż najlepszym przewodnikiem, który napisał, jest pierwszy – *Ilustrowany przewodnik po Galicji*. Ukazał się on krótko przed wybuchem pierwszej wojny i zyskał nowe życie w 1919 roku – przedrukowano go wtedy, na szybko, w zasadzie bez zmian. Dzisiaj jest niezastąpionym źródłem wiedzy

o dawnej Galicji, jej miastach i miasteczkach, chętnie wykorzystywanym przez współczesnych autorów odtwarzających przeszłość regionu. Na podstawie przewodnika Orłowicza powstają filmy i programy telewizyjne.

W czasie wojny Orłowicz został skierowany przez austriackie władze z Pragi do Przemyśla jako delegat Akademii Umiejętności i konserwator zabytków dla Galicji (zajmował się selekcją przedmiotów możliwych do przetopienia na cele wojskowe), potem został referentem oświatowym przy Uniwersytecie Żołnierskim w Jarosławiu. W połowie 1919 roku w niepodległej Polsce powierzono mu kierowanie Referatem Turystyki w Ministerstwie Robót Publicznych. Dla Orłowicza był to chyba najbardziej pracowity okres w życiu. Niestrudzenie organizował spotkania oraz kongresy krajowych i międzynarodowych związków sportowo-turystycznych, przygotowywał ankiety i projekty rozwoju branży hotelarskiej i transportowej, postulował wprowadzenie subwencji dla organizacji turystycznych i wiele innych. Działalność wydawnicza, w tym drukowanie przewodników, była jednym z najważniejszych pól jego aktywności. Tomy Polskiej Biblioteki Turystycznej, które ukazały się w latach dwudziestych, należały do jego najlepszych dzieł w tym zakresie.

Otwarcie schroniska im. doktora Mieczysława Orłowicza na Chomiaku w Gorganach, wybudowanego przez oddział stanisławowski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej do pomysłu Orłowicza wrócił bodaj najsłynniejszy przedwojenny polski podróżnik Ferdynand Ossendowski w drobnym tekście zamieszczonym w informatorze Biura Podróży Orbis (styczeń 1939 roku): [...] *jakaś instytucja czy urząd powinny zająć się rzeczą niezbędną – utworzenia kilkunastotomowej biblioteczki turystycznej, na razie dla młodzieży (i dorosłych) zwiedzających Polskę. Muszą to być tomiki regionalne, dające wyczerpujące informacje z geografii terenu, etnografii, folkloru, przyrody, historii, ekonomicznego znaczenia, roli w życiu politycznym, przemysłowym i handlowym i z zakresu lokalnych zagadnień w skali państwowej. Te tomiki, przestudiowane dokładnie, dadzą możność turyście poznać zwiedzaną przezeń część Rzeczypospolitej do głębi, wyczuć i zrozumieć jej nierozerwalną więź historyczną i ekonomiczną z naszym Państwem, tak forsownie odbudowywanym w okresie zawiłych, trudnych do przewidywania komplikacjach politycznych.* Wydaje się, że postulat ten, *idée fixe* Orłowicza, pozostaje aktualny i dziś.

Aleksander Strojny, historyk, interesuje się związkami dawnej Rzeczypospolitej ze Wschodem oraz dziejami turystyki, autor m.in. książki *Poselstwo polsko-litewskie do Moskwy w 1678 r.* (2001) oraz wielu przewodników po Europie Środkowej i Wschodniej

SZTUKA PIERWSZYCH *lat* NIEPODLEGŁOŚCI

KATARZYNA NOWAKOWSKA-SITO

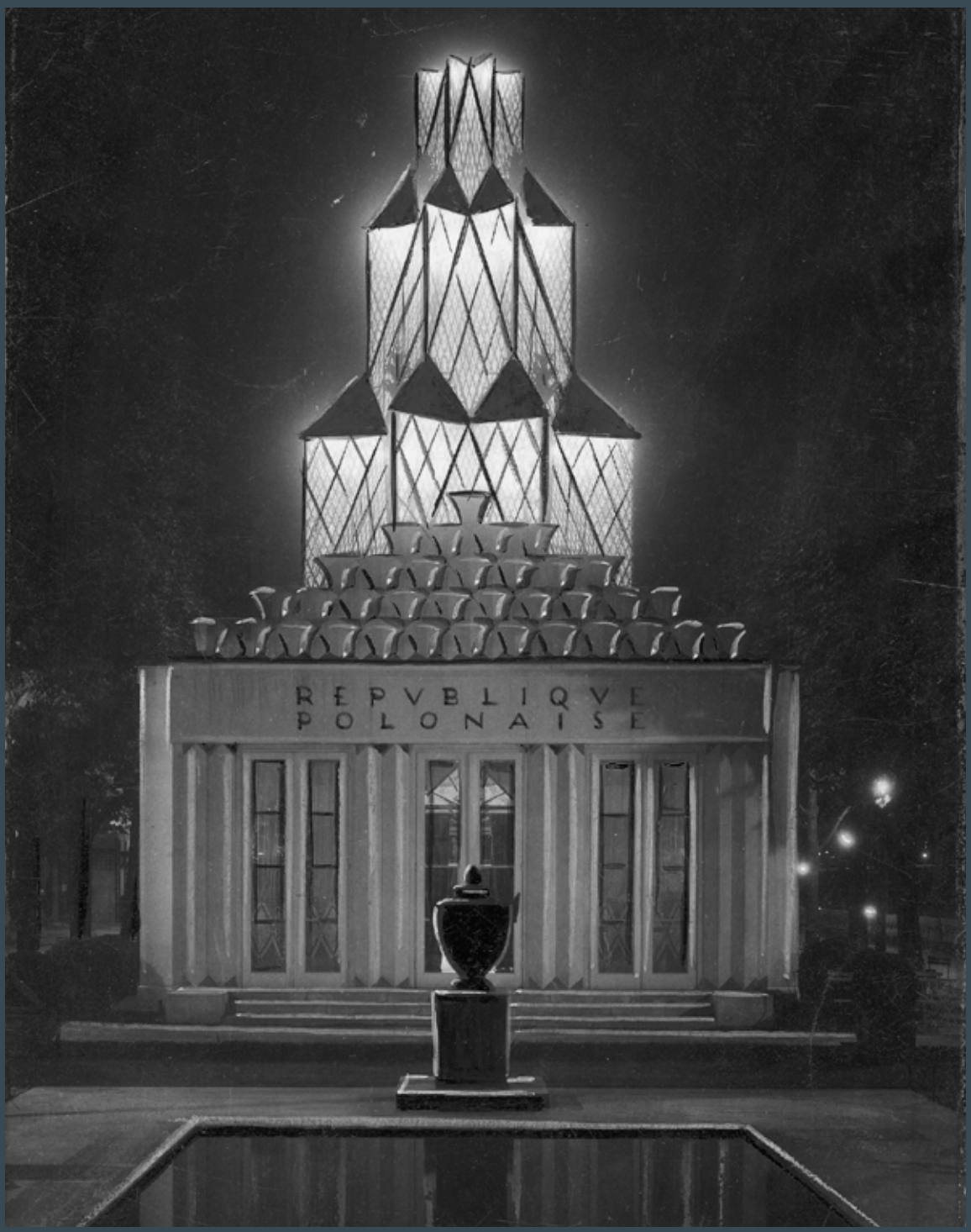

Pawilon polski na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa w Paryżu w 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zastanawiając się nad relacją między odzyskaniem niepodległości a polską sztuką międzywojnia, można by oczekiwać, że powstanie nowego państwa sprowokowało stworzenie rzeźb lub obrazów, w których nastroje współczesnych znalazły adekwatny wyraz. Trudno jednak wskazać dzieła, które byłyby konkretną ekspresją tych chwil.

Wojna wzmagała patriotyczne nastroje, a liczny akces artystów do Legionów oraz ich udział w innych formacjach wojskowych zaowocował znaczną liczbą prac związanych z konfliktem. Podczas działań wojennych muzy nie zamilkły – i nie chodzi tu tylko o obrazowanie potyczek, okopów czy towarzyszy broni, ale i o wpływ wojny na głębsze artystyczne przemiany. Już w roku 1916, wraz z nadzieją na pozytywne rozwiązanie sprawy polskiej, zaczęły się pojawiać dzieła o zwycięskiej symbolice, np. *Nike Legionów* Edwarda Wittiga. Na rozpisany w tym samym roku przez warszawską Zachętę konkurs pt. „Polska" odpowiedziało wielu twórców dalekich od tematyki zaangażowanej.

Wraz z wojną kończyła się także pewna epoka, zdaniem niektórych dopiero wtedy odchodził w przeszłość wiek XIX. To poczucie dominowało w całej Europie, nabierając szczególnie optymistycznego zabarwienia w odrodzonej Polsce. Nowe miało być wszystko: życie, państwo, poezja, sztuka. Artyści mogli się przestać wsłuchiwać w drgania narodowej duszy, stając się badaczami tętna współczesnego życia i następujących w szybkim tempie cywilizacyjnych przemian. Najdobitniej uchwycił sedno tego procesu Tadeusz Peiper. W 1922 roku założył pismo „Zwrotnica", mające na celu *wszyć w naszego człowieka nerw teraźniejszości*.

Szok wojny przyspieszył przemiany sztuki, która zdawała się domagać ekstatycznych uniesień i skondensowanego wyrazu, ale jednocześnie klasycznego uspokojenia, harmonii i ładu.

Preludium nowoczesności

W sztukach plastycznych najsilniejszy był początkowo ekspresjonizm, którego przedstawiciele niemal jednocześnie doszli do głosu w Poznaniu, Łodzi i Krakowie. Debiutujące tam w 1917 roku grupy o ekspresjonistycznym charakterze oprócz zerwania z nurtami zachowawczymi, przede wszystkim z realizmem, poszukiwały nowych form i odnowionego dialogu z tradycją. Dla twórców poznańskiego Buntu, związanego silnie ze środowiskiem berlińskim, była to mistyczna poezja Słowackiego i muzyka Chopina, widziane przez filtr idei patronującego grupie autora koncepcji sztuki nagiej duszy Stanisława Przybyszewskiego. Podobne splecenie inspiracji plastycznych i literackich prezentowała łódzka grupa Jung Jidysz (1917–1921), definiująca na nowo – w oparciu o impulsy ekspresjonizmu – sztukę i tożsamość żydowską, czerpiąca z wielokulturowego dziedzictwa przemysłowej Łodzi. Oba środowiska, zapewne nie bez wpływów koncentracji nowych prądów wokół pism literackich, wydały szczególnie wybitne dzieła w sztukach graficznych.

W kontekście odzyskanej niepodległości zwracają uwagę działania krakowskiej grupy Ekspresjoniści Polscy. Na pierwszej wystawie w listopadzie 1917 roku w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych obok prac własnych pokazali oni podhalańskie obrazy na szkle, wskazując na źródła nowoczesności tkwiące w rodzimym folklorze. Czy chcieli w ten sposób oswajać społeczeństwo z nowymi prądami (wobec których było ono dość sceptyczne), czy odróżnić od „obcych" inspiracji – co sygnalizował dodany do nazwy grupy przymiotnik „polscy"? Ludowy prymityw, sytuowany poza czasem, miał legitymizować bulwersujące publiczność uproszczenia i geometryzacje, podobnie jak w przypadku awangardy zachodnioeuropejskiej czyniła to sztuka afrykańska. Dokonywano zresztą udanych syntez rozmaitych wątków, podejmując przewrotne gry z tradycyjnymi tematami. Przykładem mogą być różne wersje *Madonn* Tytusa Czyżewskiego, które przypominają tyleż naiwne stylizacje ludowych malunków i drzeworytów, ile umowną rzeczywistość nowatorów.

Z wojną kończyła się także pewna epoka. Nowe miało być wszystko: życie, państwo, poezja, sztuka. Artyści mogli się przestać wsłuchiwać w drgania narodowej duszy

Krakowska grupa, która po roku przyjęła nazwę formiści, skupiła pod swoim szyldem rzeszę najciekawszych indywidualności swego czasu: Zbigniewa i Andrzeja Pronaszków, Stanisława Ignacego Witkiewicza,

Leona Chwistka czy autora nowatorskich form rzeźbiarskich stojących na granicy syntetycznego obrazowania i abstrakcji Augusta Zamoyskiego.

Choć formiści nie stworzyli konsekwentnego programu, w ich orbicie powstało wiele inspirujących propozycji dotyczących rozmaitych dziedzin sztuki, niekiedy śmiało wchodzących w spór z głównymi tendencjami swojej epoki. Takimi były wizje architektury przyszłości, które filozof i matematyk Chwistek przedstawił zarówno w tekstach, jak i w powstających w latach 1919–1921 rysunkach i obrazach. Jego wizja, kształtowana w opozycji do głównych idei pionierów awangardowej architektury (Auguste'a Perreta, Le Corbusiera) propagujących standaryzację i modułowość, jest pełna asymetrycznych brył, krzywoliniowych fasad i kopuł, które miały być antidotum na alienację i monotonię życia wielkich metropolii. Najbardziej futurystyczną wizją jest *Miasto fabryczne* (ok. 1920), w którym spiętrzone drapacze chmur, kopulaste budowle i mosty oświetlone punktowymi reflektorami otaczają poprowadzone na poziomie kilku pięter ulice i wiadukty. Choć takie bryły wieżowców byłyby wówczas niemożliwe do wykonania, barwna i radosna architektura metropolitalnych miast-ogrodów ze szkła i stali koresponduje z wizją szklanych domów Stefana Żeromskiego.

Jest oczywiste, że mieszkaniec tego typu budowli nie mógł się karmić tradycyjną sztuką przeszłości, gdyż jego wrażliwość została poszerzona o dziesiątki nieznanych wcześniej doznań. Także współczesny artysta musiał brać pod uwagę nowe obszary, których dostarczały techniczne urządzenia, często stające się przedmiotami coraz powszechniejszego użytku. Futurystyczny poeta Anatol Stern pisał: *Grecy znali tylko bieg konia.* [...] *Moją ambicją jest sprostać galopowi oranżowego konia: elektryczności. Nie jest się dziś człowiekiem. Jestem także telefonem, kinem, teleskopem, maszyną rotacyjną, plakatem, radiotelegrafem. Świat jest dynamiczną pomarańczą, którą pożeramy.*

Piękno maszyny

W 1924 roku w warszawskim salonie automobilowym Laurin-Clement odbył się debiut awangardowej grupy Blok, który zbiegł się z wydaniem pierwszego numeru pisma o tym samym tytule. Równocześnie w pobliskim salonie firmy Austro-Daimler zorganizowano pokaz mechano-faktur Henryka Berlewiego, a rok wcześniej w wileńskim kinoteatrze Corso odbyła się pierwsza wystawa polskiej awangardy konstruktywistycznej (Wystawa Nowej Sztuki). Były to manifestacje ideowe – artyści tej orientacji sytuowali się blisko Corbusierowskiego kultu maszyny wyznaczającej logikę i piękno współczesnego życia wraz z jego ekonomią, tempem i standaryzacją. Zrzeszonym w Bloku artystom niepodległość kojarzyła się z nowoczesną przyszłością opartą na technicznym rozwoju, a nie na zakorzenionej w folklorze narodowej identyfikacji. Taki kierunek najwcześniej wyznaczyło wspomniane pismo „Zwrotnica". Kontekstem działań awangardy była wymiana idei w międzynarodowym środowisku nowatorów, realizowana głównie za pomocą artystycznych periodyków, jak „Blok" czy później „Praesens". Kontakty te prowadziły głównie do Holandii (grupa De Stijl), ale też Paryża, Berlina oraz krajów Europy Środkowo-Wschodniej aż po Bałkany.

Awangarda proponowała otwarcie na całkowicie nowy krąg inspiracji. Postrzegała dzieło sztuki jako ponadindywidualny twór, wynik racjonalnej analizy funkcji i ekonomii materiału, którego perfekcyjna konstrukcja powinna się stać modelem dla zorganizowanego racjonalnie społeczeństwa. W katalogu Salonu Modernistów, zorganizowanego z okazji dziesięciolecia niepodległości w Warszawie, Władysław Strzemiński pisał: *Pięknem jest system wiążący i wzajemnie od siebie uzależniający wszystkie części budowy.* Przewodniczką nowoczesności w coraz większym stopniu stawała się architektura, będąca nie tylko organizującą przestrzeń bryłą, ale – by znów zacytować Strzemińskiego – *regulatorem rytmu życia społecznego i indywidualnego.*

W ramach konstruktywistycznej awangardy najradykalniejsi byli Mieczysław Szczuka i Teresa Żarnowerówna, którzy porzucili eksperymentalne formy artystyczne na rzecz wszelkich form sztuki utylitarnej i zaangażowanej, jakimi były głównie projekty druków, ulotek agitacyjnych i fotomontaże związane z przebudową współczesnego życia i świata w myśl programu Komunistycznej Partii Polski.

Awangarda postrzegała dzieło sztuki jako wynik racjonalnej analizy funkcji i ekonomii materiału, którego perfekcyjna konstrukcja powinna się stać modelem dla racjonalnie zorganizowanego społeczeństwa

Nowoczesność umiarkowana

Powojenny świat marzył jednak głównie o równowadze i stabilizacji, której wyrazem był – propagowany po barbarzyństwie wojny – powrót do porządku, silnie ak-

Mieczysław Szczuka, Konstrukcja przestrzenna, *1922. Fot. z archiwum autorki*

centowany wówczas we Francji *retour à l'ordre* w postaci łacińskiego ładu i harmonii, sięgania do tradycji śródziemnomorskiej. Jednym z najpiękniejszych wyrazów nowego klasycyzmu w sztuce polskiej była rzeźba Henryka Kuny *Rytm*, eksponowana w atrium polskiego pawilonu na wystawie paryskiej 1925. Jej tytuł, wskazujący na jednoczącą wszystkie sztuki zasadę, był zarazem nazwą założonej w Warszawie w 1922 roku grupy skupiającej artystów różnych dziedzin, która wyznaczyła kształt głównego nurtu sztuki międzywojnia. Stanowiła ona centralny zwornik artystycznej sceny, na której, jak wówczas pisano, na lewo lokowały się kierunki nowoczesności radykalnej, na prawo bardziej zachowawcze. Sztuka Rytmu, umiarkowanie nowoczesna, pełna chłodnej, jakby wykalkulowanej,

Tytus Czyżewski, Madonna, *ok. 1920. Fot. Cyfrowe MNW*

maestrii, zachowywała jednocześnie współczesny wyraz i „muzealny" charakter. Podobny typ, może nieco bardziej hiperrealistycznego, klasycyzmu reprezentowało wówczas środowisko wileńskie, którego liderem był (zresztą też należący do Rytmu) Ludomir Sleńdziński.

Mimo zarzutów tworzenia sztuki elitarnej rytmiści byli artystami mocno włączonymi we współczesne życie. Podobnie jak zaprzyjaźnieni skamandryci pozostawiali płaszcz Konrada w kawiarnianej szatni, częściej można było ich spotkać w prasowych redakcjach, uczelnianych salach czy nawet na samochodowych rajdach. Trudno sobie wyobrazić krajobraz artystyczny dwudziestolecia bez sztuki rytmistów: grafik Władysława Skoczylasa, monet i medali Tadeusza Breyera, rzeźb Edwarda Wittiga i Jana Szczepkowskiego, obrazów Tadeusza Prusz-

kowskiego i Eugeniusza Zaka, tek graficznych Zofii Stryjeńskiej czy plakatów Tadeusza Gronowskiego, a także banknotów Zygmunta Kamińskiego. Ten ostatni był także autorem oficjalnego godła Drugiej RP (1927), które z niewielkimi modyfikacjami (i bez korony) – przetrwało czasy PRL, funkcjonując do dziś. Można stwierdzić, że rytmiści w znacznym stopniu tworzyli ikonosferę lat niepodległości.

Mimo dążeń do tworzenia sztuki ponadczasowej i perfekcyjnej rytmiści byli mocno zanurzeni w nowoczesności. Wacław Borowski i Stanisław Rzecki brali udział w rajdach samochodowych, Pruszkowski zaś uprawiał sport lotniczy, krążąc między Warszawą a Kazimierzem prywatną awionetką. Wittig stworzył jeden z najpiękniejszych monumentów dwudziestolecia – pomnik Lotników (poległych w walkach o niepodległość 1919–1920) wzniesiony w 1932 roku na warszawskim pl. Unii Lubelskiej. To jedno z pierwszych w Europie dzieł poświęconych awiacji wyróżnia się korzystnie na tle dwóch wcześniejszych: pomnika poległych lotników Pierre'a De Soete w Brukseli (1918) i pomnika ku czci pioniera lotnictwa Wilbura Wrighta we francuskim Le Mans (1920) – oba operowały symboliką nagich uskrzydlonych postaci. Przedstawienie lotnika w autentycznym stroju polskiego pilota wojskowego, w opinającym ściśle tors kombinezonie zakończonym stojącym kołnierzem, nadało mu wygląd rycerza przestworzy, który w kominiarce lotniczej i zsuniętych na tył głowy okularach upodobnił się zdaniem krytyków do *jakiegoś tajemniczego skarabeusza nowoczesnego rozwoju technicznego*.

Styl odrodzonej niepodległości

Polska sztuka, dla której okres dwudziestolecia międzywojennego był szczególnie owocny z powodu szczytowego rozkwitu tak wielu twórczych indywidualności, zdawała się potrzebować jedynie legitymizacji w postaci sukcesu przekraczającego skalę lokalną. Okazją do tego była Wystawa Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu, zorganizowana w 1925 roku – Polska po raz pierwszy oficjalnie wzięła wtedy udział w ekspozycji połączonej z międzynarodową rywalizacją. Co ważne – rywalizacją zwycięską, ponieważ twórcy działu polskiego, otrzymując aż 172 nagrody (w tym liczne *Grand Prix*), uplasowali się w czołówce nagrodzonych artystów. Mimo krótkich przygotowań przypadających na trudny okres zmagań o granice i walk politycznych o sukcesie polskiego działu zdecydowało zaangażowanie przez komisarza pawilonu Jerzego Warchałowskiego spójnego zespołu artystów, działających od 1913 roku w ramach Warsztatów Krakowskich, a po odzyskaniu niepodległości w kręgu warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych i jej eksperymentalnych warsztatów (stworzonych w celu przygotowań do wystawy). Sukcesem pawilonu była jednorodna całość, harmonijne zespolenie poszczególnych indywidualności w pełen energii i optymizmu akord.

Na Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu w 1925 roku Rzeczpospolita po raz pierwszy wzięła udział w ekspozycji połączonej z międzynarodową rywalizacją. Twórcy działu polskiego uplasowali się w czołówce nagrodzonych artystów

Wypracowana w Paryżu stylistyka zagościła w oficjalnych wnętrzach i przedstawicielstwach, stając się wizytówką Drugiej Rzeczypospolitej. Jej przykłady widać do dziś: zespół wnętrz Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (obecne Ministerstwo Edukacji, dzieło Wojciecha Jastrzębowskiego) czy rzeźbiarska dekoracja gmachu sejmu (Szczepkowski). Ostro cięte rzeźby Szczepkowskiego, dekoracyjność barwnych *panneau* Stryjeńskiej, meble i tkaniny Jastrzębowskiego oraz kilimy Bogdana Tretera złożyły się na charakterystyczne zjawisko, zdefiniowane przez Jerzego Warchałowskiego w książce *Polska sztuka dekoracyjna* (1928). Grono triumfatorów polskiego pawilonu w 1926 roku założyło spółdzielnię Ład, opartą na kooperacji projektantów i rzemieślników, której meble i wyroby stały się nieodłącznym elementem wyposażenia polskich mieszkań dwudziestolecia międzywojennego – zwłaszcza miejskiej inteligencji.

Choć paryskiego sukcesu nie można było zdyskontować z powodu niskonakładowości produkcji sprowadzającej się do krótkich serii i unikatów, nie da się ukryć, że sukces paryskiej wystawy dodał polskim twórcom pewności siebie i wiary w skuteczność mobilizacji. Założony cel został osiągnięty w stopniu na tyle zadowalającym, że Warchałowski mógł stwierdzić: *tam dopiero, nad brzegami Sekwany, odzyskaliśmy naszą niepodległość artystyczną*. Biorąc pod uwagę niekwestionowaną pozycję sztuki francuskiej w latach międzywojennych, brzmi to jak przeniesione na artystyczny grunt symboliczne potwierdzenie traktatu wersalskiego.

Katarzyna Nowakowska-Sito, historyk sztuki, pracownik Muzeum Historii Polski, zajmuje się sztuką dwudziestolecia

Edward Wittig, projekt pomnika lotników, 1922 (model). Fot. autorka